

Atmosfera jak w *Amelii*  
napięcie jak u Hitchcocka  
całość jak u Kiesłowskiego

**Sophie Bassignac**

**Rozświetlone  
akwaria**

  
AMBER

„Podwórko kamienicy przypominało trochę to z Hitchcocka,  
tylko że Claire nie była Grace Kelly...”  
...tylko młodą, pogrążoną w swoich fobiach i marzeniach kobietą,  
która postanowiła wynająć mieszkanie z oknami na podwórze.  
Podwórce otoczone oknami sąsiadów – intruzów zakłócających jej samotność.  
Claire nawiązuje bliższą znajomość tylko z jednym z nich – tajemniczym,  
pociągającym panem Ishidą z naprzeciwka. Pewnego dnia piętro wyżej  
wprowadza się nowy lokator. A pan Ishida znika...



*Rozświetlone akwaria* to psychologiczne studium samotności  
ubrane w kryminalną intrygę. Bohaterowie, wymykający się jednoznacznej ocenie,  
mają swoje sekrety, a całą powieść wypełnia atmosfera niepewności,  
niedopowiedzenia i subtelna gra pozorów.

*Rozświetlone akwaria*, wydane w 2008 roku, zostały docenione przez  
francuskich recenzentów i czytelników, a prawa autorskie do książki sprzedano  
wydawcom w sześciu krajach – m.in. w Chinach – co dla francuskiego debiutu  
jest ewenementem. Kolejna powieść Sophie Bassignac, *A la recherche d'Alice*  
(*W poszukiwaniu Alicji*), natychmiast spotkała się  
z entuzjastycznym przyjęciem.

Sophie Bassignac kreśli z werwą, w porywającym i eleganckim stylu  
portret młodej kobiety – postaci wymykającej się regułom.  
I buduje psychologiczną intrygę o nieprzewidywalnym finale. „Le Figaro”

*Rozświetlone akwaria* to po prostu jeden z najlepszych  
debiutów minionego roku. „Livres Hebdo”

W swojej debiutanckiej powieści Sophie Bassignac bawi się gatunkami,  
stylami i postaciami. Błyskotliwa wariacja na temat  
*Okna na podwórce Hitchcocka*. „Le Magazine Littéraire”



Cena det. zł 27,80

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)



Sophie Bassignac

# Rozświetlone akwaria

Przekład

KRYSTYNA SŁAWIŃSKA



Redakcja stylistyczna

Elżbieta Novak

Korekta

Katarzyna Pietruszka

Elżbieta Szelest

Zdjęcie na okładce © plainpicture/Mira

Skład

Wydawnictwo Amber

Jerzy Wolewicz

Druk

Opolgraf S.A., Opole

Tytuł oryginału

Les aquariums lumineux

Copyright © by Éditions Denoël, 2008.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp, z 0.0.

ISBN 978-83-241-3341-3

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z 0.0.

00-060 Warszawa,

ul. Królewska 27

tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Szanownym Pierre'owi, Juliette i Pauline

## 1.

**P**ODWÓRKO KAMIENICY przypominało trochę to z Hitchcocka, tyle że Claire nie była Grace Kelly. Od czterech lat mieszkała w tej starej dzielnicy Paryża, była przekonana, że nie trafiła tu przypadkiem, i nie wyobrażała sobie życia gdzie indziej. Podwórko było prostokątną pięciopiętrową studnią z betonowym dnem. Stojąca pośrodku rzeźba młodego efebą trzymającego róg obfitości, otoczonego wysokimi roślinami, zasłaniała kubły na śmieci. Właściciele mieszkań zajmowali dwadzieścia lokali, a służbówki nieustannie zmieniały lokatorów. Subtelna hierarchia oparta na tysięcznych częściach przypominała - podczas dorocznego zebrania z administratorem - że choć głosowanie jest demokratyczne, roszczenia nie powinny przekraczać liczby metrów kwadratowych przypadających na każdego z mieszkańców. W zimie panował tu całkowity spokój. W cieplejsze dni okna się otwierały i życie wszystkich wylewało się na podwórko.

- Głupstwo robisz - rzucił tajemniczo ojciec, gdy z rękami w kieszeniach oglądał mieszkanie na drugim piętrze, jasne, wychodzące na ulicę i na podwórze. Świadoma, jaki wpływ ma na nią ten mężczyzna, i zdecydowana kupić to

ładne trzypokojowe mieszkanie powstrzymała się i nie prosiła o wyjaśnienia. Postanowiła przemalować wszystkie ściany na żółto, zrobił to stary Węgier, rzemieślnik z ogłoszenia. Była wstrząśnięta, kiedy kilka miesięcy później dowiedziała się o jego śmierci, i przypomniała sobie, że ten sympatyczny starszy pan mówił z lekką ironią: „Jak będzie pani miała dość tej kanarkowej żółci, pomaluję wszystko na niebiesko albo na zielono, jak pani zechce”. Pomyślała o mieszkaniach, które za sobą zostawił. Co się dzieje po śmierci z tym wszystkim, czego dokonaliśmy? Nie rób nic, to nie umrzesz. Nie pozostawiaj za sobą żadnego śladu. Te głęboko skrywane myśli jednak jej nie pokrzepiały.

- Wytrzymasz tu? - spytała matka, wychylając się przez okno.

Claire nie zamierzała mówić, że takie podwórko w pełni wyraża jej obsesję zamkniętych miejsc. Dołączało do długiej listy przedmiotów i fobii, które ją fascynują, a jednocześnie przytłaczają. Są tam kryształki, które chętnie kolekcjonowałyby w większej ilości, gdyby mogła sobie na to pozwolić, kalejdoskopy i plastikowe kule wypełnione sztucznym śniegiem. Leżą stłoczone, tracąc swą poźółkłą wodę, w czterech pudłach gdzieś w głębi piwnicy. Natomiast jeśli chodzi o fobie, pielęgnowała lęk przed utonięciem, tunelami, grotami, podziemnymi przejściami, pociągiem-widmem - w nocy, w snach, regularnie dusiła się i umierała. Uważała, że to zaburzenie wytłumaczyć można zapewne trudnym porodem, mozolnym wydobywaniem się z matczyngo brzucha. Najprościej byłoby zapytać matkę, ale starała się nie poruszać tego problemu, w znacznym stopniu podszytego emocjami, więc nie robiła z tego sprawy.

Pewnego zimowego ranka do kamienicy niemal nieopstrzeżenie przybył pan Ishida. W ciągu jednej godziny dwaj małomówni fachowcy od przeprowadzek wnieśli do mieszkania ze dwadzieścia identycznych pudeł i kilka nowych mebli. Wieczorem Claire ujrzała swego japońskiego sąsiada pijącego herbatę w salonie, tak jakby był tu od zawsze. Od razu poczuła sympatię do tego uśmiechniętego, miłego człowieka. Szybko, milcząco, został zaakceptowany przez mieszkańców, zwykle bardzo podejrzliwych wobec obcych. Dobrze mówił po francusku, elegancko się ubierał, pracował w określonych godzinach, czasem wyjeżdżał na parę dni, nigdy na dłużej, prenumerował „Herald Tribune”. Trzy tygodnie po swoim przybyciu zaskoczył Claire zaproszeniem na herbatę. Stało się to pewnego ranka w bramie. Zaświtała jej w głowie myśl, w której się w końcu utwierdziła: nowy lokator chce poznać sąsiadkę, aby uniknąć wszelkich podejrzeń o podglądactwo, bo przecież ich mieszkania są naprzeciw siebie. A poza tym Claire знаła swoją skłonność do traktowania nieufnie wszystkiego, o czym sama nie zdecydowała.

Cieszyła się z coraz częstszych zaproszeń. Ishida był zdziwiony, że ta młoda kobieta czerpie przyjemność z tych chwil uprzejmej rozmowy i nigdy nie okazuje zmęczenia. Zwrócił uwagę na dziwactwa Claire, ale starał się ich nie oceniać. Jako mistyczka codzienności, utrzymująca się na powierzchni dzięki skrupulatnemu powtarzaniu tych samych gestów, ceremonię herbaty u sąsiada przeżywała jak swego rodzaju doświadczenie religijne. Bawiło go to, drażniło, w końcu się przyzwyczaił i on także znajdował jakąś dziwną przyjemność w ich nieoczekiwanej znajomości. Nie spodziewał się, że takie formalne zaproszenie przemieni się w zwyczaj.



Tego dnia pan Ishida dostał z Japonii zieloną herbatę bardzo rzadkiego rodzaju. Oddzieleni niskim stoliczkiem, siedzieli po turecku naprzeciw siebie na małych jedwabnych poduszkach i w milczeniu pili mieniący się napój. Claire przeglądała jakieś pismo fotograficzne. Miała krótko ostrzyżone rude włosy. Gospodarz, przyzwyczajony do czarnych gładkich włosów Japonek, w myśli usiłował wyobrazić sobie, jakie uczucie wywołuje suchy kosmyk między palcami. Gdy spotkał ją po raz pierwszy przy skrzynkach na listy, przypomniał sobie refleksję francuskiego pisarza poznanego w samolocie. „We Francji rude są szczytową fantasmagorią pisarzy”, powiedział. Na lotnisku czekała na niego wysoka brunetka.

Claire w skupieniu przewracała kartki magazynu. Ishida był jej wdzięczny, że w końcu zgodziła się do niego przychodzić i nic nie mówić. Czy zrozumiała, że milczenie jest tym, co najbardziej japońskie między nimi? Przedtem musiał poddawać się licznym przesłuchaniom na temat swego kraju, odpowiadać na coraz bardziej precyzyjne pytania o śnieg w japońskiej literaturze, samobójstwo z miłości, *shinto*, pociągi, kryptomerie, o Ibuse, Dazai czy obrazy z „przepływającego świata”. Jej ciekawość wydawała się bez granic, Ishida dziwił się, że przeczytała już tak dużo książek o Japonii. Zdarzało się, że nie potrafił odpowiedzieć na pytania, polecał jej wtedy autorów czytanych w młodości, z których nie zapamiętał niczego oprócz entuzjazmu towarzyszącego mu w ich odkrywaniu. Tak czy inaczej, owe luki nie miały wielkiego znaczenia. Sąsiadka trzymała się z góry przyjętego klasycznego schematu i od niego nie odstępowała. Tak więc z chęcią przybliżał jej tydzień w tydzień tę Japonię, o której marzyła, tak jak się pieczołowicie tworzy miniaturę, wymyślną i bezsensowną. Przypomniał sobie opowiastkę portugalskiego

poety Pessoa - jako młody człowiek lubił jego kolejne tożsamości. Pisarz opowiadał gdzieś o porcelanowych filiżankach w japońskie desenie, z których pijał herbatę. Przedstawiono mu kiedyś wybitnego japońskiego uczonego, przebywającego czasowo w Lizbonie. Opowiedział mu o swoim kraju w sposób, który okropnie Pessoa rozczarował. Postanowił więc zignorować słowa Japończyka, powrócić do kontemplowania filiżanek, źródła nieskończonej inspiracji i przy tym pozostać. Ishida czekał jednak na chwilę, gdy Claire przesyje zimny dreszcz, który w końcu poraża każdego mieszkańca Zachodu w kontakcie z Japonią, jak kropla lodowatej wody spływająca po plecach.

Czasami, po kilku kieliszkach wina, opowiadał jej wspomnienia z dzieciństwa. Mówił o świątyni Kinkakuji, którą, gdy był chłopcem, odkrył w pewien słoneczny dzień, przysypaną śniegiem.

- Śnieg przyprószył drzewa i dachy cieniutką warstwą zmrożonego śniegu... - mówił.

Po czym zanosił się śmiechem. Zbita z tropu tym wybuchem radości akcentującej prawie wszystkie jego zdania, tą subtelną tyranią naruszającą powagę jej dociekań, Claire pogrążała się wtedy, tak jakby dla zemsty, w kontemplowaniu wyimaginowanej świątyni lub innych egzotycznych obrazów, które należały wyłącznie do niej.

Stopniowo życie Claire zaczęło obracać się ruchem koncentrycznym, obsesyjnym, wokół tego kraju, który mogła wpisać na listę swoich miejsc zamkniętych: Japonia, ta niezwykle fascynująca wyspa, przez wieki nie dopuszczała obcych do wnętrza swego doskonałego świata, chroniąc się w ten sposób przed zachodnimi truciznami, takimi jak religia

chrześcijańska, krzesła, szczerłość czy logika. Wyobrażała sobie dawną Japonię jako zaśniewony ogród, w którym nie pozostawiono jeszcze żadnych śladów. Podała mu pismo. Na rozkładówce były fotografie mężczyzn i kobiet w tokijskim metrze - wszyscy spali.

- Proszę popatrzeć - powiedziała. - Oni śpią, ale przed zaśnięciem każdy mocno uchwycił to, co miał przy sobie. Teczki trzymamy między kolanami, paski od toreb przewlekamy przez ręce. Nie możemy się rozluźnić. Bo zawsze mamy coś do stracenia, kiedy w pobliżu jest inny człowiek, nie sądzi pan?

Dzwonek telefonu w samą porę przerwał tę rozmowę; Ishida obawiał się zbyt wnikliwej wnikiwości. Wstał ze zwinnością, którą Claire przypisywała jego porannym ćwiczeniom - przez okno widziała, jak je wykonywał. Odwrócił się do niej tyłem i zaczął rozmawiać po japońsku. Dziwnie się poczuła tego wieczoru, jakoś nieswojo, tak jakby cierpka, mocna herbata zmąciła ich zażyłość. Coś było nie tak, coś, czego nie rozumiała. Może to początek jakiejś fobii, atak paranoi, przeczucie klęski, długotrwałej melancholii... Mrugnięciem powiek przepędziła demony, po czym przebiegła wzrokiem od góry do dołu plecy Ishidy. To przecież mężczyzna, a ona nic nie wie o jego życiu seksualnym. Nic nie wie o życiu seksualnym japońskich mężczyzn. Przypomniała sobie, że gdy była młodzieńką dziewczyną, spotykała się z kolegą Kameruńczykiem. Przeżona, w ostatniej chwili nie zgodziła się pójść z nim do łóżka; pomyślała wtedy, że jest rasistką. Był bardzo miły, tak jakby się już przyzwyczaił do tego rodzaju zahamowań. Ten epizod nigdy nie wyleciał jej z pamięci, nieprzyjemne uczucie wstydu wobec niemożności przekroczenia pewnych granic.

Ciało Japończyka było niepokojące, dobrze umięśnione i krępe. Nie był piękny, ale emanująca z niego siła wprawiała Claire w przyjemne odrętwienie. Ruchy i gesty Ishidy podobne były do jego wypowiedzi. Zamierały dokładnie w miejscu i chwili, gdy stawały się bezcelowe. Wtedy jego ciało nieruchomiało, tak zwyczajnie, ze zniewalającym wdziękiem. Odłożył słuchawkę, usiadł, miał zatroskaną minę.

- Coś nie tak? - spytała.

Zaprzeczył ruchem głowy i lekko się uśmiechnął.

- Jest pan teraz bardzo zapracowany? - pytała dalej.

Podczas ich pierwszego spotkania, na pytanie „Co pan robi w życiu?”, odpowiedział, że jest radcą w ambasadzie Japonii i że mianowanie go w Paryżu było dla niego ogromnym zaszczytem, bo bardzo lubi Francję.

- We wtorek nie wrócił pan do domu - dodała od niechcienia.

Ishida nie był zaskoczony, świadom tego nadzoru. Czasem dostrzegał sylwetkę Claire w mroku jej mieszkania, nieruchomą, ukrytą za zasłoną w sypialni; sądziła, że jest niewidoczna.

- W Tuluzie zorganizowaliśmy wystawę japońskiej architektury. Musiałem tam pojechać na otwarcie.

Claire poczuła, że Ishida nie jest już taki sam po rozmowie telefonicznej. Był jakby nieobecny. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę, w milczeniu patrząc na siebie i się nie widząc. Kiedy Ishida chciał dolać herbaty, Claire nagle się poderwała.

- Och! Proszę popatrzeć! Tam, naprzeciwno! No tak! - krzyknęła.

Ze złością i triumfem wskazywała palcem podwórko, gdzie dokonywała się właśnie, na jej oczach, zapowiadana katastrofa.

Rozbłysło światło w jednym z okien. Od czasu kiedy wprowadziła się do kamienicy, mieszkanie nad nią stało puste, ale wiedziała, że taka gratka nie poczeka długo. Dla Claire takie wydarzenie było bardzo znaczące, Ishida wiedział o chorobliwym lęku przed hałasem, na który cierpiała. Stojąc obok niej, obserwował scenę podwórkową. Jakiś człowiek otworzył okno, wyszedł na balkon i omiótł spojrzeniem fasadę. Wydawało się, że przez dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na salonie Japończyka. Claire i Ishida natychmiast odwrócili głowy i cofnęli się do środka.

- To było zbyt piękne! - westchnęła Claire, ciężko siadając, jak pokonany żołnierz.

Rozejrzała się po spokojnym, jasnym pokoju i gwałtownie zateśniła za słodką normalnością czasu, który już odpłynął. Poczowała się znużona doświadczeniem po raz kolejny rzeczywistości świata i jej wybryków. Elektryzującym spojrzeniem wpatrywała się w jakiś punkt nad głową Ishidy i szybko mówiła ostrym głosem, trochę zdenerwowanym:

- Skąd przyjechał ten człowiek? Myśli pan, że jest samotny? Mam nadzieję, że nie zamieszka tu z dzieciarnią i z żoną kurą domową. Jeśliby tak było, nie pozostawałoby mi nic innego, jak tylko się wyprowadzić. Nie rozumiem, zwykle dozorczyńi wie, kiedy wprowadza się ktoś nowy. A tym razem, cisza.

Claire nagle zamilkła, wzięła głęboki oddech i próbowała się uspokoić. Gdy zastanawiała się, z zamkniętymi oczami, jak tu przetrwać tę osobistą katastrofę, Ishida pogrążył się w kontemplacji oświetlonego okna. Nagle ogarnęło go znużenie, gdy ukazał się tamten mężczyzna, jakby powrót dawnego bólu, o którym ciało zdawało się nie pamiętać. Claire otworzyła

oczy i drgnęła na widok jego surowego spojrzenia. Ishida ocknął się i powiedział z miłym uśmiechem:

- Próbowała pani?...

Z trudem zapanowała nad sobą, nie dała mu dokończyć zdania. Ishida rozpoznał w jej sztucznym uśmiechu to szaleństwo w zachodnim stylu - słabość zapowiadającą atak nerwowy.

- Wszystkiego próbowałam - odpowiedziała w najwyższym napięciu. Policzyła na palcach. - Oddechy, które pan mi pokazał, zabiegi mojego osteopaty, pozycje jogi. Nic z tego, nic mnie nie uspokaja... Tak już jest. Nie znoszę hałasu i tyle. I jestem pewna, że mam słuszość. Cisza to coś wspaniałego. Jest bezlitosna, to prawda, ale oddaje, co wzięła. Oddaje już przetworzone.

Claire zakaszła. Własne słowa wywoływały w niej niepokój. Jak zahipnotyzowana odwróciła głowę w stronę oświetlonego okna, marząc, żeby to był tylko sen. Ale nie, jawa nie zawsze podlega pertraktacjom, mieszkanie zostało zasiedlone. Ishida wstał i zniknął w kuchni wraz z czajniczką.

Claire poczuła, że ogarnia ją jakiś dziwny niepokój. Perspektywa hałasu, wdarcie się go w jej życie poprzez ściany i podłogi, boleśnie ścisnęła jej głowę jak metalowa obręcz.

- Proszę nie robić herbaty, ja już idę! - zawołała. - Boli mnie głowa.

Musi iść posłuchać, natychmiast to sprawdzić. Ishida odprowadził ją do drzwi. Pożegnali się po japońsku, ukłonem, który Claire uwielbiała. Głowa pochyla się zgodnie z przypadkowym rytmem, całkiem indywidualnym, niekoniecznie zgodnym z rytmem drugiej osoby, nadającym ruchowi charakter żywiołowy, a to bardzo ją bawiło. Sądziła, że taki

sposób pożegnania, wykluczający wszelki kontakt fizyczny, ma jednak w sobie pewną szlachetność, jakieś oddanie, niemające odpowiednika w świecie Zachodu, gdzie ludzie kłaniają się bez odwzajemniania, aby się unizzyć. Zniknęła w ciemności na schodach.

- Dobranoc! - krzyknęła z półpiętra.

Ishida stał w drzwiach i patrzył pustym wzrokiem, jak zahipnotyzowany, na bujający się pęk kluczy w zamku. Myślał, że powinien przestać się z nią widywać, że nie powinien jej wciągać, że to niebezpieczne dla nich obojga.

CLAIRE LEŻAŁA NIERUCHOMO W SWYM PODWÓJNYM ŁÓZKU, wyciągnięta na plecach, jak Eleonora Akwitańska, jak cudowna statua nagrobna spoczywająca w drewnianej szacie. Miała szeroko otwarte oczy zwrócone na sufit, nasłuchiwała odgłosów w sąsiedztwie, tak napięta, jak zając i myśliwy w ciszy lasu. Kiedy wreszcie zaczęła zasypiać, usłyszała kroki nad głową. Natychmiast ścisnął jej się żołądek, jakby zamknięty w dłoni. Z daleka usłyszała dzwonek telefonu komórkowego, kroki, stłumiony głos, a potem już nic. Ten człowiek jest sam, pomyślała. Kiedy przywieziono jego meble? Nie wiadomo. Byłam w domu przez cały dzień, nikogo nie widziałam, rozpamiętywała, zaintrygowana. Położyła ręce płasko na brzuchu, wokół pępka, i zaczęła wykonywać serię długich oddechów. Dynamiczny, śpiewny głos osteopaty Christiana Dietricha kierował nią na odległość: „Długi wdech do tchawicy, wydech powolny mięśniami brzucha. Wydech ma być dłuższy niż wdech, jak balon, z którego powoli ucieka powietrze”. Dietrich z trudem usiłował przekazać

jej swoje wyobrażenia, balon, powietrze rozchodzące się w całym ciele, od głowy, do palców u nóg, i to niepojęte „milczenie organów”, o którym często jej mówił. Trochę się odprężyła, miała w głowie pełno powietrza, w miejsce lęku pojawił się sen, pełen obrazów, niespokojny.



## 2.

CO RANO CLAIRE SCHODZIŁA DO SKRZYNIKI PO GAZETĘ, potem siadała w kuchni, przy pełnym czajniczku, i czytała wiadomości, zaczynając od ostatniej strony. Najpierw kultura, potem szybko przerzucała część sportową, dłużej zatrzymywała się na stronach „ekologia”, które wraz z rubryką „zdrowie” stanowiły pożywkę dla jej najbardziej posępnych scenariuszy. Nie miała siły pozbawić się tego źródła dodatkowego niepokoju, ciągle czytała, z druzgocącą rozkoszą, przygnębiając wieści o naszej planecie i ludzkim ciele. Wreszcie kończyła na głównym artykule, który często pomijała. Polityka coraz bardziej ją drażniła. Była przekonana, że na zawsze już została naznaczona wpływem poglądów rodziców, uważała, że dzieje świata są nudne. Z polityką jest tak jak z religią, myślała. Czy się poddaje, czy przeciwstawia, to sprawa rodziny. Załatwiła więc sprawę, głosując na lewicę, gdy uzyskała pełnoletność, tak jak się idzie do kościoła na Wielkanoc i na Boże Narodzenie.

Przeczytała portret aktora, uderzyło ją jedno zdanie. Mówił, że zawsze się nudził, jak tylko sięgnął pamięcią. Nuda dopadała go o każdej porze, w każdym miejscu. Claire podziwiała jego szczerość. Często dostrzegała, że nuda jest

traktowana jak jakaś ułomność, wstydliva, skrywana. Ona sama nieraz jej ulegała, ale za punkt honoru postawiła sobie, by tego nie ukrywać. Kiedy poruszano ten temat, zawsze jej mówiono, z zapalczywością i przekonaniem, że „ja, osobiście, nigdy się nie nudzę, mój Boże, nie! Zawsze mam coś do roboty!”. Więc nie nalegała. W kuchni, ubrana w piżamę, patrzyła na piękną twarz starzejącego się aktora, przyglądała się mu swoimi smutnymi niebieskimi oczami. Przez uchylone okno do jej małej żółtej kuchni napłynął łagodny prąd powietrza pachnący kawą. Wszystkie kuchnie w kamienicy wychodziły na małe wewnętrzne podwórko. W pogodne dni kuchenne odgłosy, szcęk talerzy, gwizd szybkowarów i nieskończenie rozmaite zapachy sprawiały, że Claire czuła się jak we Włoszech, takich Włoszech, jakie sobie wyobrażała.

Podniesione głosy nagle zburzyły spokój jej porannego rytuału. Wstała, żeby zamknąć okno, tak jak w miejscu publicznym odwraca się wzrok od kogoś obcego, kto płacze. Jednak ciekawość zwyciężyła obawę, więc znowu usiadła na czatach. Dobrze знаła protagonistów tego niedobrego spektaklu, który miał się właśnie rozegrać.

Chodziło o Louise i Antoine'a Bluardów, małżeństwo mieszkające piętro niżej. Sądząc po tonie dobiegającego głosu - nieopanowany, w wysokich rejestrach histeryczny, w niskich pełen bólu - Antoine musiał być mocno rozsierdzony. Claire nie darzyła specjalnymi uczuciami tego małego, chudego człowieczka o łysiejącym czole. W jej osobistej hierarchii ocen należał do „tych, którym głowa cuchnie nogami”. W dzieciństwie kolekcjonuje się zwykle breloczki do kluczy, obrazki z czekoladek Poulain albo komiksowe gadżety, Claire natomiast zbierała nawyki i przyzwyczajenia otaczających ją

ludzi. Kiedy dwie osoby miały podobną charakterystykę, zakładała nową kolekcję. Gdy dorosła, stosowała ciągle tę samą klasyfikację, która właściwie się nie zmieniała. Można było figurować na wielu listach. A więc jej sąsiad pojawiał się w dwóch różnych kategoriach: „Ci, którzy mówią do ludzi po imieniu, wtedy gdy się witają” i „Ci, którzy trzaskają drzwiami wejściowymi”. Ponadto Antoine Bluard był też na bardzo źle notowanej liście „tych, którzy cuchną nogami”, sąsiedował tam z angielskim piosenkarzem, superstar z lat osiemdziesiątych, i autorem komiksów, którego mijają czasami w korytarzach swojego wydawnictwa.

Wolała Louise niż jej męża. Blond czterdziestka, zawsze kosztownie wyperfumowana, była podobna do Delphine Seyrig. Claire, do której sprzedawcy przez nieuwagę mówili niekiedy „Dzień dobry panu”, uwielbiała szykowne kobiety. Z góry odrzucała te wulgarne, ale odczuwała dużą sympatię dla zmanierowanych aktorek, co to nigdy nie są naturalne i wszystkich denerwują. Uważała, że kobiety mogą robić z siebie widowisko, nie zazdrościła im kobiecości, bo wzorem byli dla niej wyłącznie mężczyźni.

- Dosyć tego, Louise, dosyć! - krzyczał Antoine. - Mam powyżej uszu tych twoich wymysłów! Nie opowiadaj mi, że jesteś przeciążona. Przypominam ci, że ja też pracuję. I nie przeszkadza mi to zajmować się Lucie.

Chwila ciszy. Claire wstrzymała oddech. Może przeszli do innego pokoju? W podwórku rozlegał się nieprzyjemny, świszczący głos Louise. Claire dostrzegła naprzeciwko cień pani Chevallier, przesuwaną się przy ścianie jej niebieskiej kuchni. Ile osób słuchało tego ranka kłótni państwa Bluardów?

- Zastanawiam się, po co wychodziłaś za męża? - ciągnął Antoine. - Po co tak się spieszyłaś, żeby mieć dziecko? Dlaczego? Chciałaś mieć pod ręką wielbicielek przez następne dwadzieścia lat? Czy nie tak? Żebyś nie została sama, kiedy będziesz stara i niedołączna? Żeby ją dopasować do koloru swoich ubrań? - Sąsiad zaśmiał się złośliwie, odrażająco. - Tak, może to właśnie z tej twojej głupoty. Żeby się dowartościować. - Na chwilę zamilkł. Cisza podwórka była ciszą grobową. - Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że ona cię i tak kocha - dodał zdesperowany.

Claire siedziała przy oknie; tego dnia Antoine wydał jej się raczej dobry. Miażdżący, logiczny, trzeba przyznać. Coraz lepszy, z upływem czasu. Cicho otworzyła okno na oścież, by słyszeć Antoine'a, którego głos niemal zamarł.

- Kiedyś wieczorem obserwowałem cię... Byłaś po drugiej stronie ulicy. Siedziałaś w samochodzie. Nie wiedziałem, co się dzieje. Siedziałaś nieruchomo, paliłaś. I wtedy zrozumiałem, zrozumiałem, że patrzyłaś w okno pokoju Lucie. Czekalaś, aż opiekunka zgasi światło i pójdzie do domu, bo nie chciałaś widzieć się z córką. Wiesz, kim jesteś, Louise? Jesteś zwykłą dziwką!

Cień pani Chevallier się poruszył. Głos pana Pogody z radia cicho sączył się na podwórko. Nieśmiała sąsiadka sygnalizowała małżonkom, że ich słyszy i że nie ma zamiaru pozbawiać się świeżego porannego powietrza. Niech idą do innego pokoju albo zamkną okno. A jednak władczy głos Louise zagłuszył wkrótce głos dziennikarza radiowego.

- To wszystko twoja wina i dobrze o tym wiesz. Zabrałeś mi córkę. To ty jesteś jej matką. - Po chwili dodała teatralnym tonem: - Ojciec wraca późno.

Claire się uśmiechnęła. Przesadza, pomyślała i wyobraziła sobie sąsiadkę z rozwianymi włosami, opalonym ciałem w neglizżu, papierosem dopalającym się w długich palcach z polakierowanymi paznokciami. Znudzona tym ponurym cyrkiem i tandetnymi sztuczkami, przygnębiona ich żalonym występowaniem, Claire z hukiem zamknęła okno i powróciła do swych zajęć.

Od momentu, gdy się obudziła, miała jakieś dziwne uczucie. Coraz częściej śnił jej się Ishida. Poprzedniej nocy rysował zakrzywione linie, linie załamujące się na ścianach jego salonu. Kreślił je bardzo szybko, z wielką swobodą. Patrzyła na niego z balkonu, a on co chwila się oglądał, uśmiechał i jej machał. Niezmiernie ją to bawiło, więc klaskała. Im bardziej ściany zapełniały się rysunkami, tym bardziej się śmiała. Dalszy ciąg się zamazał. Claire wzięła telefon komórkowy i wybrała numer informacji.

- Dzień dobry. Poproszę o numer biura turystycznego w Tuluzie.

Nagrany głos spytał, czy chciałaby, żeby ją połączyć.

- Tak, proszę połączyć. Dziękuję. Do widzenia - powiedziała do robota; stawiała sobie za punkt honoru, by zwracać się do maszyn jak do istot ludzkich.

Po kilku sygnałach ktoś się odezwał:

- Biuro turystyczne w Tuluzie, Hélène, dzień dobry.

- Halo, dzień dobry. Chciałabym zasięgnąć informacji w sprawie pewnej wystawy. Nie wiem, gdzie się odbywa. Wystawa architektury japońskiej.

Po paru chwilach oczekiwania i muzyki barokowej hostessa potwierdziła, że ekspozycja jest udostępniona w salach wystawowych ratusza.

- Jeszcze jedno - dodała Claire. - Otwarcie było we wtorek?

Hostessa sprostowała.

- Nie, proszę pani. W zeszłym miesiącu.

Claire zakończyła rozmowę i natychmiast wybrała inny numer.

- Gabinet doktora Béraud, dzień dobry.

- Halo, mówi Claire Brincourt. Czy mogę przyjść do Moniki dzisiaj przed południem?

Sekretarka chyba się zawahała. Słysząc było, jak przewraca kartki notesu. Scenariusz zawsze ten sam. Po przetestowaniu, czy sprawa jest pilna, zawsze ustępowała przed determinacją Claire.

- Jedenasta? - zaproponowała.

- Jedenasta, może być. Do widzenia.

Claire odłożyła słuchawkę, posprzątała w kuchni, zastanawiając się, z pewną obawą, dlaczego w jej śnie - nagle przypomniawszy jej się ten szczegół - Ishida był całkiem nagi.

CLAIRE ZAMKNEŁA DRZWI MIESZKANIA i zapytała się w myśli, czy sąsiad jest w domu. Od wczoraj nie słyszała z góry żadnego szmeru. Lubi dłużej pospać albo wcześniej rano wyszedł do pracy. Na podwórku wyrzuciła worek ze śmieciami do pojemnika zasłoniętego zielenią. Ujrzała Antoine'a, Louise i małą Lucie, także wychodzących na podwórko. Po awanturze, której była świadkiem, nie chciała, żeby ją zobaczyli, więc ukryła się za roślinami.

W tej samej chwili Paul Rossetti, nowy lokator, otworzył okno i oparł się o balustradę. Zauważył młodą kobietę pochyloną za drzewkiem kauczukowym, przy śmietniku, ze

studenckim plecakiem u stóp. Patrzył, jak szpieguje parę sąsiadów i dziewczynkę, oddalających się w milczeniu.

- Chodź tutaj! - niewidoczna dozorczyńni zawołała dużego biało-czarnego kota.

Claire kopnęła zwierzę, które ocierało jej się o łydki. Kot zamiauczał jakieś przekleństwo i spokojnie podreptał do domu. Claire już miała wynurzyć się ze swej kryjówki, ale tego nie zrobiła, bo dostrzegła wychodzącego Japończyka. Otworzył skrzynkę na listy, wyjął plik kopert i włożył go do teczki. Z trzeciego piętra Rossetti patrzył na Claire, która czekała, aż Japończyk zniknie, aby i ona mogła się ujawnić. Pomyślał, że z tą dziewczyną, tak podobną do Jean Seberg, chyba coś jest nie tak.

### 3.

KORZYSTAJĄC ZE SPÓŹNIENIA MONIKI, Claire zabrała się do pracy. Wyjęła z teczki gruby maszynopis i czterokolorowy długopis. Gdy ukończyła, na nienadzwyczajnym poziomie, studia z lingwistyki stosowanej, na wielką prośbę matki kuzynka zaproponowała jej pracę tłumaczki angielskiego w jednym z paryskich wydawnictw. Nie zrobiła tam furory, ale znowu na usilną prośbę matki za pośrednictwem kuzynki zgodzono się zatrzymać Claire, która okazała się dość dobrą wyłapywaczką literówek. Po upływie pewnego czasu od prac zleconych przeszła na etat i w końcu stała się filarem oficyny wydawniczej Legrand. Nie podobały jej się książki, których korektę robiła. W ogóle nie lubiła tego, co tam wydawano.

Pewnego wieczoru, gdy trochę nadużyli sake, Claire zaczęła tłumaczyć Ishidzie, dlaczego jest taka cięta na francuską powieść. Alkohol spotęgował jej drapieżność, ryżowe wino okazało się fatalne dla nielicznych subtelnosci, do jakich była zdolna w rozmowie na ten temat. Z krwiożerczym uśmiechem mówiła o rodzinie, klubach, autofikcji, perypetiach z kazirodztwem, chorobą, śmiercią, dziećmi, które znikają, i innych „odjazdach”, „od których już fiksuje”. Usiłowała wyjaśnić mu,



jakie spustoszenia powoduje opowiadanie w czasie teraźniejszym - to jej ulubiony temat - co pozwala „wszystko mieć w zasięgu ręki”, pozbawiać tekst, jak sądzi, wszelkiej niepokojącej niezwykłości, wprowadzając „wulgarną bliskość” między autorem, czytelnikiem i głównymi postaciami. Przyznała, że ceni dwóch, najwyżej trzech pisarzy: zwłaszcza jednego, „wielka klasa, styl uwodzicielski”, zaznaczyła. Spotykała go nieraz na koktajlach, rozdaniach nagród, uśmiechała się do niego jak do przyjaciela dotkniętego amnezją, który nie może już jej rozpoznać.

- Nigdy nie próbowała pani pisać? - spytał Ishida.

- Próbowałam - odpowiedziała ze śmiechem. - To było tak niedobre, że nigdy bym czegoś takiego nie kupiła, nawet w wydaniu kieszonkowym i nawet na dwugodzinną podróż pociągiem!

Zagłębiając się w kanapę obitą czarną miękką skórą Claire przypominała sobie tę rozmowę z Ishida, która jakoś dziwnie się zakończyła. Po pewnym czasie zaczęła parodiować miny i sposób mówienia znanych jej pisarzy. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, Ishida skręcał się ze śmiechu. Potem, otumanieni alkoholem, słuchali dawnych standardów jazzowych - jej sąsiad je lubił - muzyki, której w ogóle nie znała i którą kojarzyła z przybytkiem prostytutek, z zadymioną atmosferą, gdzie podstarzałe typy szepczą jakieś bezceństwa, sącząc whisky. Przypomniawszy jej się refren piosenki, którą wyrzaskiwał kobiecie głos:

*You're gonna love me like nobody's loved me  
Come rain and come shine  
Happy together and unhappy together...*

Nazajutrz trochę było jej wstyd, że urządziła takie przedstawienie, że pozwoliła oglądać swoją twarz i ciało tak długo, jak sąsiad sobie tego życzył, gdy odgrywała blazna w jego salonie. Nadmiar pracy sprawił, że przez pewien czas te wizyty, na szczęście, stały się nieco rzadsze. W każdym razie tamten wieczór był momentem zwrotnym w ich znajomości, taką chwilą, w której zdejmuje się marynarkę, by poczuć się swobodniej i dać do zrozumienia, że się zostanie trochę dłużej.

- CLAIRE, KOLEJ NA NAS.

Monica otworzyła drzwi, rozejrzała się po poczekalni i zatrzymała wzrok na pacjentce. Rozbawił ją widok Claire zawsze na tym samym miejscu, z torebką i teczką obok niej, blokującymi dostęp do kanapy. To cała Claire, która, Monica była o tym przekonana, nigdy nie wyleczy się ze swego lęku przed wyleczeniem. Znała to schorzenie i nigdy go nie lekceważyła.

Jeden rzut oka wystarczył Claire, by przekonać się, że jej lekarka jest dziś do niej dobrze nastawiona. Czasami przyjmowała ją pięć minut, po czym odsyłała zbitą z tropu, speszoną, bez lekarstw, nie zlecając badań, chociaż nic przykrego nie zostało powiedziane. Wykazywała po prostu pewną obojętność, co świadczyło o tym, że Claire przesadziła i lepiej by zrobiła, wcale nie przychodząc.

Monica to piękna pięćdziesięcioletnia kobieta, naturalna blondynka, wysoka, z rękami jak łopaty. Wystające, nieco słowiańskie, kości policzkowe, szerokie usta z wąskimi wargami, fantazyjne ozdóbki w nie najlepszym guście, pstrokate kostiumy, których noszenie wymaga odwagi, sprawiały, że na ulicy nie dało jej się nie zauważyć. Ameryka była jej wielką

miłością. Zawsze spędzała tam wakacje. Jeździła po Stanach od wschodu po zachód, z północy na południe, niestrudzenie od trzydziestu lat. Najpierw ze swoim pierwszym mężem i dwoma synami, potem z drugim mężem i jego dwoma synami. Zeszłego lata po raz pierwszy odbyli podróż tylko we dwoje. Monica była kobietą bez sentymentów, która dla uczczenia drugiej młodości swego małżeństwa zamieniła wynajmowany samochód kempingowy na kabriolet. „Cadillac deville 1970, skórzane obicia, *of course*, elektronicznie otwierane szyby, zielonozółty metalik, klejnocik”, powiedziała z błyskiem w oku. Claire bardzo chciałaby zapytać, co ona widzi takiego w tym kraju, takim jaki jest, ale nie miała odwagi. Dla niej Stany Zjednoczone, które wydały na świat Fitzgeralda, Faulknera i Salingera, teraz wydają już tylko grubasów, niemal urodzonych podczas joggingu, co to obejmują się, wołając *Jesus Christ* Claire chodziła do Moniki od dziesięciu lat i ciągle zdumiewała ją żywiołowość tej kobiety.

Kiedy lekarka dysponowała czasem i była w dobrym humorze, rozmawiały na wiele różnych tematów, które nie miały nic wspólnego z przypadłościami Claire. Jednak w ich relacjach zdarzały się niedomówienia i zakłamanie. Monica wiedziała, że Claire od czasu do czasu chodzi do innego lekarza zweryfikować jej diagnozę, a Claire domyślała się, że Monica o tym wie. Sądziła, że z tego właśnie powodu lekarka czasem ją karze, nie przejmując się jej chorobą. Nigdy nie zapominała o honorarium za najdrobniejszą nawet poradę i nigdy nie dawała jej bezpłatnych lekarstw. I tak to wyglądało, Monica za biurkiem, wyniosła i wspaniałomyślna, skuteczna i dodająca odwagi, a po drugiej stronie Claire, udreńczona, szalona i wierna.

- No więc, co się dzieje? - spytała Monica, wlepiając wzrok w Claire; ogromne ręce położyła na grubej teczce z dokumentacją, na której wierzchu czarnym flamastrem napisane było „C. Brincourt”.

- Boli mnie prawa noga - poskarżyła się Claire, krzywiąc się. - Byłam u Dietricha, coś tam pomajstrował, ale dalej boli. Zastanawiam się, czy to nie ma związku z jelitami, bo, wiesz, ból rozchodzi się stąd - wbiła palec w brzuch - i promieniuje aż do nogi.

Monica uważnie słuchała. Zazwyczaj nie kwestionowała szczegółowych objaśnień i bardzo zawiłych teorii Claire na temat dziwnych objawów cielesnych. Wizyty odbywały się zgodnie z ustalonym rytuałem. Monica pozwalała pacjentce przedstawiać swą diagnozę, pozwalała też, aby Claire miała wrażenie, że to ona sama sobie ordynuje lekarstwo; gdy niepokój był zbyt silny, kierowała ją na USG albo na badanie krwi. Gdy wyniki były jednoznaczne, Claire się wyciszała, gdy nie były doskonałe, w końcu akceptowała tę niedoskonałość, bo nie mogła już znieść niepokoju.

Od dziecka Claire cierpiała na lęk przed chorobą. Wnikliwa analiza pozwoliła jej zrozumieć wiele nagłych dolegliwości, z wyjątkiem tej jednej, która kazała jej zasięgać porady. Miała zresztą swoją własną teorię na ten temat: nieustanny niepokój, z jakim matka na nią patrzyła, zachwiały poczuciem oczywistości co do jej istnienia na tej ziemi. Była przekonana, że cierpi na „deficyt prawowitości”, do tego stopnia, że dzieliła świat na dwie odrębne części: z jednej strony ludzie prawowici, z drugiej nieprawowici. Pierwsi byli rozpieszczani, instynktownie obdarzani zaufaniem od najmłodszych lat. Nieprawowitym rodzice przekazali swój własny dreszcz trwogi przed życiem, brak wiary w siebie, a więc i w swoje

potomstwo. Zdawała sobie sprawę, że ta teoria jest niewystarczająca, ale czasem, w kontakcie z pewnymi osobami miała tak silne poczucie owej nieprawowitości, że na pewno „coś w tym musi być”. To kwestia przestrzeni, jaką sobie człowiek przyznaje albo nie przyznaje, i ta różnica oznaczała dla niej wyraźną granicę. Monica wstała.

- Zbadam cię.

Claire położyła się na kozetce, rozpięła spodnie i podciągnęła sweter. Monica, uśmiechnięta i spokojna, zmierzyła jej ciśnienie i obmacała brzuch.

- Co teraz robisz? - zagadnęła.

- Skończyłam czytać coś beznadziejnego - odpowiedziała Claire, wzdychając. - Historia uciekającej młodzieży. Pornura sprawa. Dharma Burns na autostradzie A 14, coś w tym guście! - dodała i wybuchnęła śmiechem.

- A dlaczegoż by nie? - odparła trochę oschle Monica.

Claire nie spodziewała się takiej reakcji lekarki, która nie znała się na literaturze i zwykle nie zabierała głosu. Może na amerykańskich drogach, ze swoim byłym mężem, czasami uważała się za koleżankę Jacka Kerouaca. Claire nie lubiła sprzeciwiać się swojej lekarce. Lepiej więc zmienić temat.

- Dobrze. Możesz się ubrać, chyba masz jeszcze zapalenie okrężnicy. To u ciebie staje się chroniczne - oświadczyła Monica, siadając za biurkiem.

- Zapalenie okrężnicy, no tak. Ale czy za tym nie kryje się jeszcze coś innego?

- Co? - spytała Monica, patrząc jej prosto w oczy.

- Jakiś guz, zrosty, czy ja wiem? - Claire, już ubrana, usiadła. - A ten ból w nodze? Co to takiego?

- Ból w nodze to skutek braku ruchu. Prowadzisz siedzący tryb życia. Powinnaś się więcej ruszać. A zapalenie okrężnicy to zapalenie okrężnicy.

Przeglądała dokumentację Claire, zatrzymała się na jednej stronie, zadowolona.

- No, widzisz, w zeszłym roku robiłyśmy kolonoskopię.

W czasie gdy Claire wypełniała czek, Monica pisała receptę.

- Lek na żołądek. I jeszcze raz przepisuję ci środek rozkurczowy.

Z uśmiechem wymieniły czek na receptę, jak dwie części kontraktu, przeczytanego i zaakceptowanego. Monica rozparła się w fotelu, już rozluźniona, nogi wyciągnęła pod biurko.

- Długo nie wychodziłaś z domu?

Claire przyzwyczała się do tego, że dla Moniki jej życie było niezrozumiałe. Lekarka zastanawiała się, jak można żyć z jedną jedyną perspektywą - praca innych i okno na podwórze. Nie była wtajemniczona w teorię nieprawowitości swojej pacjentki, więc uważała, że zwykła zmiana trybu życia lub tylko rytmu życia rozproszy hipochondryczne niepokoje Claire. Zrobił na niej wrażenie przypadek pacjentki, która wyleczyła się z depresji po przemeblowaniu sypialni i salonu. Jej zdaniem nie zawsze trzeba się rzucać w jakąś ogromną rekonstrukcję, odgrywać umarlaka, a potem jeździć na koniec świata, żeby postawić się na nogi i lepiej poczuć.

- Tylko tydzień. Miałam bardzo dużo pracy. Legrand wyciska mnie jak cytrynę. - Dodała ze śmiechem: - Postanowił zarabiać pieniądze!

- Nie miałabyś ochoty robić czegoś innego w wydawnictwie? - spytała Monica. - Zająć się komunikacją, na przykład.

To praca z ludźmi. Koktajle, salony, telewizja... - Mówiąc to, patrzyła tuż nad głową Claire, trochę z rozmarzeniem, a trochę z entuzjazmem. - Nie?

- Nie - odparła Claire. - Najbardziej lubię wyłapywać błędy, nonsensy, powtórki, banały. Tak jak naukowiec wywiadowca, który prowadzi badania DNA, wacha odczynniki, potwierdza hipotezy.

Monica zrobiła zawiedzioną minę. Miała pacjentów z kręgów wydawców i pisarzy. Ten nieco odległy, niedzisiejszy i elegancki świat pociągał tę pragmatyczną, niezłomną kobietę. Nie rozumiała, że Claire nie jest ani zafascynowana, ani fascynująca.

- Mogłabyś przepisać mi znowu środki nasenne?

Monica bez słowa wyciągnęła rękę w stronę Claire, która podała jej receptę. Dopisała lek i zwróciła receptę pacjentce.

- Jedną czwartą wieczorem, nie więcej.

Patrzyły na siebie w milczeniu, z niewyraźnym uśmiechem na ustach.

- Wiesz, Claire, nigdy nie znajdziesz ciszy, gdziekolwiek będziesz. To tak jak z chorobami, trwa bez końca.

- Masz rację. Wiem. Dobrze wiem, że zawsze będą nowe hałasy, klekoty, szmery, dzwonki, co nie mają nazwy, nie mają sensu, żadnego właściciela, które dochodzą nie wiadomo skąd, stąd czy stamtąd, od których dostają szau. Zauważ, na przykład program pralki to najwyżej półtorej godziny. Przynajmniej wszystko wiadomo. Wirowanie, dwadzieścia minut i koniec. To uspokajające. Co dziwne, ludzie zwracają uwagę na muzykę, tak jakby uznali, że to hałas. Ale nie na telewizję. Wiesz dlaczego? Ludzie są stuknięci, Monica, oni biorą telewizję za żywą istotę. Ja zawsze odróżniam głos z

telewizora od głosu prawdziwego. Jest przecież to nieznaczne przesunięcie w czasie, pół sekundy różnicy między sztucznym a naturalnym, między tym, co pewne, a wątpliwością. Ciekawa rzecz, prawdziwe głosy mi nie przeszkadzają... - Nagle zamilkła, czując, że mówi od rzeczy, i popatrzyła na Monicę. - Dobra, muszę już iść. Umówiłam się z Legrandem. - Zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale znowu usiadła. Powiedziała już spokojniej: - Wiesz, mam nowego sąsiada. Japończyka. Jest zdumiewający. - Zawahała się chwilę. - Zdumiewający, to słowo najlepiej go określa. Rozmawiałam z nim o moim lęku przed hałasem. Powiedział mi, że ludzie z Zachodu często sądzą, że do medytacji, na przykład w buddyzmie zen, koniecznie trzeba zasiąść w miejscu cichym. A to nieprawda, oni uważają, że trzeba usiąść w przejściu między dwoma pomieszczeniami, właśnie tam, gdzie może być ruch i hałas, tak jest lepiej dla medytacji. Interesujące, prawda?

- Co robi ten twój Japończyk?

- Mówi, że pracuje w ambasadzie Japonii. Ale tak naprawdę nie wiem, co robi.

- Szpieguje! - powiedziała Monica i wybuchnęła gromkim śmiechem. - Często się z nim widzisz? - spytała i podniosła się, dając Claire do zrozumienia, że usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe, a więc wkrótce wejdzie następny pacjent.

- Raz lub dwa razy w tygodniu.

Podeszła do Moniki i pocałowała ją w oba policzki.

- Zadzwoń do mnie, jakby coś było nie tak.

Claire wyszła z gabinetu bez odpowiedzi i zbiegła po schodach, podskakując w jakimś porywie odzyskanej młodości. Już na dworze zauważyła, że jest wspaniała pogoda,



bardzo błękitne niebo i wiatr na tyle silny, że można poczuć się jak nad morzem.

Jej pośpiech był kłamstwem. Legrand nie oczekiwał jej przed pierwszą. Często mówiła ludziom, że się spieszy, aby uwolnić ich od swej obecności, tej przekłętej obecności, niekiedy tak bardzo kłopotliwej.

Claire bardzo lubiła placyk, przy którym znajdował się gabinet Moniki. Czasem zatrzymywała się tam po wizycie. Tego dnia na skwerze panował ruch. Jej ulubiona ławka stała w cieniu przy fontannie. Człowiek bywał tu celem dla gołębi, podstępnych, usadowionych na ciemnych gałęziach pobliskich drzew. Ale przez dwadzieścia lat życia w Paryżu Claire już to przetestowała, „stosunkowo rzadko gołąb robi ci na głowę, biorąc pod uwagę liczbę tych ptaków latających nad miastem”. Wyjęła maszynopis, aby po raz ostatni przeczytać fragment, w którym język francuski tak bardzo usiłował wziąć górę nad żargonem, że autor wydawał się schizofrenikiem. Nie mogła się skupić, jej spojrzenie przyciągnął chłopczyk bawiący się obok ławki. Claire zafascynowało to, co robił. Usiłował nasypać piasku do małego kołowrotka, który zaczynał się kręcić, kiedy lejek w jego górnej części był wystarczająco obciążony. Ruchy chłopca, jego koncentracja niemal ją męczyły. Włączyła się w wysiłki dziecka. Bardzo lubiła dzieci. Zawsze i wszędzie wszystkim mówiła, że są wspaniałe, tak jak się nosi z dumą emblemat klubu. Często jej odpowiadano, bardziej lub mniej delikatnie, że „na co dzień dzieciaki nieźle dają w kość”, co Claire tłumaczyła jako „co ty o tym wiesz, przecież nie masz dzieci”. Właśnie to pozwalało jej patrzeć na nie z takim rozczeniem. Podziwiała ich powagę. Ich godność wyciskała jej łzy z oczu, łzy, takie

jak u dziewczynki źle traktowanej, jaką kiedyś była. Lubiała ich śliczne oczy, które odwracały się, gdy proszono dzieci, by się przywitały, ich anielskie rączki jak z Botticellego, nieśmiały uśmiech pojawiający się na ustach, gdy patrzyły na nieznajomych w metrze. Lubiała, kiedy komuś ufały, natężenie uwagi i umysłu, gdy trzeba było wypełnić jakoś chwile samotności. Pozostawione bywają na pastwę wszechwładnych, despotycznych rodziców - a ona zawsze uważała, że są piękne, inteligentne i nadzwyczaj odważne.

Dziecko uniosło głowę i popatrzyło na Claire. Jego twarz niczego nie wyrażała. Siedząca obok matka rozmawiała przez telefon komórkowy, od czasu do czasu sprawdzała, czy malec nie odszedł. Czy zdaje sobie sprawę z tego, co właśnie dzieje się u jej stóp? - zastanawiała się Claire. Nie wie, że jej dziecko odniosło właśnie ogromne zwycięstwo, wysypując do lejka wystarczającą ilość piasku, by kołowrotek zaczął się kręcić. Najbardziej liczy się aprobata matki, więc dziecko wstało, żeby podzielić się swoim sukcesem z tą kobietą zajętą czym innym, która szeroko otworzyła oczy, udając radosne zdumienie. Chłopczyk znowu usiadł. Claire wyszła ze skwerku. Pomyślała o panu Ishidzie, czy ma dzieci. W wieku czterdziestu pięciu lat ma może na swoim koncie kilka istnień.

## 4.

CLAIRE LEKKIM KROKIEM SZŁA ULICĄ DE SEINE, z przyjemnością włącząc się od wystawy do wystawy. Jej postać nie była zauważalna w Paryżu, mieście bez subtelności, gdzie relacje nawiązuje się tak szybko, że zmusza to do ostentacji. Potrzeba więcej niż jednego spojrzenia, żeby dostrzec, że ten banalny miejski twór kryje w sobie rozmaite skarby: świetlista cera, ręce niczym z obrazów prerafaelitów i oczy ciemne jak gęsty tusz. Jej ruchy nie miały wdzięku, chód, jakoś dziwnie sprężysty, był niezgrabny i wcale niezabawny. Przyzwyczajona do przezroczyści, nie zwracała na to uwagi, chyba że szła gdzieś z Louise. Jej wystrzałowa sąsiadka jak magnes przyciągała spojrzenia i wtedy Claire widziała, nie będąc widzianą, „jak to jest podobać się mężczyznom”.

Wystawa antykwariatu była udekorowana w duchu japońskim: sztychy Hiroshige'a, fotografie białych gejsz, prawdziwe gałązki kwitnącej wiśni. Claire weszła do sklepu i kupiła „klasyka literatury japońskiej”, poleconego przez Ishidę. „Zobaczy pani...”, dodał lakonicznie, z uśmiechem. W jego obecności często wydawało jej się, że prowadzi monolog. Słuchał jej, kiedy mówiła, nieruchomo siedział po drugiej stronie stołu, jak drań, który patrzy na tonącego i

nawet nie próbuje go ratować. I wtedy na jej porannym szczęściu osnuł się woal niepokoju, nie grubszy niż jedwab.

Weszła do bramy, przecięła piękne wybrukowane podwórko, otworzyła drzwi z wygrawerowanym złotym napisem „Wydawnictwo Pierre Legrand” i wspięła się na kilka schodków. Zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła do dużego biura. Komuś, kto pierwszy raz tu zawitał, miejsce mogło się wydać nieco osobliwe. Wyglądało, jakby nikt tu nie był, od chwili gdy wyszli dekorator wnętrz i jego fotograf. W tym białym, czystym pomieszczeniu nieliczne stylowe meble konkurowały ze sobą elegancką prostotą. Książki, tu niemal niestosowne, jaśniały swą dyskrecją; na wypolerowanych półkach były ustawione według serii wydawniczych. Teczki, maszynopisy i segregatory stały zgodnie z wymyślnym „kodem kolorów”, zastosowanym przez sekretarkę, tak samo jak jej szef przywiązującą wagę do symetrii i estetycznego ujednoczenia. Powietrze było nasycone zniewalającym zapachem męskiej wody toaletowej. Claire czekała, aż Legrand przestanie wpatrywać się w drzewo na podwórku i się do niej odwróci. Smukły, w ciemnym garniturze, z pociągłą twarzą, wyglądał jak typowo paryski krezus. Wreszcie odwrócił się i usiadł za biurkiem. Spojrzał na Claire siadającą naprzeciw niego na zimnym plastikowym krześle.

- U pani na podwórku są gołębie? - spytał, zapalając lekkiego papierosa. - Ma pani podwórko? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej zamyślony: - Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie lubią gołębi. Ja też ich nie lubię... No i niech pani powie dlaczego!

Legrand był specjalistą od tego rodzaju mętnych rozważań, pytań bez odpowiedzi, zawitych, mało ważnych kwestii.

Zapowiadająca się dyskusja na temat paryskiego ptaćwa w ogóle Claire nie interesowała. Odpowiedziała mu ze źle skrywaną nudą:

- Może dlatego, że są szare, sama nie wiem...

Ciężko położyła na stole gruby maszynopis, który wyjęła z teczki.

- Nareszcie skończyłam...

Spojrzenie Pierre'a Legranda ożywiło się, nastąpiło twarde lądowanie w gabinecie.

- No i jak, niezłe to nowe dziecko? - rzucił z entuzjazmem.

Claire uśmiechnęła się, odczekała kilka chwil i odparła ze szczyptą ironii w głosie:

- Tak. Tyle że nasz przyjaciel ma drobny problem ze zgodnością czasów, z podwojeniem spółgłosek... Nic nadzwyczajnego. Ale, co już bardziej kuriozalne, dwadzieścia siedem razy używa słowa „ruchać”. Zabawne, co?

Pierre Legrand znał opinię swej korektorki na temat obecnych produkcji literackich. Tolerował jej dziwactwa, bo dobrze pracowała. Żonie, która nie znosiła Claire, mówił, że ona jest „sztabką złota, bo umie postępować z autorami”.

Dodał nerwowo:

- Niech pani posłucha, pani Brincourt. Nie można ciągle narzucać ludziom tego, co ich nudzi. Cóż ja na to poradzę. Dwoję się i troję, ale pewnego dnia zwinę interes.

- W gruncie rzeczy pana największym wrogiem jest czytelnik. Gardzi pan nim za jego marne gusta, ale jest pan zmuszony wydawać to, co on chce. Pańskie życie jest piekłem!

Legrand nerwowo kartkował maszynopis.

- Dużo poprawek pani zrobiła?

- Sporo.  
- Proszę uważać, on bywa bardzo nieprzyjemny.  
- Wiem - odparła Claire. - Wiele razy rozmawiałam z nim przez telefon. Tak jest z młodymi: kiedy tylko prosisz, żeby przenieśli przecinek, myślą, że chcesz im zębami odgryźć przyrodzenie.

Wymienili zmęczone uśmiechy. Legrand odwrócił się z fotelem i spojrzał na fotografię przyczepioną do ściany pine-skami, przedstawiającą jego i niedawno zmarłego autora.

- Właściwie w Paryżu jest tylu autorów, ile gołębi. Po-trafi pani odróżnić jednego gołębia od drugiego? - Wbił wzrok w głęboko czarne oczy Claire. - Wie pani, pewnego dnia będę musiał się pani pozbyć. Pani mnie dołuje. Pani odstaje od nas.

Claire zignorowała ripostę wydawcy.

- Ma pan coś jeszcze dla mnie?

Legrand rozplatał swe długie nogi i poszedł po czerwoną aktówkę leżącą na stosie. Nie patrząc na nią, Claire włożyła ją do teczki.

- Nie ciekawi panią, co to takiego? Powinno się to pani podobać. To ten osteopata, którego mi pani sprowadziła na łeb. Między nami mówiąc, wydam to najwyżej w dwóch ty-sięcach egzemplarzy... Będzie musiał się tym zadowolić.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Claire uśmiechnęła się szczerze.

- Dziękuję. Nie pożałuje pan. W swojej dziedzinie ten facet jest bardzo kompetentny.

Wstała. Legrand rzucił się do drzwi, żeby jej otworzyć.

- A u pani wszystko w porządku? - zagadnął cicho, po-chylając się ku niej.

- Tak, tak. Wszystko dobrze - odpowiedziała, odsuwając się.

Po chwili wahania spytał trochę zmieszany:

- Zbliżają się wakacje, ma pani jakieś plany? - Nie czekając na jej odpowiedź, dodał wesoło: - Szczęściara z pani. Może pani pracować byle gdzie. Pakuje pani maszynopisy do walizki, laptopa i hop! Nad morze!

Claire знаła na pamięć te jego lęki bogatego szefa, dla którego słowo „wakacje” jest trudną do zniesienia rysą w kalendarzu, wulgarnym, pospolitym słowem. Nie miał pojęcia, jakie szkody mógł wtedy spowodować.

- Zadzwoń, kiedy skończę.

Za oszklonych drzwi Legrand patrzył na odchodzącą Claire. Szef działu sprzedaży uważał, że jest bardzo pociągająca, także sekretarka twierdziła, że Claire „ma w sobie coś”. Dla Legranda jednak było niepojęte, jak można dostrzec wdzięk w tej dziewczynie. Piętnaście lat po przybyciu do Paryża ciągle jeszcze trąciła prowincją. Lecz nie potrafiłby powiedzieć, co mu się w niej nie podoba. Ma go za głupa, to widać, a mimo to on nie żywi do niej urazy. Wielokrotnie podczas rozmaitych przyjęć zaskakiwała go jej pewność siebie w kontaktach z politykami, znanymi pisarzami lub wyniosłymi kobietami. Uważa chyba swoją egzystencję za tak mierną, że skutki jej postępowania także mogą być znikome. Tę koncepcję rozwinął na podstawie żalonych rozważań swojej żony, ale dla niego nie była wystarczająca. Może wręcz przeciwnie, ta dziewczyna jest po prostu cyniczna, czyli bardzo silna. Jak zwykle nie chciała podać mu terminów swoich wakacji. Po raz kolejny zadzwiała sobie z niego. W imię czego to akceptował, przecież czegoś takiego nie zniósłby od nikogo innego w firmie?

Może zmyliła go jej prawość. Zamknął za nią drzwi biura i długo wyglądał przez okno, pogrążony w bardzo zawitych myślach, krążących wokół postrzegania drugiego człowieka, nieprawdopodobnego dystansu dzielącego dwie ludzkie istoty, bez względu na stopień ich bliskości. Claire Brincourt nigdy nie będzie Pierre'em Legrandem i vice versa.

Po SPOTKANIU z LEGRANDEM Claire odczuwała lekki niepokój. Jak zwykle zgrywała się na bezczelną wobec tego facecika, którego nawet dość lubiła, lecz nie poważała. Jego zbijające z tropu oscylowanie od jakości do ilości nie przestawało jej irytować, a znosiła to już od piętnastu lat. Do tego dochodziła mentalność dyrektorska, która nie tak dawno temu kazała mu wspomnieć o odbijaniu kart pracowniczych. Atak zbiorowej hysterii oddalił ten projekt. Jak w jednej głowie mogły egzystować obok siebie: niezaprzeczone poczucie estetyki i aż taka prostacka przyziemność? Claire nie miała zamiaru zgłębiać tematu, ale nierzadko jedna przykrość pociąga za sobą drugą, tak więc łańcuszek rozdrażnień gwałtownymi falami natarł na jej wrażliwe jelita: niemal erotyczne sny z Ishidą, terminy wakacji, pieniądze, które wydała w księgarni mimo poważnego ich deficytu, nieładne odbicie jej sylwetki chodzące za nią od wystawy do wystawy, zapalenie okrężnicy, mała Lucie i jej, Claire, brak taktu wobec Japończyka. A przede wszystkim nie była w stanie wrócić do domu i stawić czoło temu, co się działo w mieszkaniu piętro wyżej, obecności nowego lub nowych sąsiadów. Odczuwała już pierwsze klucia dokuczliwego bólu głowy. W takich chwilach bała się sama siebie.

Pokręciła się po dzielnicy, w butik przy ulicy de Rennes przymierzyła spódnicę, stwierdziła, że jest koszmarna, po



czym postanowiła pójść do muzeum. „W muzeum się uspokajam”, mawiała, trochę dla prowokacji. Jej ulubione to muzeum Guimet i Luwr, gdzie nie była już od dłuższego czasu, a to z powodu pewnego nieprzyjemnego zdarzenia.

Claire dość późno rozsmakowała się w malarstwie, długo ją onieśmiał zarówno zakres tematu, jak i podniosły nastrój w muzeach. Kiedyś bardzo bliski jej mężczyzna zaciągnął ją na wystawę Ingres'a. Zgubili się w jednej z sal, ona go szukała, w końcu postanowiła zwiedzać dalej bez niego. Kiedy siedząc na ławce w sali bez okien, rozmyślała nad przyszłością swojej miłosnej przygody, zorientowała się, że nie jest sama. Obserwowało ją jakieś dziesięć osób. „Czy poczułeś się kiedyś obserwowany przez obraz?”, spytała później mężczyznę, którego zgubiła. Białe twarze uprzejmie na nią patrzyły, w całkowitej ciszy. Nigdy nie zapomni popołudnia z Ingres'em - brakowało jedynie gorącej herbaty, którą piękna pani Senonnes, olśniewająca w swej welurowej sukni o barwie złamanego różu, unosiłaby do ust. Na przeciwległej ścianie księżna de Broglie, mniej rozmowna, o jasnoblękitnej cerze jak chłodna satyna, nie była obojętna na udrękę zwiedzającej. Po lewej stronie dama w bardzo kwiecistej sukni, o wiotkich palcach, po prostu się do niej uśmiechała. Uśmiechała się jak żywa, wydawało się, że przekazuje jak kobieta kobiecie sekret rezygnacji, którego wyraz wyczuwalny był w jej wyniosłym i przymglonym spojrzeniu. To przeżycie było obłędne, zapoczątkowało intensywny, nieprzerwany dialog pomiędzy Claire a obrazami. Towarzyszyło jej później przy dziełach Bonnarda, van Gogha czy Francisca Bacona, aby wraz z nią dotrzeć do ostatniego szaleństwa, włoskiego Renesansu.

Postanowiła pójść za swym pragnieniem popatrzenia na Giotta i Uccella, zeszła więc do metra, stacja Saint-Michel. Zjadła sałatkę pełną sałaty w nie najlepiej wybranym barze, i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazła się przed *Świętym Franciszkiem* Giotta. Niepojęte przyspieszenia czasu, jak drobne cudzy wspomagają nieraz plany osób chronicznie znudzonych. Potrzebowała kilku minut, aby przejść od świata widzialnego do „iluzji”, która - jak wiedziała - jest nadzwyczaj ulotna i zależna od jej skupienia. „Trzeba wprowadzić się w odpowiedni stan”, mawiała. Tak więc, zanim wnikała do wnętrza obrazów, siadała i patrzyła na przechodzących ludzi, jednocześnie wprowadzając się w ten odpowiedni stan. Tego dnia było tam wielu turystów chińskich; dla zabawy starała się odróżniać ich od Japończyków. I wtedy ukazała jej się twarz Ishidy. Ten facet stał się jej obsesją i to nie była dobra nowina. Nie odrzucała myśli, że jej codzienne życie mogłoby się zmienić, ale bała się, by nie zmieniło się za bardzo. Musiała wreszcie przyjąć do wiadomości, że życie tego typka ma też ciemne strony. Jej uwagę przyciągnęła para Włochów, którzy filmowali obrazy malutką kamerą, cały czas idąc - długi *travelling* od Cimabuego do Gozzolego - aż zostali obrugani przez przewodnika. Po co filmują to, czego i tak nie oglądają? Ludzie gromadzą obrazy, wydaje im się, że wchodzi w ich posiadanie, i tylko to się liczy, pomyślała, wstając z ławki.

Stała przed *Koronacją Matki Boskiej* Fra Angelica i natychmiast wszystko ustało: otaczające hałasy, ruch wokół niej, jej ziemskie życie. Wniknęła w obraz, tak jak wchodzi się, będąc dzieckiem, do cudownego pałacu, którego przepych i złocenia biją w oczy. Jej spojrzenie przesuwano się po pełnych szczęścia twarzach świętych i aniołów, zagłębiało w

bladym błękanie i różu jak w ciepłej, rozkosznej kąpielii o tęczkowej powierzchni. Lubiła szczególnie malarstwo z początku Renesansu, takie, które sięgało jeszcze Średniowiecza. Istoty ludzkie są tam iluzją, bytami bez kości, bez krwiobiegu. Namalowane zostały na deskach, wydawało się więc, że mają konsystencję drewna. Sztywne fałdy szat, pochylone głowy. Nieskończona miękkość rysów postaci do głębi poruszała serce Claire. Oderwała się wreszcie od *Koronacji*, by podejść do wiszącej nieco dalej *Bitwy pod San Romano* Uccella. Uwielbiała ten obraz, szaleństwo wojowników i koni wirujących w jakimś fantastycznym tańcu. To mroczne dzieło, którego reprodukcję ujrzała w gabinecie pewnego autora, sprawiło, że Claire zainteresowała się malarstwem włoskim. Zawładnęło ją jak twardy narkotyk. Bardzo szybko freski Masaccia, Piera della Francesca i Botticellego wyparły z jej nocnego życia pejzaże miejskie. W marzeniach przechadzała się po labiryncie uliczek XV-wiecznej Florencji, wtapiała się w wenecki, złocisty tłumek z obrazów Gentile da Fabriano lub stąpała po soczystej ciemnej trawie *Wiosny* Botticellego. Dzień i noc zagłębiała się w detalach płócien, zachwycała się doskonałym światłem na draperii; wołała Leonarda od Mantegni, Giotta od Cimabuego.

Nie mogła już się zatrzymać; z taką samą pasją zaczęła poznawać życie świętych przedstawianych na obrazach. Była ateistką, nazywała ich „mały ciemny” lub „duży blondyn”; uwielbiała te niezwykle historie chrześcijańskich męczenników: ukamienowania, ćwiartowanie, topienie, gwałty, wyrywanie zębów i piersi, torsy poprzebijane strzałami, dekapitacje, łamanie kołem, ciała rozdzierane żelaznymi grzebieniami. Każdemu, kto zechciał słuchać, opowiadała o szerniałej

nodze Justyniana, świętym Eustachym i świetlistym krzyżu między rogami jelenia, świętym Piotrze ukrzyżowanym głową do dołu, świętym Jerzym na koniu, którego myliła ze świętym Michałem, o zwierzęcych skórach świętego Jana Chrzciciela, o drugim świętym Piotrze z toporkiem wbitym w czaszkę, o jedenastu tysiącach dziewic od świętej Urszuli. Była zaskoczona, że nigdy wcześniej o nich nie słyszała. Oglądała w albumach dziesiątki obrazów Matki Boskiej z Dzieciątkiem, ukrzyżowania, ucieczki do Egiptu, pokłonu trzech króli. Nad wszystkie sceny religijne przedkładała Zwiastowanie. Wyjaśniła Louise, skrycie zirytowanej, że w owej wspaniałej przestrzeni między aniołem Gabrielem a Marią odnajduje doskonały dystans między istotami; nie chłód, nie oddalenie, lecz pełną szacunku wzajemną obserwację i przychylnie słuchanie, a na to Claire była wyjątkowo uwrażliwiona.

Tak toczyło się życie Claire, ciągle na granicy niebezpiecznej fikcji. Pochłaniała historie świętych, aż do tego fatalnego dnia poprzedniej zimy, gdy poszła do Luwru, do sali malarstwa włoskiego. Poczula, że najwyższy już czas oderwać się od książek i stawić czoło rzeczywistości płócien. I tu, przed obrazami mistrzów Quattrocento, gdy przyszła zweryfikować swoją wiedzę, rozpoznać świętych, ich atrybuty, styl tego czy innego malarza, miejsca przedstawione na dalszym planie, perspektywę... Niczego nie rozpoznała, nic nie czuła, jak porażona, niemal oszalała. Wyszła z muzeum, czując mdłości, półprzytomna, wymyślała sobie - najgorsza obelga - od samouków. Zdając sobie sprawę, że zabrnęła za daleko, zamknęła książki, zeszyty, słowniki symboli i postanowiła „odsunąć je na jakiś czas”. I właśnie tego ranka, przed pastelowymi aniołami Fra Angelica z ulgą stwierdziła, że odnalazła intensywność swych doznań.

Wróciła do domu pieszo - ulica Rivoli, potem Châtelet, ulica Rambuteau, Vieille-du-Temple, aż do Cirque d'Hiver. Miała doskonałe samopoczucie, planowała już swój program studiów nad japońskimi sztychami. Nie będzie przestrzegać chronologii, pokieruje się własnym instynktem, co za „cholerna zmiana”, którą przetestuje jak cukierek o zupełnie nowym smaku.

## 5.

**S**ZYBKKA I SPREŻYSTA JAK PIŁECZKA DO JOKARI, rzeczywistość uderzyła Claire z całą swą mocą. W bramie dozorczyni prowadziła, jak się zdaje, trudną rozmowę z nowym sąsiadem. Odkryła wreszcie osobę, która dotychczas ograniczała się do ciemnej sylwetki na balkonie i odgłosu stóp na podłodze. Jak policjant, sporządzający rysopis podejrzanego, zanotowała w pamięci, że facet nosi koszulę w kratę, niemodne dżinsy, czarne buty i nie ma obrączki. Blondyn o niebieskich oczach - wyobraziła sobie jego bretońskie dzieciństwo, w okolicach Perros-Guirec, wśród żagli, na wietrze. Ale przymgłone spojrzenie tego mężczyzny przypomniało jej też Tomasza Manna i Niemcy z początku XX wieku. Robił wrażenie, trzeba to powiedzieć. Konsjerżka, Serbka, mówiła dziwnym francuskim, trudno zrozumiałym dla nowych lokatorów. Jak rasistka w dawnym stylu, bojaźliwa, ale w gruncie rzeczy niezbędna, próbowała uświadomić przybyszowi reguły obowiązujące w kamienicy. Claire stanęła między nimi i powiedziała do mężczyzny, przybierając ton doskonale obojętny:

- Mówi, że nie ma pan prawa umieszczać swojego nazwiska na skrzynce na listy. Trzeba zadzwonić do administratora, on zamówi plakietkę. Niedługo to potrwa: parę dni.

Popatrzył na obie kobiety, tak jakby miał do czynienia z dwiema idiotkami.

- A do tego czasu?

Dobitnie, powoli Claire zwróciła się do konsjerżki:

- Dzisiaj się tym zajmie. Na razie może chyba przylepić swoje nazwisko na skrzynce?

Czuła wzrok mężczyzny na sobie, od czoła do szyi, co wywołało mrowienie u nasady włosów. Wzięła kartkę z rąk konsjerżki i przykleiła ją na skrzynce sąsiada. Na razie, powtórzyła w duchu. Konsjerżka niesłyszalnie zamruczała pod nosem swoje zdanie, po czym zniknęła w stróżówce.

- Dziękuję. - Sąsiad uśmiechnął się, już rozluźniony, stojąc przed Claire.

- Nie ma za co. - Udawało jej się zachować cichy ton obojętności. - Muszę panu coś powiedzieć... Pracuję w domu, w dzień, ale również wieczorem, i potrzebuję spokoju. - Szczypta oschłości w jej głosie go zaskoczyła. - To tyle. Do widzenia - rzuciła, z podniesioną głową.

Gdy wchodziła na schody, była głęboko oburzona tym, że żądał dla siebie tak dużej przestrzeni życiowej.

Kilka wypelnionych pracą dni później Claire została zaproszona przez Ishidę na kolację, „bo jakoś tracimy się z oczu”, powiedział przez telefon. Wyobraziła sobie jego uśmiezek cudzoziemca, tam, przy drugim telefonie, wyrażający dumę, że potrafi bawić się niuansami języka francuskiego. Przygotował przepyszne i bardzo estetyczne japońskie przyjęcie, które stało się okazją do nowych komentarzy na temat japońskiej gastronomii.

- Wie pan, że wszyscy pana widzą? - Claire wskazała podwórko. - Nasze mieszkania podobne są do świetlistych

akwariów, ustawionych jedno na drugim jak pudełka. W Japonii nie zawiesza się zasłon?

- Nie o to chodzi - odparł Ishida. - Już za późno na zawieszenie zasłon. Moi sąsiedzi przyzwyczaili się do oglądania mnie co wieczór, więc nie rozumieliby, dlaczego pozbawiam ich nagle widoku mojego salonu. Chwyta pani? Uraziłbym ich. Już za późno.

W milczeniu jedli z wielu malutkich miseczek stojących na niskim stole. Claire ciągle spoglądała na podwórko. Jej mieszkanie było pogrążone w ciemności. Podczas pierwszej wizyty naprzeciwko ujrzała swoje mieszkanie z oddali. Zaznała szoku, gdy uzmysłowiła sobie, w jaki sposób postrzegają ją inni - wielka, oszałamiająca tajemnica. W salonie, który wydawał się ciemniejszy niż w rzeczywistości, obraz wisiał zbyt nisko, a żyrandol dyndał, śmiesznie mały i poczerniały od kurzu. Podejrzana plama rysowała się na poźółkłej ścianie nad starą sofą.

Wędrowała wzrokiem po fasadach kamienicy. W mieszkaniu nowego sąsiada paliło się światło, ale od Ishidy widać było jedynie sufity. Jakimś cudem człowiek ten okazał się wyjątkowo cichy. Dbał o sąsiedztwo? Nie bywał w domu? Trudno powiedzieć. Piętro niżej mieszkanie Bluardów było oświetlone jak port lotniczy. Żyrandole i punktowe reflektorki pozwalały dojrzeć wszystkie detale ich mieszczańskiego wnętrza: jasne kanapy, nieco twarde, jak teraz wymagają tego modni projektanci, stare bibeloty i abstrakcyjne obrazy, lampy o ostrych kształtach. Ani śladu Lucie, pomyślała Claire. To miejsce nie jest stworzone dla dzieci, lecz dla uwydatnienia długich nóg Louise, która opiera gołe stopy na jedwabnej poduszce, jak klejnoty. Diabelsko podobna do Delphine Seyrig, odgrywa senną burżujkę, palce zanurza



w rudych włosach, popija szampana, jakby omdlewa. Antoinette dużo mówi. Jego ręce tną powietrze, goście siedzą tyłem do okna.

Ishida odciągnął Claire od jej niemego filmu, pytając, czy spotkała już nowego sąsiada.

- Tak - odparła z westchnieniem.

- Co pani o nim myśli?

- Nie wiem, co odpowiedzieć. Na początku miałam ochotę dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Teraz jestem prawie pewna, że nie ma w nim nic ciekawego.

- Przeszkadza pani? - spytał Ishida.

- Nie, wcale nie. I tylko tego od niego wymagam. - Zamilkła, by przelknąć tempurę, po czym dodała: - Ma piękną twarz, to prawda, ale w naszych czasach uroda nie jest wiele warta.

- Hm... - mruknął Ishida z powątpiewaniem.

- Ten typek wydziela nudę. Jak zapaszek potu. - Roześmiała się, on nie. - Tak niewielu ludzi mnie zaskakuje - dodała, jakby stawiała kropkę nad „i”.

Poczuła, że się pogrąża, jak w niektóre wieczory, kiedy pozwalał jej trzepotać się w odmętach sprzeczności. W końcu przyszedł jej z pomocą.

- Kiedyś powiedziała pani, że to inni czynią nas godnymi zainteresowania.

Claire odparła, znowu oddychając normalnym rytmem.

- Tak, sądzę, że niektóre osoby już samą swą obecnością, sposobem słuchania dodają nam pewności siebie. Słyszemy własne słowa i zdumiewamy się, że jesteśmy tak błyskotliwi. Tak jak podczas zawodów sportowych, ktoś, kto biegnie szybciej, wciąga nas w swoją orbitę. Bo jeśli nie...

- Spojrzała w stronę okna Louise. - Jeśli nie, trwamy w półśnie... A między nami, po co epatować kretynów?

Mówiąc to, wprawiała się w drżenie. Jej pogarda zraziła prawie wszystkich przyjaciół. Dwie czy trzy osoby akceptowały jeszcze jej dziwactwa, bo nie brały tego do siebie. Sądziła, że Ishida jest odporny na jej sarkazm.

- Można też, umyślnie lub nie, zrobić tak, by osoba, z którą się rozmawia, nie mówiła nic osobistego.

- Zmusić ją do zachowania dystansu - zastrzegł.

- Mówi pan o mnie? - spytała z cieniem niepokoju.

- Kontynuuję pani wątek.

Po tych słowach Ishida wstał i poszedł zanieść do kuchni kilka pustych misek. Claire krzyknęła ze śmiechem:

- Przecież nie będę panu dawać lekcji z oficjalnych stosunków między ludźmi!

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Nie przestraszyła się. Tego wieczoru miała pełne zaufanie do Ishidy i do samej siebie.

Skorzystała z jego nieobecności i dalej szpiegowała. Salon Bluardów był pusty, wszyscy przeszli do stołu. U sąsiada na górze zgasło światło. Claire była wdzięczna temu mężczyźnie, że daje jej spokój, ignorując jej zdolność szkodenia. Ishida wrócił i usiadł naprzeciw niej, gibki i szczupły jak młody chłopak.

- Nad czym pani teraz pracuje? - spytał.

- Och, to coś specjalistycznego. Osteopatia.

- Pani wydawca ma się dobrze?

Claire nakreśliła tak szczegółowy portret Legranda, że pytanie o niego wydawało się Ishidzie jak najbardziej na miejscu.

- Nie, nie najlepiej. Bardzo dużo czasu spędza na obserwowaniu gołębi. Nie wygląda dobrze i mówi, że mnie zwolni.

Ishida się skrzywił. Claire go uspokoiła.

- Mniej więcej co sześć miesięcy grozi, że mnie wyrzuci. Denerwuję go.

Nalała trochę gorącej herbaty do filiżanki z niebieskiej porcelany.

- Dowiedziałam się, że ma jakieś problemy z żoną. Słyszałam coś o rozwodzie, ale nie wierzę w to. Za dużo komplikacji, za dużo wspólnych spraw... Widziałam ją wiele razy na różnych przyjęciach. Bardzo piękna kobieta, jak to się mówi, żyleta, chuda, luksusowa. Często spotykany model między ulicą du Bac a ulicą Université. Natychmiast mnie znienawidziła. Nie jesteśmy z jednego świata, nie bawi jej mój egzotyczny koloryt, to nieestetyczne, a poza tym zawsze będę od niej o dwadzieścia lat młodsza! Słowo daję, czasem jej nienawiść jest tak wielka, że gdy na mnie patrzy, sprawia wrażenie, że zaraz się rozplacze. Legrand jest w niej szaleńczo zakochany. Są po prostu jak towarzysze broni, bardzo do siebie podobni. Ale ona go niszczy swoimi wymaganiami, jak jakaś młódka.

Popatrzyła Ishidzie prosto w oczy. Nie chciała być tu jedyną osobą, która mówi.

- W dawnej Japonii, na dworze cesarskim, nie można było się starzeć - odezwał się. - Niech pani popatrzy na sztychy. Mijają wieki, płynie czas, a twarze i stroje się nie zmieniają. Moi przodkowie mieli tak rozwinięte poczucie piękna, które czas zabija, że zawsze przedstawiali starsze osoby w formie karykatury szpetnych starców.

- Czas przestaje upływać, gdy człowiek jest nieruchomy.

Claire przybrała minę pełną obojętności, w którą Ishida ani przez moment nie uwierzył.

- To uluda. Dobrze pani wie. Trwanie, jak nazywamy to w Japonii, jest tylko pojęciem, wyłącznie pojęciem. Żyjemy i umieramy jak wszędzie na świecie. Jesteśmy dziećmi - dodał z niezwykłym dla niego drżeniem w głosie.

- Cudownymi dziećmi! - rzuciła Claire.

Po czym, jakby chcieli wprowadzić w życie swoje odrębne doświadczenia czasu, przez długą chwilę siedzieli po turecku naprzeciw siebie, ze wzrokiem wbitym w dno filizanek. Być może ktoś w kamienicy ich obserwował, zaskoczony bezruchem Claire i Ishidy, obojga skąpanych w błękitnej poświacie na czarnym de fasady.

PÓZNO WRÓCIŁA DO SIEBIE, bardzo szybko zasnęła, wstała bez ociągania, zapomniała nocne sny, zjadła śniadanie, czytając gazetę przy zamkniętym oknie. Od kilku dni pracowała regularnym rytmem, w którym nie ma miejsca na nieprzewidziane okoliczności. Była skuteczna, zorganizowana, skupiona. Nawet niebo, codziennie równie błękitne, jakby udzielało jej odrobiny tego trwania, o którym mówił Ishida.

Cztery lata po dokonaniach węgierskiego dekoratora mieszkanie Claire uległo patynie, co sprawiało, że wydawało się zamieszkałe od czterdziestu lat. Obfitość przedmiotów, bibelotów wszelkiej proveniencji świadczyłaby raczej o długiej historii życia, bogatej genealogii, dalekich podróżach. Wrażenie jak najbardziej mylne. Po prostu Claire niczego nie wyrzucała. Od czasu „przygody z pudłem” nie chciała, by rodzinny dom służył jej za przechowalnię. Przed kilkoma laty, duże pudło z butami opatrzone napisem „rzeczy Claire”,

pozostawione w szafie jej dziecięcego pokoju, wylądowało w przytułku dla bezdomnych. „Przez nieuwagę”, powiedziała matka z niewyraźną miną, nie patrząc jej w oczy. Ogromna liczba książek ściśniętych na tanich półkach, ramki z fotografiami pisarzy, nijakie meble wywoływały uczucie, że wchodziło się do mieszkania starszej osoby, która odsunęła się od świata po dobrze wypełnionym życiu. Wiedziała o tym i podobą jej się myśl, że należy do innej epoki, choć z daleka mieszkanie mogło wydawać się zaniedbane.

Claire raczej nie zapraszała ludzi do siebie. Nawet Ishidy, który miał do przejścia tylko podwórko... Nie mogła znieść tego, że musi zostawić gościa w salonie, gdy ona robi kawę w kuchni, bała się, że ktoś weźmie książkę i powie „pożyczam sobie”, nie chciała, żeby oglądano jej łóżko, obawiała się zapachów z kuchni. Nie życzyła sobie, by wbrew jej woli odkrywano szczegóły jej życia. Wpuścić ludzi do domu, to tak jak oddać kierownicę komuś, kto - choć nawet poczciwy - okaże się być może kiepskim kierowcą.

Co rano, po nierozsądnie gorącym prysznicu, Claire włączała pralkę i układała w wiklinowym koszu bieliznę, która od poprzedniego dnia wisiała na suszarce nad wanną. Potem siadała przy biurku pośród słowników i leksykonów. Oszczędnie używała komputera, tylko wtedy, gdy nie dało się tego uniknąć. Uważała, że książki są bardziej wiarygodne. Przy pracy przedpołudnie szybko mijało. Książka Dietricha była niezłe napisana, nawet przekonująco. Postaci nakreślone przez autora to mężczyźni i kobiety w sytuacjach zachęcających, tak bardzo wydawały się proste. Claire rozpoznała kilka z nich, o których Dietrich jej mówił, ale one wiązały się z bólem.

O pierwszej robiła przerwę na obiad, jadła, oglądając wiadomości telewizyjne. Narzucała sobie, jak wszyscy, tę litanię okropieństw, przeważnie takich samych tu czy tam, w nieznanach miastach, które umiejscawiano na mapie przed nadaniem reportażu wysłannika specjalnego. Claire wzdrygała się przed ponoszeniem jakiegokolwiek odpowiedzialności za nieszczęścia tego świata pod pretekstem, że z jej kranów woda płynie obficie. A jednak nie chciała wyjaśnić, dlaczego nigdy już nie chodzi pewną ulicą w swojej dzielnicy. Codziennie, już od miesięcy, stary człowiek, wysoki, przygarbiony, grywał rozdzierającą melodię, pocierając smyczek o piłę. Podobny był do prowincjonalnego emeryta, eksksięgowego albo nauczyciela osamotnionego po śmierci żony. Ta scena raniła jej serce. Po zrobieniu zakupów wrzucała mu do czapki pieniądze, sprawdzając przy okazji, czy inni też wrzucili je przed nią. Odwracała głowę, żeby nie napotkać wzroku tego człowieka, który na pewno był czymś dziadkiem. Dręczona współczuciem, któregoś smutnego poranka postanowiła nigdy już nie chodzić tą ulicą dzielnicy Marais. Claire bardzo ciężko przeżywała nieszczęście innych, uważała więc, że aby przeżyć, jest skazana na niewiedzę o nich. W gruncie rzeczy nie czuła się dobrze z tym świadectwem nieco luksusowej delikatności. Odwracała wzrok od wielu ludzi śpiących w metrze, w brudnych śpiworach, ale niekiedy w złe dni ich nieszczęście stawało się jej nieszczęściem. Bliźni...

Gdy przelykała ostatni kęs steku, ktoś zadzwonił do drzwi. Poderwała się, błyskawicznie wyłączyła telewizor, przeniosła tacę do kuchni i obejrzała zęby w lustrze wiszącym przy wejściu.

- Kto tam? - spytała.

Otworzyła, nie czekając na odpowiedź. To stary pan Lebovitz, jej jedyny sąsiad z piętra. Odsunęła się, by go przepuścić, i wskazała fotel. Nie próbowała już sadzać go na kanapie - zbyt miękka, a on cierpiał na bóle kolan. Pan Lebovitz był niskim mężczyzną o gęstych siwych włosach. Jego pomarszczona, blada skóra wyglądała jak naciągnięta na szkielec, na wypielegnowanych rękach była cienka i błękitnawa. Zarówno w lecie, jak i w zimie nosił ciemny garnitur i nie zawsze całkiem czystą koszulę, zapiętą pod samą szyję. Ale cała jego osoba absolutnie nie upoważniała tej „idiotki z piekarni” na bulwarze, żeby mówiła do niego „dziadku”, tak jak zwykle się odzywała do wszystkich emerytów z dzielnicy. Claire co rano sprawdzała, czy zszedł po listy, a wieczorem, czy świeci się u niego światło. Nie robił prawie wcale hałasu. Czasami, podczas żydowskich świąt, cichutko śpiewał, wtedy Claire stawała przy swoich drzwiach wyjściowych i słuchała tych śpiewów z innych stron i z innych czasów. Jego żona młodo umarła, w latach siedemdziesiątych, a jedyna córka mieszkała w Izraelu. Przyjeżdżała do niego dwa razy w roku i szokowała Claire swoją brutalnością wobec tego małego człowieka, kruchego jak porcelana. Nie chciała uznać starości ojca, a może mściła się za wychowanie, którego nie lubiła, za smutną, byle jaką młodość na tym ciemnym drugim piętrze od strony podwórka.

Claire zaproponowała starszemu panu kawę, lecz on grzecznie odmówił. Ostatnio miał trudności w oddychaniu. Poszła do swojego pokoju i prawie natychmiast wróciła z książką, którą włożyła mu do rąk.

- Widzi pan, znalazłam ją! - oznajmiła triumfalnie.

Był to stary atlas z lat dwudziestych, którego pan Lebovitz od pewnego czasu bezskutecznie poszukiwał. Claire kupiła go w kilka minut przez Internet - sposób, o którego istnieniu pan Lebovitz nie słyszał.

Na klęczkach obok starszego pana Claire z entuzjazmem patrzyła na książkę, którą on kartkował drżącą ręką, jakby strony były gorące.

- *Mazel tov!* - wyszeptał, uśmiechając się do siebie.

Claire czuła jego bliską obecność. Nie ruszała się, nasłuchiwała jego oddechu, trochę świszczącego. Od dziecka miała ten zwyczaj, by „wyczuwać”, jak mawiała, życie ludzi, stojąc tuż obok i doświadczając ich istnienia. To było coś, czego nie potrafiła wyjaśnić, jedynie pan Ishida zrozumiał od razu. Obecność pana Lebovitza była czymś wyjątkowym. Z jego garnituru emanowała bardzo złożona woń: zapachy kuchenne, lekki tytoń - bo palił, bardzo nierozsądnie - rosyjska woda toaletowa, którą przywoziła mu córka. Nic innego nie przenikało z jego ciała, prawie martwego, ale oddech, krótki i szybki, był oddechem mężczyzny, mężczyzny, który trzymał w ramionach kobiety, zanim powrócił do wagi dziecka. Pan Lebovitz zachował wielką przytomność umysłu. To było najtrudniejsze do wytłumaczenia, nieogarniony ciężar gatunkowy intelektu.

- Ile jestem pani winien? - spytał z poważną miną.

- Nic - odparła Claire.

- Nalegam - powiedział sąsiad surowo.

- Jak pan się czuje, panie Lebovitz? - zagadnęła dla odwrócenia uwagi.

- Czuję się wyśmienicie.

Zawsze tak odpowiadał, albo „zdrowy jak malina, jak koń, jak ryba”, w zależności od swojego nastroju i rozmówcy.



Doprowadzał do szału konsjerżkę, która nie rozumiała jego poczucia humoru. Pan Lebovitz nigdy się nie skarżył. To od jego córki Claire dowiedziała się, że bardzo cierpi na reumatyzm stawowy i że z powodu bólów coraz rzadziej wychodzi.

- Wie pani zapewne, że im człowiek starszy, tym lepiej przypomina sobie dawne zdarzenia. A więc, Claire, jeśli pani dzieciństwo było szczęśliwe, taka też będzie pani starość.

Claire spuściła wzrok, zmieszana. Nie tylko młodość pana Lebovitza stanowiła tabu z powodu okrucieństw, jakich doświadczył - młodość Claire nie była godna nawet odrobiny zadumy. W gruncie rzeczy pan Lebovitz był człowiekiem fascynującym. Wyczuwała w nim skrywaną złość, którą trzymał w klatce z obawy, że mogłaby go zniszczyć, tyle jej się w nim nagromadziło.

- Moja droga, a jak pani się czuje?

Za tym pytaniem czaiło się następne. Zadane jemu oznaczałyby: A więc, panie Lebovitz, jak tam pana sprawy ze śmiercią? Zadane Claire znaczyło: A więc, Claire, jak tam sprawy męsko-damskie?

- Dobrze, dobrze.

- Wie pani, że mamy nowego sąsiada? - spytał z odrobiną niepokoju w głosie.

- Tak - odparła z wahaniem.

- On mi się nie podoba.

- Czemu to? - Claire była zaskoczona. Jej stary przyjaciel był zwykle albo obojętny, albo przychylnie nastawiony do świata.

- Jest w domu albo go nie ma, nie wiadomo. Wchodzi i schodzi po schodach zupełnie bezgłośnie, czasem zatrzymuje

się na klatce, jakby podsłuchiwał, co dzieje się u sąsiadów. Sądzę, że nie zabawi tu długo.

- A dlaczego? - spytała Claire zaintrygowana.

- On tu się zjawił po coś... albo po kogoś.

- Tu, w tym domu?

- Tak. - Zamilkł na chwilę. - Po panią, po mnie albo po kogoś innego. Po tego okropnego kota konsjerżki... - roześmiał się.

- Pan sobie ze mnie żartuje, panie Lebovitz.

- No, nie wiem... może.

Dalej się uśmiechał, przewrotny jak dziecko. Nagle się zajął i popatrzył na Claire z takim natężeniem, że poczuła chłód.

- Moja droga, są na tej ziemi ludzie, są ludzie...

Umilkł, zaciskając szczęki. Od pewnego czasu zaczynał zdania, których nie kończył, na co wcześniej nigdy sobie nie pozwalał. Głęboko odetchnął i wstał.

- Dziękuję pani, Claire. Niech pani pozwoli zaprosić się na kolację w któryś z najbliższych wieczorów. Tu obok otwarto włoską restaurację...

- Z przyjemnością - odparła Claire.

Popatrzył na nią z uśmiechem i dodał:

- Jestem pewien, że jest pani Żydówką.

Claire, śmiejąc się, wzniosła oczy do góry.

- Mówiłam panu przecież, że mój ojciec pochodzi z Bretanii, a matka z Alzacji.

Pan Lebovitz odwrócił się, otworzył drzwi. Już z korytarza szepnął, tak jakby nie chciał, by usłyszeli sąsiedzi:

- W Alzacji jest dużo Żydów. Kilku też w Bretanii.

Claire wybuchnęła gromkim śmiechem i poczekała, aż starszy pan zniknie w swoim mieszkaniu, po czym zamknęła drzwi.

Zastanawiała się, czy pan Lebovitz zawsze miał za uchem tę małą, podłużną cienką bliznę, którą właśnie zauważyła. Nie chodzi o to, by rozmawiać z ludźmi, już sama obserwacja ich jest studnią bez dna. Otworzyła maszynopis na rozdziale *Kręgi lędźwiowe* i pogrążyła się w pracy.

## 6.

CLAIRE SZYBKO POSUWAŁA SIĘ NAPRZÓD W SWEJ PRACY. Ciało dawało jej spokój - Dietricha „milczenie organów” - w kamienicy panowała cisza. Wieczory spędzała między panem Ishidą, ostatnio nieco rzadziej, bo często wyjeżdżał, a filmami Jeana-Luca Godarda, które знаła prawie na pamięć. *Pogarda* była jej ulubionym. Przeszywający jak zawrót głowy, te spowolnienia w głosie Bardot, ujmująca muzyka, skwarny upał. Claire była jak urzeczona, nigdy nie razila jej wieczna młodość aktorów i dojmująca beznadzieja niektórych scen. Bardzo uwrażliwiła się na to, że „zawsze oczekujemy czegoś od kogoś, wszystko w tym się zawiera, a reszta nie ma wielkiego znaczenia”. Pożyczyła kasetę Louise, która zwracając ją, po prostu podziękowała, tak jakby chodziło o jakiś banalny film, który ogląda się po kolacji, przed pójściem spać. Tak po prostu.

Zresztą jej relacje z sąsiadką ostatnimi czasy się pogorszyły. Pewnego ranka jej rozdrażnienie osiągnęło granicę, po której przebyciu przeważnie paliła za sobą mosty. Jadła śniadanie przy otwartym oknie, gdy usłyszała głos Louise, łagodny i powabny.

- Co wolisz, Ogród Luksemburski czy Ogród Botaniczny w Lasku Bulońskim?

Claire spodziewała się, że usłyszy Lucie, ale cisza przedłużała się, więc Louise podjęła:

- Musisz mi powiedzieć, na co masz ochotę. Chcesz pójść do kina?

Żadnej odpowiedzi. Słodki głos Louise stał się cierpki.

- Posłuchaj, jest ładna pogoda, idziemy do Ogródu Luksemburskiego.

Odgłos zmywania. Cisza.

Nagle rozległ się głos Lucie, jak pełen niepokoju głosik małego dziecka w komiksie.

- Tatusi ci nie powiedział, że jestem zaproszona na urodziny Mathilde?

- Kto to jest Mathilde? - rzuciła rozdrażniona Louise.

Chyba drży, wyobraziła sobie Claire; zauważyła tę słabą stronę u sąsiadki, w chwilach gdy ta się denerwowała.

- Dziewczynka z mojej klasy. Jeśli nie pójde, nie będę już jej przyjaciółką. No i trzeba by kupić prezent.

- Posłuchaj, nikt mnie nie uprzedził. Te całe urodziny w ogóle mi nie pasują. Nie, w żadnym razie.

Claire była załamana. Lubiła Lucie całą siłą swej ogromnej niechęci do własnego dzieciństwa, zmarnowanego przez rodziców.

Lucie Bluard podobna była do laleczki z dawnych czasów: angielska bladeść, małe usta, pulchne ręce i łydki, smutny wyraz zdziwienia na twarzy. I tak jak lalka zostawała tam, gdzie się ją zostawiło, na krześle, na siedzeniu w samochodzie, na karuzeli, milcząca i zrezygnowana. Jej wielkie nieruchome oczy pochłaniały obrazy, dźwięki i kategoryczne słowa,

które dużo później nadadzą jej dorosłemu życiu barwy chropowatej albo całkowicie wygładzonej.

Claire zajmowała się dziewczynką, kiedy nie można było znaleźć opiekunki. Rozmawiały, leżąc na łóżku Lucie, a pościel wydzielala zniewalający zapach cukru. Prowadziły dialog jak dwie szanujące się osoby, każda czekała, aż druga skończy, by z kolei sama zacząć mówić. W opowieściach o swoim życiu Lucie nigdy nie wspominała o rodzicach. Claire była jej idolką, jej wzorem, osobą wolną, która opowiadała jej śmieszne historie o mieszkańcach kamienicy, która tańczyła w kuchni, przygotowując jej kolację, i dyskretnie odchyliła zasłonę, by szpiegować panią Chevallier - nazywała ją panią Koń z powodu jej przednich zębów. A potem jej przyjaciółka odchodziła, ale nigdy nie była daleko i to dodawało Lucie otuchy.

Claire usłyszała coś jakby szloch, ale nie była całkiem pewna. Najlepiej zamknąć okno, pomyślała. „Przecież nie da się walczyć z matką”, zamruczała do swojego odbicia w łazienkowym lustrze. Aby zapomnieć o tym koszmarze, przez cały dzień pracowała, nawet nie podnosząc głowy.

ZESZTYWNIĘŁA PO DŁUGICH GODZINACH SKUPIENIA, przygotowała sobie kąpiel. Zanurzyła się w ciepłej tęczowej toni piany, zaczęła czytać dla zmylenia nudy, która czyhała jak paskudny ból gardła.

„Nasi przodkowie uważali kobietę, tak jak przedmioty z laki przyprószone złotym proszkiem albo macią perłową, za istotę nieodłączną z mrokiem i w miarę możliwości starali się ją pogrążyć w ciemności; stąd długie rękawy, długie treny, które spowijały cieniem dłonie i stopy, w taki sposób, że

jedyne części odkryte, czyli głowa i szyja, nabierały zniewalającego blasku”.

Claire zamknęła oczy. Nadzwyczajna pamięć fotograficzna pozwalała jej widzieć w najdrobniejszych szczegółach obraz czy zdjęcie, tak jakby miała je rzeczywiście przed oczami. Tekst Tanizakiego przypomniawszy jej sztych japoński, który - na jakiejś wystawie - dosłownie ją urzekł, na długo przed znajomością z Ishidą. Sztych przedstawiał młodą śpiącą kobietę z głową opartą na ręce... Claire pamiętała, że jej kimono było obszyte na czerwono. Był też tam kolor zielony. Jej bardzo blada cera odcinała się na beżowym de, jakby malarz zapomniał dokończyć pracę. Najbardziej dziwił kłęb dymu wydobywający się z czubka polakierowanej fryzury. Wewnątrz owej koafiury wyobrażony był sen młodej kobiety, zainspirowany książką, którą trzymała w ręce - sen o trudnej miłości, o splecionych ciałach.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Może dzwonił od dłuższej chwili. Straciła poczucie czasu w gorącej kąpieli pełnej piany, w swym marzeniu o gejszach. Ostatnio ciągle ktoś dzwoni, pomyślała, trochę zirytowana. Wyszła z wanny i nie wycierając się, włożyła przygotowane wcześniej ubranie, z nadzieją, że znecierpliwiony nudziarz wreszcie sobie pójdzie. Ale dzwonek znowu się odezwał.

- Kto tam? - spytała dość nieprzyjemnym tonem.
- Paul Rossetti.

Claire zastanawiała się przez chwilę, kto to taki ten Rossetti, ale szybko przypomniała sobie nazwisko na skrzynce na listy nowego sąsiada. Była wyjątkowo rozżłoszczona tą wizytą. Od chwili gdy tu zamieszkała, prawie nigdy go nie

widowała. Czasem o nim myślała, kiedy słyhać było jego kroki lub otwieranie okien, ale odczuwała wtedy pewne zażenowanie. W gruncie rzeczy podzielała zdanie pana Lebovitza, ale nie z tych samych powodów. To głupie skojarzenie, że samotna kobieta mieszka pod samotnym mężczyzną, i to dziwaczne miejskie osamotnienie...

Claire otworzyła drzwi, nie mogła postąpić inaczej. Stojący przed nią, absolutnie pewny siebie mężczyzna patrzył jej prosto w oczy i nawet nie mrugnął. Ona długo milczała i tych długich chwil już się wstydzila.

Na twarzy Rossettiego zagościł uśmiech, jakoś dziwnie łagodny przy jego ostrych rysach człowieka Północy. Claire zwróciła uwagę, że ładnie pachniał, że uczesał się, że prasował koszule z przekonaniem, ale bez talentu, że miał paznokcie wypukłe jak łupinki pistacji. Był to mężczyzna zadbany, ale jedyny, który do wyjścia przygotowywał się ze starannością młodzieńca. Zrozumiał, że Claire nie chce go wpuścić.

- Moje dawne mieszkanie znajdowało się nad mieszkaniem pary młodych ludzi. Mówiliśmy sobie dzień dobry, dobry wieczór. Byli bardzo weseli, słyshałem, jak śpiewali i śmiali się. Biegali po schodach jak dzieciaki, wracali z pracy z taką energią, jakby spędzili cały dzień na plaży. Ona zaszła w ciążę, urodziło się dziecko. Prawie wcale nie płakało. Pewnej niedzieli rano się wyprowadzili. Dwie godziny później definitywnie zniknęli z mojego życia.

Claire osłupiała. Ten facet dawał jej właśnie do zrozumienia, że chce zawrzeć z nią znajomość. I to w sposób absolutnie, absolutnie... nie znajdowała odpowiedniego słowa. Bez zastanowienia odsunęła się, by wpuścić go do środka. Obecność tego człowieka na jej terytorium była bardzo ważnym



wydarzeniem, które przeżyła na pograniczu paniki i niepomowanego śmiechu.

- Proszę usiąść - powiedziała.

Mężczyzna był bardzo duży, więc salon się zmniejszył. Rozsiadł się na kanapie, ciągle się uśmiechał, uśmiechem łagodnym i niezdecydowanym.

- Napije się pan czegoś?

- Kawy, dziękuję - takiej odpowiedzi się obawiała. Ekspres do kawy, którego nigdy nie używała, stał w głębi szafy, nie była pewna, czy ma filtry, a kawa na pewno już zwietrzała. Unieruchomiona w kuchni, miała wrażenie, że ta operacja nigdy się nie skończy. Automat wydawał odgłos wymiotowania. Claire wyjęła dwie filiżanki, sprawdziła, czy są czyste.

Rossetti wykorzystał tę chwilę, by obrzucić spojrzeniem salon sąsiadki. Przede wszystkim zauważył, że ma doskonały widok na Japończyka. Po prostu ogromny ekran telewizyjny, pomyślał. Pokój wydał mu się nieładny. Ta żółć na ścianach to pomysł jakiegoś świra. Kiedy już przyjrzał się oprawionym w antyramy reprodukcjom, kupowanym zapewne w muzeach, bibelotom wynalezionym na pchlim targu i pismom rozrzuconym na niskim stole, otworzyła się klapka w jego głowie: szczęśliwa singielka, estетка bez forsy, panienska z głową w chmurach. Ale to mu nie wystarczyło. Jest tu coś jeszcze. Będzie patrzył, słuchał, rozważał, żeby wyrobić sobie zdanie, znaleźć. Usłyszał, że coś spada i rozbija się na podłodze w kuchni, chciał się podnieść, i tego nie zrobił. Podobają mu się jej osłupienie przed chwilą, rumieniec, który wypłynął na policzki, jak uderzenie krwi, jakby wpadła we wściekłość. To typ kobiety, którą chce się zabić dla samej przyjemności, bo jej strach do tego nakłania, pomyślał.

Claire wróciła do salonu, niosąc tacę. Wieczór zapadł błyskawicznie, jak zmiana dekoracji w sztuce teatralnej. Rossetti popatrzył w stronę oświetlonych okien Ishidy.

- Japończyk? - spytał, słodząc kawę.

- Japończyk - potwierdziła Claire. - Pracuje w ambasadzie Japonii.

- Czym się tam zajmuje?

Nie życzyła sobie, by jej przyjaciel służył za pretekst do wypełnienia tego budzącego wątpliwości spotkania. Przez tego typka stłukła jedną ze swych ulubionych angielskich filiżanek, *december* malowany w ostrokrzewy, marki Royal Albert.

- Właściwie nie wiem - odpowiedziała.

- Tak?

- To, co on robi, nie ma dla mnie wielkiego znaczenia.

Zaczęła ją ogarniać zimna wściekłość. Wszystko mogło się zdarzyć. Rossetti nie dał się zbić z tropu chłodem gospodyni i pytał dalej:

- Od dawna tu mieszka?

- Kilka miesięcy.

A co panu do tego? - pomyślała.

- Dobrze go pani zna?

Claire czuła, że mówi wbrew swojej woli. Dlaczego odpowiada na niedyskretne pytania tego nieznanego? Często zastanawiała się, dlaczego nie potrafi się oprzeć pewnym rzeczom. Nie wiedziała, dlaczego przed chwilą upuściła filiżankę, skoro miała jeszcze pół sekundy na złapanie jej. Pomyślała, że to rodzinne poczucie nieuchronności, które w sobie nosi z racji swego wiejskiego rodowodu, właśnie to kazało jej nie reagować na stłuczenie angielskiej porcelany czy odpowiadać jak grzeczna uczennica na pytania sąsiada.

To na pewno wiązało się z jej teorią prawowitości, ale Claire - chwilowo pod presją - nie miała czasu, by tę kwestię zgłębić.

- Tak sobie.

Zapadło trochę przyciężkie milczenie, każde z nich starało się nie spoglądać w stronę mieszkania Ishidy.

- A innych? - podjął Rossetti z ożywieniem.

- Jakich innych?

- No, w tych wszystkich oknach, co tam się dzieje?

Claire rozluźniła się i uśmiechnęła.

- Och, po trochu wszystko.

- Wszystko? - zdziwił się Rossetti.

- To znaczy... chciałam powiedzieć, widać wszystkie typy ludzkie. Starzy, którzy żyją dzięki nie wiadomo jakiej, godnej podziwu ambicji, młodzi, którzy uważają, że są sami na świecie, chwilowi lokatorzy, co to już są gdzie indziej.

Claire podniosła się i stojąc przy oknie, wskazywała palcem na rozświetlone okno naprzeciwko.

- Tam mieszka starsza pani, chora na serce; prześladuje konsjerżkę. Zwraca się do niej jak do służącej. Często w nocy pan Ishida słyszy, jak przesuwa jakieś przedmioty po podłodze, jakby grała w krokieta. Wyżej mieszka stary Arab z synem. Rano syn wychodzi do pracy, a ojciec siada na ławce przed domem. Patrzy na przejeżdżające samochody i coś tam sobie mamrocze. Siedzi tak całymi godzinami. Niekiedy zatacza się, wracając do domu, zatacza się od alkoholu albo z nudy.

Nie wiem. Obok, tam, mieszka starszy pan, Żyd. Był geografem, to bardzo wykształcony człowiek. A tam, na pierwszym piętrze, jakiś młody, który całe noce spędza przy komputerze. Czasem jest u niego jakaś dziewczyna. Za każdym razem inna, ale zawsze ten sam model. Małe, blondynki, wysportowane.

Uprawiają jogging, widuję je na ulicach naszej dzielnicy, jak biegają, trzymając się za ręce, a potem znikają... każda jest doskonałym sobowtórem poprzedniej i następnej. No i tyle. Są też zięciowie, synowe, kuzyni z prowincji, psy, dzieci...

Claire nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, ale przeciągała rozmowę, bo nie chciała, żeby sąsiad tylko trwał obok niej.

- A pani, kim pani jest? - spytał, obrzucając spojrzeniem fasadę.

- Kimś, kto rzuca się do okna, jak tylko z podwórka dochożą jakieś odgłosy - odparła, drapiąc palcami powietrze, aby pokazać cudzysłów.

Popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Niewesołe to wszystko - stwierdził. - Widzę, że nie pani nie umyka. Gdyby w kamienicy popełniono zbrodnię, pierwszą trzeba by przesłuchać właśnie panią.

Twarz Claire stężała. Sądziła, że w swoim opowiadaniu o życiu kamienicy pokazała się jako osoba inteligentna, a ten człowiek stroi sobie żarty. Postanowiła zamilknąć, żeby to milczenie go pochłonęło. W końcu jest u siebie. Zaraz potem jednak znowu zaczęła mówić, aby wypełnić pokój, w którym zapanował ciężki nastrój tylko z powodu odurzającej obecności tego mężczyzny.

- A kim pan jest? - spytała prosto z mostu.

Rossetti westchnął.

- Och, coś mi się zdaje, że nie możemy ruszyć z miejsca!

- Przepraszam - powiedziała, nalewając sobie kawy.

Przy okazji przypomniała sobie, gdzie po raz ostatni piła kawę. To było na stypie po pogrzebie wujka Rogera, cudownego ogrodnika, który miał zielone palce i IQ ponad normę, ale go

nie wykorzystywał. Claire uśmiechnęła się na wspomnienie tego przodka, po czym zwróciła się do swego rozmówcy. Patrzył na nią.

- A pan co robi?
- Jestem nauczycielem fizyki.

Claire przyjęła tę informację jak policzek. Kto to powiedział, że rzeczywistość zawsze przekracza fikcję? - pomyślała.

- Aha. A gdzie? - zagadnęła już mniej zainteresowana.
- Jak to gdzie?
- No, czy na przykład w liceum, czy na uniwersytecie, czy w gimnazjum? Tak? Naucza się fizyki w gimnazjum?
- W liceum na przedmieściu.
- Daleko? - spytała z grzeczności.
- Nie. Nie bardzo. I nie jeżdżę tam codziennie.

Claire westchnęła i popatrzyła na przybrudzony żyrandol, wiszący zbyt wysoko, by mogła go odkurzać.

- O mało nie zostałam nauczycielką. Uczyłam przez dwa miesiące po skończeniu studiów. Zastępstwo w gimnazjum. Nienawidziłam tego. Ale bardzo lubię dzieci. Może źle znoszę, kiedy się na mnie patrzy.

Natychmiast pożałowała tego, co powiedziała; mówiła dalej, aby rozwodnić te swoje nedorzeczności.

- Tu niedaleko jest liceum. Często widzę wychodzących stamtąd nauczycieli. Wszyscy mają jedną cechę wspólną. Wie pan jaką?

- Tornister - odpowiedział od razu.
- Nie. Zapadnięte oczy i puste spojrzenie, jakby właśnie stoczyli walkę bokserską.
- Powiedziałbym raczej: konkurs improwizacji. Pani uważnie obserwuje ludzi - zaryzykował Rossetti.

- Tak, ludzie mnie interesują.
- Z daleka...

Claire nie lubiła takich uwag, odparowała natychmiast, rozprasząc nagle poczucie odprężenia:

- Tak jest bardziej... poetycko.

Spytała go, czy napije się jeszcze kawy, z miną, która jednoznacznie mówiła „spadaj”.

- Nie, dziękuję. A pani czym się zajmuje?
- Poprawiam książki dla wydawnictwa.

- Teraz rozumiem. Pracuje pani w domu, z nosem w książkach przez cały dzień...

- No i co z tego?

- No, nic. Zastanawiałem się, jak wygląda pani życie. Widuję panią na klatce schodowej, zawsze z teczką. Na podwórku ze śmieciami. Żyje pani jak w jakiejś twierdzy, obwarowana książkami, jak...

Chciał powiedzieć jak staruszka, ale się nie odważył. Skąd taka zadziorność między nimi? Postawił sobie za cel zdobyć jej zaufanie, a zorientował się, że robi coś wręcz przeciwnego. Spojrzenie Claire było jak światło zgaszone w pokoju, z którego się wychodzi.

Wstała, bo chciała dać mu do zrozumienia, że to już koniec spotkania. Czuła się bardzo wyczerpana. Te uwagi na temat książek, słyszy je od lat, zawsze takie same, jakie to deprymujące.

- Nie chciałem pani urazić - powiedział Rossetti, podnosząc się z kanapy.

- Już się przyzwyczyłam. Ludzie, którzy nigdy nie otwierają książki, zawsze mają te same uwagi na temat ludzi czytających. To trochę męczące, i tyle.

- Co pani im odpowiada? - spytał, żeby dodać jej otuchy, żeby to ich spotkanie nie było całkowitym fiaskiem, a także by przygotować grunt pod następne, ewentualne.

Claire wzięła z półki dwie książki, każdą trzymała w jednej ręce.

- Między tą a tą jest taka różnica jak między panem a mną. Czytając książki, jednego dnia przebywa pan w Pradze w roku 1912 z młodymi żydowskimi intelektualistami, naza-jutrz w Tokio w 1823, gdzie gawędzi pan z gejszami w herba-ciarni, w Paryżu w 1930, w najlepszych dzielnicach, albo w Nowym Jorku w roku 1896 w umyśle młodego ambitnego plebejusza... Jaka istota ludzka byłaby wstanie zapropono-wać mi takie podróże, jakie życie pozwoliłoby mi odbyć tyle różnych spotkań?

Zamilkła. Serce waliło jej jak młotem. Niezwykle rzadko poruszała ten temat, tak bardzo to przeżywała. Czasami mogła o tym rozmawiać z Legrandem, tak jak się rozmawia o sprawach zawodowych w pociągu jadącym na prowincję lub w taksówce, późno wieczorem po przyjęciu.

- I niech pan też mi nie mówi, że lektura pozwala uciec - dodała, udając idiotkę.

Otworzyła drzwi i powiedziała, gdy Rossetti był już na schodach:

- Często zastanawiam się, co sprawia, że jedni czytają, a inni nie. Od czego to zależy... To tak jak z pierwszym papierosem. Jeden lubi od razu, inny kaszle i więcej już nie tknie.

Patrzyli na siebie z uśmiechem, odczuwali ulgę, że udało im się zawrzeć pokój. Claire spuściła wzrok.

- Ludzie, którzy ciągle czytają, nie są lubiani. Jestem pewna, że nigdy nikt nie zrobił uwagi na temat pana zainteresowania fizyką. Istnieje zapewne hierarchia upodobań do

zaakceptowania... Możliwe - stwierdziła.

- Ktoś, kto czyta, zawsze sprawia wrażenie, jakby niko-  
go nie potrzebował. A nikt nie lubi czuć się niepotrzebnym -  
zaryzykował.

Claire się zamyśliła.

- Ba! Nie mówmy już o tym. Tak czy owak, to nie takie  
ważne.

Powstrzymała ziewnięcie, udawane czy prawdziwe, trud-  
no powiedzieć.

Rossetti podał jej rękę. Uścisnęła ją. Ręka silna i sucha.

- Dziwna sąsiadka - zamruczał cicho, oddalając się.

Wszedł na kilka schodów i się obejrzał. Claire odprowa-  
dzała go wzrokiem. Uśmiechnęła się, trochę zmieszana.

- Proszę pana... - zawahała się. - Spotkajmy się jesz-  
cze... Teraz mam dużo pracy, myślami jestem gdzie indziej.  
Ale...

- Gra pani w szachy?

- W szachy? Tak, słabo. Od dawna już... No to zagrajmy  
w szachy któregoś dnia - zaproponowała bez przekonania. -  
Dobranoc.

Zamknęła drzwi, rozebrała się i położyła z książką, w któ-  
rej natychmiast się zagłębiła; nie chciała dopuścić do tego,  
by jej umysł skupił się na tym niełatwym spotkaniu.



## 7.

**Ż**YWIENIE SIĘ TO PASKUDNA CZYNNOŚĆ, której Claire poświęcała jak najmniej czasu i energii. Była stałą klientką sklepów z mrożonkami i dzielnicowych supermarketów, jej lodówka upodobniła się do biblioteki, bo pojemniki z gotowymi daniami stały w niej jak książki. W czasach jej dzieciństwa posiłki były rytuałami, podczas których rozmowy krążyły wokół jakości menu dnia i tego, co zje się nazajutrz. W myśli widziała matkę przy kuchence, w fartuszkach, dużą rudą nerwową kobietę z papierosem w ustach. Przypominała sobie, jak wściekle wrzucała talerz córki do kubła na śmieci, gdy mała nie chciała jeść, to było jak zniewaga. Claire jadła, żeby się odżywiać, i teraz sama wyrzucała dania z mrożonek, których nie mogła już w siebie wcisnąć.

Zakupy robiła na handlowej ulicy, zawsze bardzo ruchliwej. Spotykała tam młodych mieszczuchów, którzy dopiero sprowadzili się w te strony wraz z dziećmi. Wyposażeni w supernowoczesne wózki i angielskojęzyczne gazety wetknięte pod pachę, byli piękni, postawni i kosmopolityczni, jak w telewizyjnych reklamach nowych technologii. Mężowie i żony beznamiętnie zajmowali się dziećmi, pary spokojnie rozmawiały, patrząc sobie w oczy. Bardziej przezroczysta niż

zwykle Claire kręciła się w dziale mrożonek supermarketu, szybko się decydowała, gdy tymczasem inni długo czytali etykiety, sprawdzali, czy składniki nie są niebezpieczne dla ich szlachetnego zdrowia i zdrowia ich najdroższej progenitury. Bez jej wiedzy i woli te udane mutanty spychały ją na margines. Nie miały ani kultury, ani finezji intelektualnej, ale świat został skrojony na ich miarę. Chępiły się tym. Claire ich nie lubiła, jednak im nie zazdrościła. To byli najwyżej denerwujący i natrętni uzurpatorzy, którzy nie działali na jej wyobraźnię. Przeniesieni tutaj, w jej bliskie sąsiedztwo, skolonizowali tę dzielnicę, niegdyś tak spokojną, przyciągnęli za sobą mnóstwo sklepów z potwornie drogimi ciuchami, optyków dla przebogatych krótkowidzów i okazałą liczbę restauracji. Claire czuła się troszkę karzełkiem przy tych dużych wymagających dziewczynach o idealnie prostych zębach, no ale ona stała u steru cudownej flotylli, której istnienia te kobiety nawet nie podejrzewały.

Po klimatyzowanym koszmarze supermarketu Claire znalazła się w normalnej temperaturze zalanej słońcem ulicy. Przy jej prawym uchu rozległo się rozedrgane „Claire!”. To Louise Bluard wystawiała się do słońca na kawiarnianym tarasie.

- Masz pięć minut? - spytała głosem zmysłowym, łagodnym, lecz zdecydowanym. Z krzesła obok zabrała torebkę i kurtkę. - Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała, przywołując kelnera. - To bardzo ważne.

Claire zamówiła herbatę z cytryną i popatrzyła na sąsiadkę, gotowa jej wysłuchać. „Louise podczas weekendu” była prawie taka sama jak „Louise przez resztę tygodnia”. Może miała trochę lżejszy makijaż, włosy mniej napuszone, buty

na niższej szpilce. W każdym razie ogólny wygląd był taki sam, bo Louise prezentowała się jako produkt doskonale wykończony, którego jakość niewiele się zmieniała. Żywiła upodobanie do delikatnych barw, podkreślających jej jasną karnację i do miękkich tkanin, które sprawiały, że jej i tak już powolne ruchy stawały się jeszcze bardziej zmysłowe. Jedwab, satyna, welur, muślin i koźła skórka spowijały jej ciało bohaterki niemych filmów, odurzając waniliowym zapachem perfum. Była przeciwieństwem współczesnych spacerowiczek, które gwałtownym ruchem odrzucają do tyłu gęstą czuprynę i, jak krzepkie blond Afrykanki, noszą spokojne dzieci przytulone do nich. Louise drażniła Claire, ale w jakimś sensie Claire stała po jej stronie. Obydwie były bojowniczkami, choć w różnych dziedzinach.

- Jesteś chyba w dobrej formie - powiedziała Louise entuzjastycznie, przyglądając się Claire.

To nie wróży niczego dobrego, pomyślała Claire. Po tego rodzaju refleksjach prawie zawsze następowały bardzo długie lamente albo prośba.

- Jakoś leci - odparła, dziękując kelnerowi ruchem głowy.

- Zauważyłaś, że mieszkanie na trzecim piętrze zostało wynajęte?

Temat „dobra forma Claire” został zamknięty. Louise działała zawsze w masce. Niech rozmówca stara się odkryć, co ona knuje. Kłamała tak, jak oddychała, w sposób naturalny, nie wikłając się w pytania. Uważała, że kłamstwo jest niezbędne, by dobrze żyć z bliźnimi. Kiedy było trzeba, udawała idiotkę, gdy gra była warta świeczki, błyszczała, z talentem lawirując pomiędzy wymyślonymi historiami a rzeczywistością, która jej się miękko opierała. Siedząc obok niej,

Claire czuła jej wyjątkową obecność, cudowny zapach ulotnej kobiety, zwiewnej jak piórko, wyrachowanej i ostrej jak nóż.

Claire była ciekawa, do czego Louise zmierza z tym Rossettim. Ta kobieta interesowała się wszystkimi mężczyznami, bo wszyscy nosili w sobie jakąś prawdę o niej samej, którą chciałyby poznać.

- Niezły, prawda? Trochę się oderwiemy od tych wszystkich staruchów! - Claire milczała. - Jest całkiem przystojny. Nie uważasz? Poważnie...

Claire nalala sobie herbaty do filiżanki, zrobiła minę mówiącą, że pozwala Louise zinterpretować to, jak chce, po czym oznajmiła:

- Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie. Żeby się zapoznać.

- Co?

Gwałtowny błysk ożywił na chwilę miękkie spojrzenie Louise. W zasadzie nie chciała wiedzieć, czy ta sąsiadka udająca starą pannę miewa jakichś facetów. A przecież był ten bardzo ładny chłopak, który przez dwa lata co dzień czekał w samochodzie na Claire w spódnicy, umalowaną szminką i cieniem do powiek, tak jakby sobie przykleiła na skórę nalepki. Potem był ciemny hidalgo, który woził ją skuterem, osteopata dla starych bab. A Ishida? Czy ona sypia z Japończykiem? - zastanawiała się Louise, prawie ugotowana ze złości. Opanowała się. Ten typek z jaguarem ją rzucił, osteopata właściwie zniknął, a Ishida... nie wierzy w to za bardzo. Co do Rossettiego...

- Uczy fizyki i gra w szachy. Jest rozwiedziony i nie potrafi być miły. Jeśli chcesz, poznam cię z nim.

- Nie, nie. Jestem dużą dziewczynką. Belfer, mówisz? Cholera! - zakłęła Louise.

Przez chwilę obie milczały. Claire wpatrywała się w herbatę. Louise, rzucając wokół rozbiegane, ciekawskie spojrzenia, z elegancką opieszalnością sączyła kir.

- Wiesz, Claire, z Antoine'em źle nam się układa. Boję się.

- Boisz się? - spytała Claire ze śmiechem.

- Tak. Boję się. Boję się, że przez niego zwariuję. Antoine jest zbrojeńcem, który chce mnie zniszczyć. Lucie już nie patrzy mi w oczy. Ledwo mogę się do niej zbliżyć. Sprzymierzyli się przeciw mnie.

Claire rozmyślała. Straciła już wiele przyjaciółek, wyrażając swoje zdanie o tabu: status matki. „Matka-statua”, myślała często. Jednak postanowiła podjąć ten temat na własne ryzyko, dla Lucie, którą bardzo lubiła.

- Widzisz, Louise, masz prawo, my wszystkie mamy prawo... nie być... jak to powiedzieć... tym, co się określa słowem „matka”.

Poczuła, że ciało Louise sztywnieje. Obie wpatrywały się w plakat na murze naprzeciwko, ogromną reklamę jogurtu przeciwmarszczkowego.

- Jesteś kobietą inną niż wszystkie i nagle, z dnia na dzień każą ci być matką, taką samą jak wszystkie... jedne poddają się temu naturalnie, jakby przedłużając dziecięcą zabawę, a inne nie. Tak już jest.

Z paczki leżącej obok kieliszka kiru Louise powoli wyjęła lekkiego papierosa, zapaliła, zaciągnęła się głęboko dymem, dmuchnęła w górę, po czym popatrzyła na Clair ze spokojem i obojętnością.

- Jeśli dobrze rozumiem, jestem złą matką.

- Od razu złą! Złą czy dobrą! Nie!

Ładna, smutna twarz Lucie wplotła się między jej słowa a napięte nerwy.

- Nie chcesz swojej córki, jesteś tego świadoma, ale to tak straszna myśl, że nie dopuszczasz jej do siebie. Uważasz, że nie jest tak ładna jak ty, nie wzrusza cię, nie widzisz w niej niczego z siebie. Ona źle funkcjonuje, jak popsuty, skomplikowany mechanizm, który ci się wymyka. Jest dla ciebie kłopotem, ciężarem.

- Przestań! - krzyknęła Louise.

Uderzyła w stół, czym przyciągnęła spojrzenia kilku osób, które jeszcze jej nie dostrzegły. Dokończyła kir i powiedziała, spokojnie, miękko:

- Wszystko, co mówisz, jest nieprawdą. To вина Antoine'a. Robię, co mogę, żeby załagodzić sytuację, znaleźć swoje miejsce w tym... w tym...

Claire pomyślała: piekło. Nagle poczuła znużenie i zniechęcenie. Nie każdą prawdę należy mówić, po raz kolejny straciła okazję do przemilczenia. Louise na razie nie przetrwała jej słów. Ale za kilka godzin być może Louise ją zniechęci.

- Nie radzisz sobie - podjęła Claire. - Ale jeśli zgodziłaś się z tą teorią, wszystko mogłoby się odmienić i życie stałoby się znośne.

Kiedy to mówiła, ujrzała Paula Rossettiego przechodzącego pod ogromnym jogurtem. Skinął głową w jej kierunku, ona dyskretnie mu odpowiedziała. Nie chciała, żeby Louise to zauważyła.

- Antoine nie ma prawa budzić w tobie poczucia winy... Zastanów się. Może byłabyś szczęśliwsza bez nich... spotykając się z nimi od czasu do czasu... w innej roli.

Claire patrzyła na oddalającego się Rossettiego. Próbowała wyobrazić go sobie przed całą klasą. Ale taki obrazek nie chciał się pojawić, tak bardzo wydał jej się niestosowny.

- Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe - szeptała Louise, uderzając w stół zapalniczką. - Wiesz, moja kuzynka Erica, ta, która mieszka w Londynie, mówiłam ci o niej, podjęła taką decyzję. Cała trójka wróciła do Francji. A ona została w Anglii. Otóż ta jej decyzja wydaje mi się okropna i nie potrafię myśleć inaczej. To na pewno sprawa wychowania, jakie odebrałam.

- Ja uważam, że wykazała odwagę, bo zaakceptowała to, że nie jest stworzona do zajmowania się dziećmi. Bycie matką to pewna umiejętność, którą się ma albo się jej nie ma.

Claire miała już dosyć tej dyskusji, bo do niczego nie prowadziła. Z Louise stale był taki sam scenariusz. Racja zawsze musiała być po jej stronie. Skargi, żal, dramatyczne akcenty w nagraniu jej mieszczańskiego życia nadawały przyszłej egzystencji pewną filozofię, która jej wystarczała. Jakby dla zilustrowania myśli Claire, Louise przeciągnęła się, cicho westchnęła i zagruchała, przymykając oczy:

- Mimo wszystko, takie słońce jest bardzo przyjemne, prawda?

Trwała tak przez chwilę, w stanie adoracji dla obecnej chwili. Obok niej rozdrażniona Claire myślała, że po raz kolejny została pokonana przez tę niebezpieczną kobietę, dla której słowa w gruncie rzeczy nie miały znaczenia i rzucane były jak jakieś bezwartościowe bibeloty. Chroniła ją naturalna odtrutka: głęboki egoizm. Claire natomiast wzięła na siebie wszystko, kwasy, nieprzyjemne, ostre słowa, prawdy i krytyki, które tamta wykrzyczała. Herbata wystygła. Claire

zapra gnęła milczenia Ishidy, jego dobrotliwego spojrzenia. Brakowało jej nawet jego śmiechu zamkniętego na klucz.

- Wyjeżdżasz gdzieś w lecie? Odwiedzisz rodziców? - spytała Louise.

Tego tematu Claire najbardziej się obawiała. Nie lubiła wakacji, nie lubiła podróżować i nie lubiła też, gdy inni podróżowali. Budzili w niej poczucie winy, że nie potrafi wyjeżdżać. Kiedyś wraz z przyjaciółmi próbowała wyjazdów zorganizowanych. Jej ciało, ze wszystkimi przypadłościami, jechało za nią; bez swego udziału towarzyszyła innym w ich odrodzeniu poprzez kontakt z tym, co nowe. Odtąd „pilnowała domu”, mówiła, by uciąć rozmowy na ten temat.

- A ty?

- Jedziemy do Sainte-Maxime. Jak co roku, będę się cholernie nudzić. Antoine będzie się cholernie nudzić i Lucie też będzie się cholernie nudzić.

Louise się roześmiała. Claire wydało się, że mężczyzna siedzący nieco dalej, sam, z gazetą „Le Monde”, często spogląda w ich kierunku. Wtedy zrozumiała. Louise podrywała go od początku. Claire poczuła się oszukana i manipulowana. Z wściekłością złapała rachunek i wyjęła portmonetkę.

- Kamienica opustoszeje, wszyscy wyjadą - powiedziała Louise, grzebiąc w torebce.

Claire wyjęła odliczone pieniądze za herbatę.

- Tak, zostaniemy tylko my troje, konsjerżka, Ishida i ja.

- Hm... jesteś pewna? Przed chwilą widziałam twojego ulubionego sąsiada, jak wsiadał do taksówki z ogromną walizką. Sprawiał wrażenie, że bardzo mu się spieszy.

Louise odwróciła się lekko, pokazując mężczyźnie obok cały swój profil i nogi jak u aktorki.



Ishida wyjechał... Niemożliwe, pomyślała Claire. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że urok ich historii polega głównie na jej nierealności, braku prawdziwego początku i prawdziwego końca. Nie sądziła jednak, że Ishida wyjedzie bez uprzedzenia.

- Ja też już idę - oznajmiła Louise.

Claire oddaliła się, aby dać przyjaciółce okazję do obdarcia spojrzeniem mężczyzny z „Le Monde'em”, do posłania mu uśmiechu, pozostawienia z siebie czegoś, co warte byłoby podpisu w księdze hotelowej. W drodze podzieliły się chrupiącą bagietką, Louise raczej zadowolona z życia, Claire smutna ponad normę, na którą sobie pozwalała. Pospiesznie rozstały się na podwórzu.

Przy wejściu do mieszkania nadepnęła na niewielką białą kopertę. Otworzyła ją i przeczytała na głos:

„Droga Claire,

Wyjeżdżam na kilka dni. Niech Pani zrobi to samo. Skontaktuję się z Panią.

Ishida Tatsuo”.

Wyobrazila sobie uśmiech japońskiego sąsiada na swojej twarzy, zastanawiała się, czy on nie zwariował. W zakamarkach myśli usłyszała śmiech przyjaciela, jak skrzypienie gumowej podeszwy na posadzce. Dlaczego miałabym wyjechać? - zapytywała siebie. Nienawidziła zagadek, szarad, rebusów, wszystkiego tego, co powinno być mniej więcej „rozwiązane”. Nie rozumiała, o co chodzi, a czasem nawet rozwiązanie wydawało jej się niejasne.

Z szuflady biurka wyjęła drugą parę kluczy Ishidy, które zostawił jej przed kilkoma dniami. „Z panią Courtois nigdy

nic nie wiadomo, może nie zakręcić kranu nad wanną”. Tu oczywiście śmiech Ishidy. Wyszła z domu i pędem pokonała dwa piętra budynku vis-à-vis. Otworzyła drzwi do mieszkania Japończyka i po chwili zadała sobie pytanie, co ona właściwie tu robi. Jeśli zostawił jej swoje klucze, to po to, żeby ich użyła, ale w jakim celu? Co chciał dać do zrozumienia? Że ma się tu czuć jak u siebie? Że jest częścią jego życia? A może po prostu, żeby odbierała jego pocztę i zostawiała na stoliku w korytarzu?

W salonie Ishidy usiadła na swym zwykłym miejscu, zatopiła spojrzenie w bieli kanapy stojącej naprzeciwko. Panowała tu martwa cisza, wszystko było uporządkowane i nieruchome. Siedziała tak przez jakiś czas w zawieszeniu, rozmyślając o znajomości z tym dziwnym człowiekiem, który nauczył ją ufać co najmniej jednej osobie. Bezszelestnie wstała, jakby bała się obudzić demony, i weszła do pokoju, do którego dotychczas nie zaglądała.

Pokój Ishidy był biały, z wyjątkiem japońskiej jedwabnej tkaniny w wielkie czerwone kwiaty, która przykrywała łóżko, supernowoczesnego budzika na stoliku nocnym i japońskiej książki. Claire otworzyła szafę, wisiało w niej wiele szarych i czarnych garniturów oraz kimona, których nigdy na nim nie widziała. To tak jakby odkryć damskie ubrania w męskiej garderobie. Głaskała jedwabiste tkaniny o bardzo wysmakowanych geometrycznych wzorach. Jej wzrok zatrzymał się na niebieskim kimonie połyskującym jak mora, śliskim jak sierść zwierzęcia. Wyjęła je ostrożnie z szafy. Ze smutną, naznaczoną poczuciem winy powagą z powodu samotnej przyjemności włożyła kimono i stojąc przed lustrem, długo się sobie przyglądała ze ściśniętym gardłem. Pomyślała, że

Ishida nie mógł tak zniknąć, pozostawiając jej po sobie swoje kimona. Starannie powiesiła strój w szafie, zamknęła ją i usiadła na łóżku. W dalszym ciągu nie wiedziała, co ona tu właściwie robi; przespanie się w tym łóżku to wielka pokusa, uznała.

Potem poszła do jego gabinetu, przejrzała szuflady, półki, otworzyła teczki na dokumenty, wszystko było zapisane piśmem japońskim. Na półkach książki o sztuce stały obok książek technicznych w wielu językach: japońskim, angielskim, francuskim, niemieckim. Było *to* miejsce nijakie, bez duszy, bez wyrazu.

Wróciła do salonu, spojrzeniem omiotła fasadę kamienicy w poszukiwaniu jakiegoś znaku. Przypomniała sobie przesłuchanie Rossettiego. Przywołała w pamięci jego podchwytliwe pytania. Przestraszyła się, poczuła chłód w całym ciele. Liczne objawy psychosomatyczne usiłowały powstrzymać ją w jej zapędach. Udała, że nie czuje nagłych bólów ściskających żołądek. Spodobała jej się ta zabawa, bycie Claire w inny sposób, zupełnie nowy.

Usiadła na białej kanapie, tym razem na miejscu Ishidy, jakby chciała nim nasiąknąć. Poczowała delikatny zapach przyjaciela, zachowany gdzieś w poduszkach. W mieszkaniu Japończyka panował idealny ład. Przypomniała sobie rozmowę, w której porównywali swoje upodobania i pogardę dla porządku. Mówiła mu, w jaki sposób ustawia książki na półkach, w kolejności alfabetycznej. On zauważył, że w uporządkowanym świecie bałagan jest niebezpieczny, bo kryje się w zakamarkach. „Zagubioną książkę trudniej jest znaleźć w uporządkowanej bibliotece niż w książkowym bałaganie”, tłumaczył. Niepokój Claire przekształcił się w prawdziwy ból,

który umiejscowił się z tyłu głowy, tuż nad kręgami szyjnymi.

Jeszcze raz obeszła mieszkanie, po czym je opuściła. Na schodach spotkała panią Courtois, która śmiała się sama do siebie, opowiadając sobie zapewne jakąś zabawną anegdotkę.

## 8.

KTO TAM? - spytała Claire, rzucając buty pod półkę w przedpokoju.

- Paul.

Paul, zwyczajnie, Paul. Jak przyjaciel, który zjawia się bez uprzedzenia i mówi: Paul, bo istnieje tylko jeden Paul. Claire lubiła męskie głosy, prawie wszystkie. Głos Rossettiego miał głęboką barwę, która budziła chęć poddania mu się. Otworzyła drzwi. Rossetti trzymał w jednej ręce drewnianą skrzynkę, w drugiej tabliczkę czekolady. Uśmiechał się jak mały chłopiec.

- Niedziela, szachy i czekolada - powiedział, wchodząc.

Usiadł na kanapie, na tym samym miejscu, na którym siedział poprzednim razem. Claire знаła miejsca każdej osoby, którą u siebie tolerowała. Konsjerżka i Antoine woleli stać w wejściu, pani Courtois siadała w niebieskim fotelu, pan Le-bovitz w fotelu brunatnoczerwonym, Lucie na dywanie, Louise na kanapie przy ścianie, a teraz Rossetti na tej samej kanapie, ale od strony okna. Claire uważała, że tajemnica miejsc kryje w sobie wiele poezji.

Poszła zaparzyć kawę, modląc się, żeby sąsiad nie podążył za nią. Od wielu dni nie sprzątała kuchni: brudne naczynia

w zlewie, lepkie, okrągłe ślady na stole, na podłodze okruszki i ciemne plamy wokół kubła na śmieci. Claire nie była maniaczką porządku, ale bałagan ją drażnił. Mogła przez wiele dni obchodzić plamę na stole czy kłębek kurzu pod meblami, patrząc na to z irytacją, ale nie próbowała nic z tym zrobić. W czasie gdy ekspres do kawy wypływał czarną cieczą, wróciła do Paula, do salonu. Wyglądał przez okno.

- Dlaczego zostawia pani rozsunięte zasłony? Nie przeszkadza pani, że wszyscy panią widzą?

Claire już miała przytoczyć słowa Ishidy na temat wrażliwości sąsiadów, których trzeba oszczędzać. Wolą jednak to przemilczeć. Jej tajemne rozmowy z japońskim przyjacielem powinny takimi pozostać, jak eteryczne olśnienie owiane magią. Nie nalegał, wrócił na swoje miejsce. Claire poszła po kawę. Rossetti rozłożył szachownicę i ustawił figury. Ona, jak we śnie, nalewała kawę do filiżanek. Co ten typek u mnie robi? - pomyślała. Wtedy przypomniała sobie poprzednią niedzielę, jak odpowiedź na pytanie: zjadła obiad na wyspie Saint-Louis, sama z pismem literackim, potem poszła do kina na Saint-Michel - *Śniadanie u Tiffany'ego* - tylko dla ekscytującej sceny o świcie w Nowym Jorku, później powrót do domu, wizyta u pana Lebovitza, dla zabicia czasu, cały dzień lekko spowity mgiełką nudy, ściśnięte gardło, myślenie na zwolnionych obrotach.

- Pamięta pani zasady gry?

- Mniej więcej - odpowiedziała; siedziała tak blisko niego, że słyszała powiew jego oddechu.

Spojrzenie Rossettiego było nie do zniesienia. Skupiła się na pionkach.

- Ale gramy tak tylko dla żartu?

Znieruchomiał. Ona uniosła oczy i napotkała jego wzrok, który wydał jej się pełen rozpacz.

- A jest coś, czego pani nie robi dla żartu?
- Dlaczego pan tak mówi? - spytała zaskoczona.
- Mam wrażenie, że trudno pani wziąć cokolwiek na serio - odparł, przesuwając wieżę.

Poza zasadami gry Claire nic nie rozumiała z szachów. Pamiętała, że trzeba przewidywać ruchy, ale nigdy jej się to nie udało, nigdy też nie zadawała sobie trudu, by porównywać atuty w belotce czy w grze w remika popatrzeć na karty, które rzucali inni gracze. W dzieciństwie wszystkich denerwowała, gdy wygrywała, robiąc przypadkowe ruchy. Przesuwała pionek o dwa pola, ot tak sobie. Rossetti szybko się zorientował, że Claire nie potrafi grać, ale kontynuował grę, bo był mężczyzną, a mężczyzna zawsze kończy to, co rozpoczął.

- Traktujemy serio zupełnie różne rzeczy - oświadczyła Claire.

Rossetti popatrzył na nią z krępującą intensywnością.

- Pani świat wydaje mi się mimo wszystko trochę infantylny.

- Dziękuję. Czy koń może się cofnąć?
- Tak, każda figura może, tylko pion nie.
- Mięso armatnie - powiedziała. A po chwili milczenia, w zamyśleniu: - Infantylny, mówi pan...

Claire traciła dużo figur. Rossetti grał teraz prawie sam, ośmieszony przez niekompetencję przeciwniczki.

- Tak, te wszystkie drobne nawyki. Utrwalone punkty odniesienia. Świat ograniczony do pani dobrego samopoczucia - stwierdził i przesunął damę.

Posyłając swego ostatniego konia na rzeź, Claire postanowiła się odciąć. Nie rozumiała taktyki Rossettiego, jego agresywność nie miała sensu. Dlaczego chciał wiedzieć, jak ona funkcjonuje? Dlaczego tak ją krytykował? Był nieuprzejmy i niegrzeczny. Wszystko wskazywało na to, że uważa ją za osobę nie do zniesienia, a przecież był tu, u niej w domu, zmęczony jej brakiem powagi, jej beznadziejnie słabą grą w szachy i dyletantyzmem. Ale tak rzadko zdarzało się, że ktoś wypytywał o jej życie, że mogła mówić o sobie - więc mówiła dalej, choć ten typek nie był godny zaufania:

- To prawda, jestem kłębkim przyzwyczajęń. Lubię codziennie powtarzać te same rzeczy, odnajdywać te same wrażenia, te same gesty. Lubię bezruch przedmiotów, ich spokój. Ich wierność wywołuje we mnie intensywną radość. Spędzam dużo czasu na kontemplacji. Siadam sobie tutaj, na pana miejscu, za trzymuję wzrok na tej drewnianej kuli na kominku i nie ruszam się. Co dzień wpatruję się w te same rzeczy, wyglądam przez to samo okno, chodzę tymi samymi ulicami o tej samej porze. I nie mam z tego powodu najmniejszego poczucia winy.

Mówiła szybko, z prowokującą pewnością siebie. Nie wspomniała o nudzie, ciemnej stronie takiego życia, przyniatającej jak podatek do zapłacenia. Wróciła do gry.

- Zabieram pańskiego laufra! - rzuciła.

Jak z dzieckiem, któremu pozwala się wygrać, by je przekonać do gry, Rossetti poświęcił swoją ulubioną figurę.

- Widzi pani, jak szybko sobie pani przypomina.

Claire rozsmakowała się w grze i jadła czekoladę przyniesioną przez sąsiada. Namyslała się, zwlekała z przesuwaniem figur. Nie wiedziała, do czego zmierza, wystarczyło, że dokonuje pewnego wysiłku, aby chronić to, co zostało z jej armii.



- Okna pani japońskiego sąsiada są ciemne - zauważył Paul.

Claire poczuła zimny powiew na szyi.

- Wyjechał na wakacje? - spytał.

Ukryła niepokój, wpatrując się w szachownicę.

- Nie mam pojęcia. Zostawił mi wiadomość, że wyjeżdża na kilka dni. Nic więcej nie wiem.

- Jak pani go poznała?

Dalszy ciąg przesłuchania zaczął się w tym samym punkcie, w którym zostało przerwane. Władczy ton Rossettiego był przerażający. Claire miała wrażenie, że trzyma ją za kołnierz nad przepaścią, że jest całkowicie zależna od jego dobrej woli.

- Zwyczajnie, przy skrzynkach na listy, tak jak pana.

- Co pani o nim sądzi?

Claire osłupiała.

- Co o nim sądzę? Dlaczego pan tak się nim interesuje?

- Interesuję się panią, a więc także nim.

- Interesuje się pan mną?...

Niepostrzeżenie przybliżył twarz do jej twarzy. Zrozpaczona, zupełnie zrozpaczona Claire pomyślała, że wpadła w ręce pierwszego lepszego.

- Tak. Interesuję się panią. Pani jest pewnym przypadkiem.

Z dziwnym uśmiechem obrzucił pokój spojrzeniem, wszystkie przedmioty, obrazy.

Przeciągnął rękami po twarzy, tak jakby wygładzał pogniecioną kartkę papieru.

- Nic mnie nie łączy z Ishidą - odezwała się Claire. - Jesteśmy przyjaciółmi i tyle. To człowiek wykształcony, a ja

lubię inteligentnych mężczyzn. Niech pan przemyśli swój następny ruch.

Wrócił do gry, z trudem.

- Za późno! Biorę ją!

Dodała kolejną figurę do trzech czy czterech, które udało jej się zdobyć. Miała dosyć tej partii, tego typka siedzącego naprzeciw, który powinien już zniknąć za jednym zdmuchnięciem. Tyle przed nią roboty, chciała ugłaskać smutki, dokończyć książkę, cudowną książkę na temat cienia w Kraju Wschodzącego Słońca. Cała wypita kawa zastygła jej w żołądku, zaczynała się migrena. „Precz!” - krzyknęła do siebie.

- Ma pan jutro zajęcia? - spytała napięta.

- Nie. Będę pilnować na egzaminach w Paryżu.

- Ciągłe ściągają? Materiał z całego roku w miniaturowym samolociku z papieru? Matematyczne tatuaże na przedramieniu? Słowniczeki za rezerwuarami w toalecie?

- Nie ze mną.

Wstała i uchyliła okno. Podwórko było zadziwiająco spokojne.

- Gorąco mi. Mam już dosyć tej gry. Jestem beznaziejna. I tylko rozmawiamy.

- Dobrze. - Rossetti spakował szachownicę i zamknął skrzynkę trochę zbyt gwałtownie.

Claire bez zastanowienia zadała pytanie:

- Pan jest żonaty?

- Rozwiedziony.

- Dzieci?

- Jedno. Moja żona mieszka na prowincji. Nie widuję ich często.

- Nauczyciele mają mnóstwo wakacji.

Claire stała przy oknie; poczuła przyływ łagodnego wieczornego powietrza.

- To nie jest problem wakacji. Moja żona z kimś mieszka. To dość skomplikowana sprawa.

Przesłuchanie było teraz w rękach Claire. Chciała dowiedzieć się szybko i jak najwięcej, zanim on wyjdzie. Już wstawał z kanapy.

- Kto kogo opuścił? Pan czy ona?

- Oboje - odpowiedział.

Stanął przed nią, pośrodku salonu, który na oko się zmniejszał, a ona razem z nim.

- A pani?

Jego spojrzenie. Claire lubiła jego spojrzenie. Pomyślała, że pociągają ją fragmenty tego mężczyzny: jego ręce, głos, rozpacz jak bielmo dostrzegalna chwilami w jego oczach. Pomyślała też, że mógłby ją dotknąć, bo zwykle tak właśnie rzecz się zaczyna między mężczyznami i kobietami - całkiem nagle. Cięż zwierzęcości. Ale on ani drgnął. Tylko na nią patrzył.

- Ja... był ktoś przez ostatnie lata.

Wbiła wzrok w rozłożystą roślinę, która wegetowała tuż obok niej.

- Arystokrata. Tak, nie mogłabym lepiej go określić. Ktoś taki, kto chciał i nie chciał.

Nigdy o tym nie mówiła. Nawet Ishida nie wiedział ani Louise, która przecież spotykała go wiele razy. Więc dlaczego Rossetti? Powinna podzielać domysły pana Lebovitza - miał wrażenie, że ten mężczyzna tylko przelotem zagości w jej życiu. Związek z kimś, kogo porównywała do anioła, był już

tylko ropiejącą, jątrzącą raną, której nie leczyła. Ta rana to wszystko, co z niego pozostało, może jeszcze dwa czy trzy listy, nawet niepodpisane.

- Co się stało?

- Nie lubię nikogo do niczego zmuszać. Czekałam, aż coś postanowi. W końcu odszedł.

- Wie pani, co się z nim dzieje?

- Nie - westchnęła i skierowała się do drzwi wyjściowych.

Poszedł za nią.

- A potem?

Claire była już zmęczona, więc odpowiedziała niezbyt grzecznie:

- Nic szczególnego. Jakieś spotkania, od czasu do czasu. Spojrzała na sufit.

- Telefon dzwoni u pana.

Rossetti włożył rękę do kieszeni i zorientował się, że nie ma przy sobie komórki. Claire otworzyła drzwi.

- Pani słyszy mój telefon? - spytał, nieumiejętnie kryjąc zaskoczenie.

- Tak. Od dłuższej chwili dzwoni bez przerwy.

Rossetti był wściekły, nie ukrywał tego.

- Jestem dość dobra w remika i w uno. Często gram z córką sąsiadki. Gry planszowe śmiertelnie mnie nudzą.

- Bierze mnie pani za głupka... Niech pani uważa. Poza swoim terytorium niewiele pani znaczy.

- Ależ to dotyczy nas wszystkich - odparła arogancko.

Mimo wszystko oczekiwała rozejmu.

Rossetti nie dał jej czasu na wyrównanie. Wbiegł na górę po dwa schody naraz, by zdążyć odebrać telefon.

Claire przejrzała się w lustrze w łazience. Miała zwyczaj przeglądać się długo, w całkowitym bezruchu. Stopniowo, tak jak powtarza się jakieś słowo, aż traci sens, jej twarz traciła swą tożsamość i stawała się jej obca. Wtedy zaczynała obserwować tę głowę w lustrze. Czasem jej się podobała, kiedy indziej nie. Tego wieczoru patrzyła na siebie oczami Rossettiego. Woląла siebie w spojrzeniu Ishidy, miała rozluźnione rysy, oczy mniej szalone. Z tyłu za nią wisiały ubrania, wilgotne, sztywne, na de poźółkłych kafelków nad wanną. Claire zaczęła płakać. Płakała długo przed swoim odbiciem, które powieliło jej poczerwieniałą skórę, odtwarzało jej udrekę i mętny wzrok. Była smutna. Brakowało jej Ishidy. I jak zwykle, łzy nagle przestały płynąć. Smutek miał swój czas gwałtowny i krótki jak letnia burza. Wytarła twarz, ostatni raz przejrzała się w lustrze, włożyła piżamę i poszła spać. Nic nie pozostało z poprzednich chwil. Taka była Claire.

Leżała w ciemności i rozmyślała. Coś w tym typku było nie tak. Poczula w nim jakieś zagrożenie, zaczęła zadawać sobie pytania. Dlaczego Ishida chciał, by wyjechała? Czego miałyby się bać? Rossettiego? I dlaczego zostawił jej tak lakoniczny list? Z obawy, że ktoś inny go przeczyta? Jeśli Rossetti, to znaczy: 1) że Rossetti i Ishida się znają; 2) że mają powód, by się z tym kryć; 3) Ishida obawia się, że Rossetti mógłby wejść do jego mieszkania bez zaproszenia i zobaczyć ten list... 4) facet, który wchodzi - włamuje się - do sąsiada, może także włamać się do twojego mieszkania... Na tę myśl Claire odruchowo podciągnęła kołdrę pod szyję. Zwykle nie zasypiała, lecz zapadała w sen, tak jak wpada się do dziury. Tego wieczoru to właśnie nastąpiło, wciągnęło wraz z nią obu mężczyzn naraz w tymczasowy niebyt.

## 9.

CLAIRE OBUDZIŁA SIĘ TAK SAMO NAGLE JAK ZASNĘŁA. Przypomniała sobie przesłuchanie z poprzedniego dnia i stwierdziła, że „czegoś takiego nie lubi”. Mogła mieć ochotę na grę w niedzielę wieczorem, ale nie w poniedziałek rano; przeprawa przez noc bywa niekiedy okazją do nagłych zwrotów. Pościeliła łóżko, ubrała się trochę staranniej niż zwykle. Lekko się umalowała, uperfumowała. Otworzyła okna, żeby wywietrzyć pokój. U Ishidy nic się nie zmieniło, to smutne. Piętro wyżej także żadnego odgłosu. Nie miała czasu zjeść śniadania, złapała jabłko, teczkę i wyszła. W bramie spotkała panią Courtois i konsjerżkę, targowały się o cenę wyprasowania sterty bielizny.

Pani Courtois była starszą panią, elegancką, eteryczną, dawną piękną, jak mówiła Louise, która w tej drobnej kobiecie z naprzeciwną prawdopodobnie już widziała siebie. Z upływem czasu stopniowo traciła swą cielesną powłokę, przypominając Claire, że człowiek zaczyna zanikać na długo przed śmiercią. Kiedyś Claire próbowała zbliżyć pana Lebovitza i panią Courtois, ale nic z tego planu nie wyszło. Szybko zrozumiała, że starość to za mało, by zbliżyć ludzi, i że tych

dwoje nie ma sobie absolutnie nic do powiedzenia. On brał ją za trzpiotkę, a ona go za straszego starego durnia. Uciekali by przed sobą już w wieku dwudziestu lat.

Pani Courtois wydawała się rozdrażniona. Jej życie było teraz ubarwione tajemniczymi przypadkami, w których przeszłość, terażniejszość i przyszłość stopiły się w jedno.

- Dzień dobry, pani Courtois! - krzyknęła Claire do trochę przygłuchej sąsiadki.

- Czy pani wie, dokąd pojechał Ishida? - spytała starsza pani, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć „dzień dobry”. - Minęłam go wczoraj na schodach. Niósł walizkę. Przeszedł obok mnie, tak jakby mnie nie znał. Bardzo się przestraszyłam. Jeszcze się trzęsę.

Po okresie ostentacyjnej nieufności, której czasem towarzyszyło ciche zrzęczenie pod nosem, gdy go mijała, starsza pani zaczęła żywić niemal miłosną admirację wobec swego azjatyckiego sąsiada. Claire i Ishida często się śmiali z tej niewytłumaczalnej wolty. „Demon ósmej czterdzieści pięć” - mawiała Claire.

Bawiła ją zdeorientowana mina starszej pani.

- Nie wiem, gdzie on jest - odparła lakonicznie.

Podeszła do pani Courtois i wyciągnęła rękę w stronę jej szyi.

- Wystaje pani metka od bluzki! - krzyknęła sąsiadce do ucha.

Pani Courtois zadrżała, tak jakby ktoś jej powiedział, że wyszła z domu nago.

Claire stwierdziła, że już wzięła odwet za nieuprzejmość starszej pani. Nie traciła nadziei, że wreszcie zwalczy u niej ten przykry zwyczaj niemówienia „dzień dobry”. Odwróciła

się do niej tyłem, by sprawdzić, czy w skrzynce są listy. Kobiety natychmiast podjęły na nowo pertraktacje. Pani Courtois wyrażała zdziwienie z powodu przesadnie dużej zapłaty dla konsjerżki, która z kolei dawała do zrozumienia, że koszty byłyby o wiele mniejsze, gdyby więcej mieszkańców kamienicy korzystało z jej usług.

- Niech pani poprosi tego nowego z trzeciego piętra - odparowała ze śmiechem pani Courtois. - Tyle że nie wiem, co by można u niego sprzątać, jego mieszkanie jest puste!

Okna pani Courtois wychodziły na mieszkanie Rossettiego. Claire odwróciła się i udając obojętność, spytała starszą panią:

- Jak to puste?

Urażona incydentem z metką, pani Courtois zmierzyła Claire wzrokiem od stóp do głów, jakby widziała ją pierwszy raz. Claire z uśmiechem, lecz twardo ponowiła pytanie:

- Jak to puste, pani Courtois?

Starsi ludzie boją się młodych, a ton Claire, jej głos dziwnie nieustępliwy stanowiły ostrzeżenie.

- Po prostu, nie ma mebli. Nie ma też nic na ścianach.

Jest chyba tylko łóżko w sypialni, a kawę pije w plastikowych kubkach.

Claire skłoniła się po japońsku obu paniom i sprężystym krokiem wyszła z bramy.

W METRZE LINII NUMER 8, raczej spokojnym o tej porze, Claire usiadła na strapontenie. I wtedy zorientowała się, że odczuwa strach w upale wagonu, w kontakcie z tymi nieznanymi, niemymi osobami. Odetchnęła głęboko stęchłym powietrzem metra. Pytania z ubiegłego dnia przez noc wywietrzały, nie było



na nie żadnej cudownej odpowiedzi. No i ten Rossetti, który nawet nie urządził mieszkania... Rozejrzała się i zauważyła, że mężczyzna siedzący na ławce się w nią wpatruje. Na końcu wagonu inny mężczyzna patrzył na nią z większą obojętnością, jednocześnie przerzucając strony „Le Parisien”. Naprzeciw dwoje polskich turystów niemodnie ubranych udawało, że się całuje? A ta gruba brunetka w dresie o barwie królewskiego błękitu? I starszy człowiek w czapce z daszkiem w głębi wagonu - czy on naprawdę śpi? Sędzia i podsądny aberracji swej wyobraźni, Claire nie dała się oszukać lekkiej paranoi, która zaczynała przenikać jej nerwy. Przez chwilę miała zamiar wysiąść na następnej stacji, tylko po to, żeby sprawdzić. Jednak ogromna siła przyzwyczajenia przykuła ją do strapontena - kierunek Madeleine, przesiadka na Mairie-d'Issy, aż do Sèvres-Babylone. Tak ma być.

Wyjęła z kieszeni list od Ishidy, powąchała i po raz kolejny przeczytała. Kpi sobie ze mnie, pomyślała; była zła, bo spodziewała się znaleźć u stóp list miłosny. Zamknęła oczy, na czarnym de ujrzała swojego japońskiego przyjaciela w kimonie, niosącego - niczym Salome głowę Jana Chrzciciela - białą jak prześcieradło jej głowę. Otworzyła oczy, by przegnać ten obraz, i wtedy zauważyła, że pasażerowie się zmienili, a z poprzednich pozostała w wagonie tylko para ze Wschodu. Ledwo zdążyła wyskoczyć na peron stacji Madeleine.

## 10.

CHRISTIAN DIETRICH DZIELIŁ LUKSUSOWY LOKA z psychoanalitykiem, który stosował taktykę nieukrywania swoich pacjentów. Tego dnia był to młody mężczyzna o wyglądzie dandysa, pół chłopiec, pół dziewczyna, nieprzeciętnej urody. Claire pomyślała o zjawiskowym Tadziu, o Werterze i o Eugene Gaunt. W tej chwili dużo by dała, żeby poznać najdrobniejsze tajniki niezwykle złożonego i tajemniczego życia tego młodzieńca o szablonowych pozach. Otworzyły się drzwi gabinetu, ukazała się w nich starsza kobieta, a za nią brunet, który odprowadził ją aż do wyjścia. Mój kochanek, pomyślała Claire, uśmiechając się do niego przelotnie.

- Do widzenia, pani Villeneuve. I proszę pamiętać, co dzień rano, powiedziałem, co dzień rano.

Wrócił do poczekalni i popatrzył na Claire.

- Panno Brincourt, co pani tu robi? Nie była pani umówiona.

Rzucił okiem na młodzieńca, który w ogóle się nimi nie przejmował, pewnie zatopiony w swojej zaburzonej genealogii.

- Ależ tak - odparła Claire - dzwoniłam w piątek wieczorem.

- Proszę wejść.

Weszła za nim do gabinetu. Dla niej i dla większości ludzi pokój był ogromny. Dietrich nie widział w tym niczego nadzwyczajnego. „W moim zawodzie należy dobrze oddychać, zarówno pacjent, jak i ja, to zasadnicza sprawa. Do tego potrzeba miejsca”, mawiał.

Dzwonił do swojej asystentki i jednocześnie patrzył, jak Claire się rozbiera.

- Angélique, panna Brincourt, nie widziałem w notesie jej nazwiska.

Zapanowała cisza.

- I proszę wypluć tę cholerną gumę, na litość boską!

- Jak zawsze miły dla personelu - rzuciła Claire ironicznie; była już tylko w majtkach i staniku. - Zimno w tym twoim holu dworcowym - dodała i usiadła na kanapce obitej beżową skórą.

Uśmiechnął się, przeciągnął, z zamkniętymi oczami. Energicznie potarł ręce, aby je rozgrzać. Przez chwilę obserwował pacjentkę, chodził wokół kanapki, przyglądał się Claire ze wszystkich stron, jak stylistą szukający jakiegoś zagniczenia w wieczorowej sukni.

- Niech się pani położy - polecił.

Wziął głęboki oddech, wyduł tors pod białą bluzą.

- Przestań mi mówić per pani, proszę cię - odezwała się Claire. - To głupie!

Dietrich stanął za jej głową, patrzył w powietrze i wsuwał ręce pod jej szyję.

- Hm... - powiedział, jakby cierpiał takie same bóle jak jego pacjentka. - Napięte mięśnie szyi, napięte! Pani cierpi, pani cierpi! - mówił, masując delikatnie.

Claire się temu poddawała. Uwielbiała masażę Dietricha, czasem trudno jej było je odróżnić od przyjemności erotycznych. Zamknęła oczy, roztopiała się powoli, jak bardzo twarde sople.

- Migreny minęły? - spytał osteopata.

- Zdarzają się rzadziej. Ale nadal mam bóle, tutaj. - Pokazała górną część policzków. - Przeszkadza mi to, muszę ciągle ściągać mięśnie, o tak.

Zrobiła grymas dla zilustrowania swoich słów. Dietrich słuchał z powagą. Tak bardzo serio traktował swój zawód, że Claire już na pierwszej wizycie nie mogła się powstrzymać od szczegółowego opowiedzenia mu o swoich wszystkich dolegliwościach. A on nie oparł się tej dziwnej kobiecie o tak fascynująco skomplikowanym ciele.

- No i od jakichś dwóch dni boli mnie bardzo górna część brzucha.

- Tak, czuję... - odparł, uciskając żołądek, który wydał mu się twardy jak piłka futbolowa. Zaczął go trochę zmiękczać, przybliżył się do niej i masował jej brzuch.

- Jakież zmartwienia?

- Posłuchaj. Pomyślisz, że bredzę, i może będziesz miał rację. W mojej kamienicy dzieją się dziwaczne rzeczy. Nade mną zamieszkał jakiś podejrzany typek i od tego czasu wszystko jest na opak. Wypytuje mnie o sąsiadów, jak jakiś szpicel. Konsjerżka powiedziała mi, że on nie ma mebli. Facet mnie nienawidzi, nie wiem dlaczego. I w dodatku zwala mi się na łeb, żeby grać w szachy! Sam widzisz...

- Nie, nie widzę - rzucił Dietrich, udając obojętność.

Delektował się uzasadnioną zemstą na Claire, która od początku ich znajomości nie chciała go wpuścić do swojego

mieszkania i uporczywie odgradzała poszczególne fragmenty swojej egzystencji.

- Mówiłam ci o Ishidzie, moim japońskim sąsiedzie?
- Coś niecoś.
- No więc, nagle wyjechał i zostawił mi list, napisał, że bym też wyjechała na kilka dni.

Dietrich był zorientowany w urojeniach Claire, ale tego dnia wyczuł w niej coś niezwykłego. Coś jak dziwne szaleństwo, które wybuchało w niej podczas ataków hipochondrii...

- Widziałas się ostatnio z Monicą? To nic poważnego?
- Co ma do tego Monica? Mówię ci, że w mojej kamienicy dzieją się dziwaczne rzeczy, a ty pytasz o Monicę? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak, słucham cię i niewiele rozumiem z tych twoich opowiadań o sąsiadach. Widzę przede wszystkim, że na twoich plecach jest pełno gruzełków i że seks dobrze by ci zrobił.

Claire uśmiechnęła się smutno, zawiedziona, że jej kochanek okazuje tak mało zainteresowania jej problemami. Bardzo lubiła Dietricha. Nie był to mężczyzna jej życia, bo mężczyzna jej życia nie powinien nic wiedzieć o jej wnętrzu i cierpieniach, które po prostu znikną na zawsze dzięki samej jego obecności. Zresztą spotkała już takiego mężczyznę i już zdążyła go stracić. Do Dietricha natomiast żywiła uczucie podobne do uczucia dziecka do jego misia. Nie sprawiał jej bólu, po prostu był. Przestał proponować rzeczy niewykonalne, jak jazda jego odkrytym samochodem w sezonie największego pylenia roślin, wspięcie się na wydmnę Pylą czy jedzenie ostryg w normandzkiej restauracji na świeżym powietrzu, w pełnym słońcu po dwóch godzinach jazdy w

korkach. Zrozumiał, że Claire chciałaby być czystym duchem, że to jej się nie udawało i że nie należy zmuszać jej, by przypominała sobie o istnieniu ciała. Rozumiał jej rozpacz, a ona była mu za to bezgranicznie wdzięczna.

- Posłuchaj, tutaj za domem jest ogród.

Wskazała palcem okno gabinetu.

- Tak.

- A w głębi ogrodu furka, która wychodzi na ulicę...

- Tak.

- Furtka nie jest zamykana na klucz?

- Nie. Mogę wiedzieć, co knujesz?

Dietrich zaczynał się martwić. Wiedział, że Claire potrafi w swojej percepcji wykraczać znacznie dalej poza to, co powierzchowne, ale nieraz widzi źle. Niejednokrotnie miał poczucie, że jej inteligencja obraca się przeciw niej, a ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Opierał się jednak myśli, że może być obłąkana.

Popatrzył na nią z niepokojem, co nie uszło jej uwagi. Starła się go uspokoić.

- Wiesz, zabrałam się do twojej książki. Będziemy musieli popracować nad nią razem.

Usiadła, gotowa już się ubrać. Zmarzła, na ramionach jej żyła się gęsia skórka. Delikatnie zmusił ją, by się położyła.

- Zrelaksuj się. Oddychaj powoli. Jeszcze nie skończyłem. Skrzyżuj ramiona. Bardzo dobrze.

Objął ją, wziął głęboki oddech, mocno ją ścisnął. Coś chrupnęło na środku pleców. Dietrich rozluźnił uścisk, po czym powtórzył zabieg. Ciało Claire znowu chrupnęło, w innym miejscu.

- Starczy. Oddychaj. Wstań powoli.

Ubrała się i podeszła do okna. Na dole, na ulicy dojrzała rękę wystającą z wnęki obok sklepu z torbami i dym z papierosa. Pomyślała, że ani Rossetti, ani Ishida nie palą.

- Kiedy się widzimy? - spytał Dietrich, nie bardzo w to wierząc.

Od pewnego czasu Claire przychodziła coraz rzadziej.

- Nic ci nie mogę obiecać. Zachowajmy spokój - odparła z kpiącym uśmieszkiem, kwitującym jego obojętność na jej kłopoty.

- Kiedy krążysz w tej okolicy, nie jest mi łatwo.

Patrzył na nią. W świetle padającym od okna była naprawdę bardzo ładna. Powiedział jej to, gdy po raz pierwszy się całowali.

„Ładna?” - odpowiedziała, jakby taki komplement był czymś zupełnie niestosownym.

„Tak. Czy tego chcesz, czy nie”.

Ta uwaga ją zafrapowała. Często o tym myślała, przeglądając się w lustrze. „Czy tego chcesz, czy nie”, powtarzała sobie wtedy.

Splótł ręce z tyłu głowy.

- Dziękuję za książkę. Co Legrand o niej myśli? - spytał.

- Nic nie myśli. Wydaje ją, żeby zrobić mi przyjemność. I uwierz mi, to nie byle co, bo jest okropnym sknerą.

- A dlaczego chce ci zrobić przyjemność?

Dietrich był typem zazdrośnika. Sądził, że Claire jest samotna, tymczasem była otoczona mężczyznami. Prawdziwymi, nieprawdziwymi, pisarzami, których wielbiła, osobami z powieści spotykanymi na ulicy, sąsiadami z krwi i kości, mężczyznami-pamiętkami, których zachowała na zdjęciu w

portfelu. Często myślał, że gdyby miał kilka centymetrów więcej, nie bałby się niczego ani nikogo.

- Nie wiecie mu się z żoną. To go osłabia i on robi byle co.

- Hm... - zamruczał Dietrich, nagle zdeprimowany niepewnością Claire, książką, którą wydaje się bez entuzjazmu, i swoim życiem bez kobiety. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo chcę zmienić moje życie. Jak bardzo mam dosyć tych sflaczałych ciał, tych ludzi, co to sami siebie nie szanują, ściśniętych jak zdechłe sardynki. Powtarzam im, że mają przestrzeń wewnątrz i na zewnątrz swojego ciała, ale tego nie pojmują. Nadal się kurczą i faszują lekami.

Claire i Dietrich patrzyli na siebie z wielką czułością. Chciałby, żeby podeszła i go pocałowała, ale ona stała oparta o ścianę. Zdarzały się po temu takie chwile, lecz to nie był odpowiedni dzień.

- Claire, wyjedźmy. We dwoje!

Z teczką w ręce Claire szła w stronę drzwi.

- Dokąd?

- Dokąd chcesz.

- Mogę przejść przez ogród?

Dietrich machinalnie wstał, skinął głową.

- Zadzwoń do ciebie, gdy będzie korekta - dodała zamiast usprawiedliwienia.

Kiedy już zamknęła za sobą drzwi prowadzące na boczne schody, krzyknął głosem drżącym ze złości:

- Do zobaczenia niebawem, panno Brincourt, mam nadzieję, że gdy pani znów się pojawi, nie będzie już kłopotów!

Nie zwrócił uwagi na kolejnego pacjenta, trzasnął drzwiami i zamknął się w gabinecie.



Claire przecięła zadrzewione podwórko i wyszła na ulicę niewielką furtką. Z bijącym sercem rozejrzała się i zaczęła biec na oślep. Skręciła w jakąś ulicę, potem w jeszcze jedną. Gdy już traciła dech, zatrzymała się przed wystawą antykwariatu. Krzyknęła na widok własnej twarzy odbijającej się na tle afrykańskiej maski, białawej, groźnej, jak prawie wszystkie maski afrykańskie. Po co tak pędzić? Nikt mnie nie śledzi, pomyślała, dysząc, pośród najzupełniej spokojnych przechodniów. Zauważyła, że nadjeżdża 76. Podbiegła do przystanku, pięćdziesiąt metrów dalej. Bez trudu znalazła miejsce w prawie pustym autobusie. To była pora emerytów, młodych ludzi o dowolnym czasie pracy, bezrobotnych, matek z wózkami, a w nich dziećmi, i zakupami. Naprzeciw niej siedziały dwie starsze panie o złym spojrzeniu i obserwowały, jak łapie oddech. Rozejrzała się. Nie zobaczyła nikogo, kto mógłby jej wyrządzić krzywdę. Odprężyła się, nagle zmęczona. Przymknęła oczy i poczuła na sobie doświadczony rękę Dietricha. Rozmowa dwóch starszych pań nie pozwoliła jej zasnąć.

- I wie pani, co on mi zafundował sześć miesięcy później? - spytała jedna z nich.

Diament, który miała, był tak duży, że nie mógł być prawdziwy.

- Nie? - odparła druga, żadna wieści, przygotowana na najgorsze.

- Drugiego raka. Tak, droga pani, tak jak mówię.

- Och! - powiedziała druga, zaszokowana, z ręką przy ustach.

- Po to, żeby mnie... pognębić. Nie ma innego słowa. Przykro mi to mówić, ale nie płakałam, kiedy odchodził. -

Popatrzyła w przestrzeń. - Ach! Co ja z nim miałam! Teraz dopiero odżywam. - I odetchnęła głęboko całą wydatną pierśią.

- To bardzo smutne - stwierdziła druga w odruchu miłości bliźniego.

- I tak, i nie. Musi pani wiedzieć, że zostawił mi niezłą sumkę. Nie mogę narzekać, przezorny to był człowiek.

Obie panie powoli wstały i bezpowrotnie zniknęły z życia Claire.

Po POWROCIE DO DOMU Claire usiadła przy biurku i spędziła wiele godzin na pracy. Późnym popołudniem dla wytchnienia pogрузyła się w lekturze japońskiej powieści kryminalnej, którą pożyczył jej Ishida przed kilkoma dniami. Wciągnęła się w kolejowe śledztwo inspektora Mihary, prowadzone w całej Japonii. Między stronami 38 i 39 trafiła na kwit z pralni. Kwit na garnitur, który, sądząc po dacie, już od poprzedniego dnia był do odebrania. Ledwo zdecydowała się po niego pójść, a już znalazła się na ulicy z kwitem w torebce.

- Jakie to szczęście, że regularnie przeszukujemy kieszenie... - Pani z pralni podała Claire kopertę, taką samą jak ta, którą Ishida wsunął pod jej drzwi.

- Dziękuję.

Wychodząc z pralni, zobaczyła Louise i Lucie; szły w jej kierunku, trzymając się za ręce.

- Claire, dobrze, że cię widzę. Martwię się o jutrzejszy dzień. Nauczycielka Lucie jeszcze strajkuje. Nie mam nikogo - powiedziała, strzepując coś z ramienia sąsiadki.

- Nie pasuje mi - oświadczyła Claire i ponieważ zdała sobie sprawę, że jej słowa uraziły dziewczynkę.

Chciała jak najszybciej pozbyć się Louise, żeby móc przeczytać list, więc zgodziła się wziąć do siebie Lucie następnego dnia na kilka godzin. Gdy wyjmowała list z torebki, usłyszała:

- Dzień dobry, panno Brincourt, co u pani?

Paul Rossetti, uśmiechnięty, w kolejnej odmianie kracianej koszuli, wychodził z kawiarni. Zauważyła, że palił papierosa.

- Pan pali? - spytała.

- Tak, zdarza mi się.

- A pilnowanie na egzaminach?

Rossetti nie zechciał odpowiedzieć, szedł z nią krok w krok. Tak dotarli do domu. Claire była straszliwie skrzepowana i rozdrażniona obecnością tego człowieka, tu, blisko niej, spokojnego jak jakiś mąż. Odprawiła go przed drzwiami swojego mieszkania, mówiąc ledwo słyszalne „do widzenia”, po czym zasunęła zasuwę, czego nie robiła od włamania do pani Chevalier przed trzema laty. Nareszcie mogła przeczytać list Ishidy.

„*Chère Claire,*

Kiedy Pani trafi na ten list, jeśli Pani trafi, mnie już nie będzie. Czy mogłaby Pani przyjść do ogrodu przy Muzeum Rodina, dwudziestego czwartego około 11.00? Ja Panią tam znajdę. Możliwe, że jest Pani śledzona. Proszę zachować ostrożność.

Ishida Tatsuo”.

Claire włożyła list do koperty i wybuchnęła szalonym śmiechem. Dwudziestego czwartego? To jutro. Oczywiście pójdzie. Oczywiście, będzie uważać. Na co? Tajemnica. Ale zabawi się przynajmniej wyprowadzeniem w pole swojego

prześladowcy; wyobrażała go sobie jako człowieka w kracianej koszuli, uderzająco podobnego do sąsiada z góry. Wyjęła opakowanie kartofli w gęsim smalcu i kurzych udek po prowansalsku i włożyła to wszystko do kuchenki mikrofalowej. Odsłuchiwała sekretarkę telefoniczną, która powiedziała, że nie ma żadnej wiadomości. Zjadła kolację, oglądając dziennik i nasłuchując kroków sąsiada, które nagle ucichły. I wreszcie, nim wcześniej poszła spać i wzięła proszek na sen, podjęła ostatnią tego dnia decyzję. Tak jak załatwia się ubezpieczenie na życie przed operacją, postanowiła zatelefonować do rodziców.

## 11.

- HALO, TO JA - powiedziała do matki.

- Kto ja?

Nieźle się zaczęło.

- Claire.

- Ach! Macie z siostrą takie same głosy, nigdy się nie przyzwyczaję!

Claire nienawidziła dzwonić do rodziców. Czy mogłaby stwierdzić, że nie cierpi rodziców? A jednak taka po części była prawda. Nie lubiła przyjeżdżać do tego prowincjonalnego mieszkania, gdzie pachniało starością, pomimo że tych dwoje starało się udawać młodych. Opuszczając dom, nie zachowała rodzicielskiej miłości jak fetysza na dnie kieszeni. Nie miała cudownych wspomnień, które mogłyby podtrzymać złudzenia i uratować je przed zagładą.

Oboje dzieci sklepikarzy - sery na targu z jednej strony, pasmanteria z drugiej - rodzice otworzyli w lokalu po pasmanterii sklep z bretońskimi pamiątkami i porcelaną z Quimper. Ze względu na kruchość czarek z uszkami i naczyń do szparagów dzieci miały tam kategoryczny zakaz wstępu. Po-tem przestawili się na „śmieszne rzeczy” i pod wiele

obietującym szyldem U Wesołego Kompana przyciągali wszystkie lokalne hulaki w czasach Chwalebego Trzydziestolecia. Ojciec przeczytał gdzieś, że nadchodzi „era zabawy”, i dojrzał w tym okazję do wzbogacenia się szybszego niż na bretońskiej porcelanie. Claire wzrastała pośród sztucznych piersi z plastiku, poduszek wydających nieprzyzwoite dźwięki, gumy do żucia z pieprzem, nocników dla młodej pary z okiem namalowanym na dnie i łyżeczek rozpuszczających się w wodzie. Rodzina żyła rytmem ślubów, powrotów z wojska, dniem *prima aprilis* i pożegnaniem życia kawalerskiego. Ojciec traktował interesy bardzo poważnie, osobiście sprawdzał, jak długo można nosić maskę, zanim się człowiek uduśi. Dokładnie przyglądał się wykończeniu kostiumów wypożyczanych na zabawy, każąc wkładać je córkom.

Matka Claire, która marzyła o innym życiu, nienawidziła sklepu i klienteli - uważała, że są wulgarne. Wołała sprzedawać ręcznie malowane talerze, a nie szczęki wampirów, tęskniła za butikiem z pamiątkami. Musiała z tym kojarzyć wczesne dzieciństwo córek, bo głośno, krytycznie pytała, „co z nich wyrosło”, od czasu gdy bretoński sklep po kawalku trafiał na aukcje. Mówiła wtedy o swoich „dziewczynkach”, tak jakby umarły albo zostały wymienione na dwie rzadko uśmiechnięte dorosłe panny, które nie chciały pomagać w sklepie, jeździć na kempingi i ubierać się w *Dames de France*.

Hałas panujący w sklepie, a także nieustannie w mieszkaniu, które rodzina zajmowała na piętrze, nad Śmiesznymi Rzeczami, wyjaśniał, jak sądziła Claire, jej mistyczne upodobanie do ciszy. Częste kłótnie rodziców stanowiły najbardziej bolesny aspekt jej fobii. Burzliwe spięcia dokonywały się według ściśle przestrzeganego rytuału. Zaczynała matka,

temat niewiele się zmieniał. Sklep z ubraniami, o którym mówiła jak o ziemi obiecanej coraz bardziej niedosiętej, potem deszczowe miasto, gdzie nie mogła znaleźć przyjaciółek, „chyba tylko w grupie Weight Watchers, ale one zniknęły, gdy tylko zrzuciły kilogramy”. Jak byk za barierką, ojciec czekał, aż matka otworzy drzwiczki, poruszając krwistoczerwoną peleryną, co wywoływało irytację: jego rodziną, tym jarmem nie do udźwignięcia - potworni kuzyni, zakute łby, naznaczone genealogią poczętą w ciasnych łózkach bez światła i powietrza, wujowie i ciotki, którzy nigdy nie umrą, a których trzeba odwiedzać wiele razy w roku. Matka się nie oszczędzała, trzeba przyznać. Ojciec rzucał się wtedy w szkła i wiklinowe fotele, pieniąc się daremnie, bo nie był człowiekiem brutalnym. Poddawał się samodestrukcji w swoim salonie na oczach tej nieugiętej kobiety, której i tak nigdy by nie porzucił, bo to nie do pomyslenia.

Claire, młodsza z sióstr, urodziła się dwa lata po Anne. Anne była bardzo ładną brunetką z długimi kręconymi włosami, mrocznym spojrzeniem i zgrabną sylwetką, co - dla siostry - kładło się gęstym, uporczywym cieniem przez cały czas ich długiej młodości. Jak ojciec, Claire tupiała nogą, i nie ponadto. Potem odkryła literaturę i aż do pełnoletności zamykała się w pokoju, niczym księżniczka z bajki. Była świadkiem - nie włączając się - emancypacji siostry, jej wypadów do dyskotek, chwiejnych powrotów nad ranem, w potach i zapachu wymiocin. Jej liczni przyjaciele pochodzili z miejscowego mieszczaństwa, bo Anne brała na muszkę w najgorszym razie syna producenta galanterii skórzanej, który przejmie luksusowy sklep ojca, a w najlepszym - jakiegokolwiek „kogoś” z wydziału medycyny albo miejscowej filii paryskiej

szkoły handlowej. Rodzice płaszczyli się przed tymi chłopcami w jasnoniebieskich koszulach, którzy paradowali po ich sklepie, udając, że interesują się maskami Laurek i Hardy'ego. Poradzono Anne, by jak najszybciej zaczęła brać pigułki. Tak też uczyniła i korzystała z tego w najlepsze.

W końcu szczęśliwym wybrankiem został pochodzący z Nantes niepozorny studencik architektury, który grał na perkusji i nosił czarne T-shirty. Rodzice byli przerażeni, ale milczeli, bo decyzji Anne nie poddawano dyskusji. Ślub odbył się z wielką pompą, a Claire skorzystała z zamieszania, opuściła dom rodzinny i urządziła się w Paryżu dzięki kuzynce matki, tej, która знаła Legranda. Podczas gdy Claire poznawała Paryż, a jednocześnie prowincję i szkody, jakie wyrządziła młodej dziewczynie rzuconej w środowisko ludzi światłych, Anne i Jean-Paul dobrze prosperowali w Nantes. Urodziło im się dwoje dzieci, jedno po drugim. „Królewska parka!” - krzyknęła Anne do telefonu, śmiejąc się jak Pani Mim, po drugim cesarskim cięciu. Jean-Paul wszedł w spółkę z pewnym paryżaninem i stworzył biuro architektoniczne w La Baule. I z zapyziałego karzełka stał się w oczach teściów niemal bóstwem opiekuńczym słynnego kurortu. Zrobił niezłą forszę i kupił żonie legendarny sklep z ubraniami, którego wizja od dziesięcioleci, jak wyrzut sumienia, nawiedzała całą rodzinę Brincourtów.

Przez pierwsze lata Claire regularnie przyjeżdżała do siostry, by zażyć świeżego powietrza, później coraz rzadziej. Od trzech lat jeździła tam tylko na Boże Narodzenie. Z czasem odkrywała, że opuścić prowincję dla Paryża to - tak czy owak - krok bardziej radykalny niż wyjazd za granicę.

Długa analiza przyczyniła się też do oderwania Claire od tej „kliki”, jak ich nazywała. Idąc za radą Moniki, którą niepokoiła jej fobia przed hałasem i chorobami, Claire



opowiedziała o swojej młodości psychoanalitikowi z Szesnastej Dzielnicy. Przez dwa lata nie opuściła ani jednej sesji; starała się nie malować w dzień wizyty, bo zawsze wychodziła z gabinetu zalana łzami. Zwierzyła się temu człowiekowi, prawie niememu, ze swoich głupich tajemnic, prowincjonalnych wyobrażeń na temat nieokiełznanego seksu, uprzedzeń i fantazji, których „nawet Bosch by sobie nie wyobraził”, jak mówiła do Louise, która także miała zamiar skorzystać z takiej porady.

Dwa zdarzenia ze sobą połączone skłoniły Claire do położenia kresu temu, co mogłoby stać się psychoanalizą do końca życia. Któregoś dnia usłyszała samą siebie, jak oznajmia niememu rozmówcy, że „jest inteligentniejsza od swoich rodziców”. Ta banalna konstatacja była dla niej odkryciem, które stało się końcem jej introspekcji. Bycie inteligentniejszym niż rodzice dawało jej nieoczekiwaną, niespodziewaną wolność i władzę, której zresztą nie wykorzystywała, bo nie w tym tkwił problem. Potem spotkała Jeana-Baptiste'a, „arystokratę” - nazywała go mężczyzną swojego życia. Nie dało się go pogodzić z introspekcją. Z dwóch mężczyzn - arystokraty i psychoanalitka - wybrała tego, który mówił, a nie tego, który milczał. Listem zawiadomiła psychoanalitka o zerwaniu umowy, świadoma, że zachowa wspomnienie jego wyjątkowego, głębokiego głosu, który mówił „proszę kontynuować”, kiedy wchodziła na odpowiednie tory, i który pachniał ciemnym tytoniem. Wysłała mu kartkę przedstawiającą obraz Salvadora Dali *Sen wywołany lotem pszczoły wokół granatu sekundę przed przebudzeniem* na pamiątkę jej własnych snów, razem je przecież drobiazgowo patroszyli. Długo wahała się przy skrzynce pocztowej, bo nie była całkiem pewna, czy jest już gotowa na przerwanie kuracji

i czy kartka jest w dobrym guście.

Matce, przy telefonie, brakowało tchu. Claire słuchała, zamknięta w sobie, dalekich utyskiwań rodziców, jednocześnie rysując flamastrem pajęczynę na podręcznym notatniku. Ojciec przypomniał o urodzinach jej córki chrzestnej. „Chce lalkę, która siusia”, rzuciła matka zza jego pleców.

Claire wybuchnęła śmiechem.

- Co za ohyda. Założę się, że niebawem będą lalki, które mają rozwolnienie, a potem, dlaczegóżby nie? lalki, które umierają!

Ojciec przytaknął, nieco zakłopotany. Udało jej się powiedzieć o nowych sąsiadach: „nauczyciel fizyki, a przede wszystkim uroczy Japończyk”. „Ach tak”, słowa ojca trąciły rozczarowaniem, czuć było z daleka. Widzieli już ją w związku z nauczycielem, ale Japończyk był dla nich kimś niewyobrażalnym. Claire miała ochotę odłożyć słuchawkę. To, co najważniejsze, zostało powiedziane, w razie śledztwa, gdyby zniknęła lub została zamordowana.

- Na pewno przyjadę do Paryża na targi zabawek...

Już nie słuchała. Z okna na trzecim piętrze pani Courtois mówiła jej „dzień dobry” z kwaśnym uśmiechem. Po jej trzecim skinieniu głową Claire zrozumiała, że coś jest nie tak. Szybko zakończyła rozmowę i pobiegła do pani Courtois, chwytając klucze Ishidy.

- Kto tam? - spytała pani Courtois słabiutkim głosem, bardzo wystraszoną.

- To ja, Claire.

Drzwi otworzyły się, stanęła w nich stara mumia bez makijażu, z szalonymi oczami, rzadkimi włosami pod cieniutką

siatką. Ściśnięta grubym pikowanym blad różowym szlafrokiem wprowadziła Claire do salonu.

- Słyszałam jakiś hałas u pana Ishidy - oznajmiła. - Pomyślałam, że wrócił, więc zeszałam, aby się z nim przywitać. Dzwoniłam, niestety, nie otworzył. Wróciłam do siebie, posłuchałam jeszcze przez chwilę. Usłyszałam odgłos przesuwanych mebli, otwieranych i zamykanych drzwi, a nawet dźwięk spuszczonej wody. - Claire zastanawiała się, dlaczego myślała, że pani Courtois jest prawie głucha. - Ale nie widziałam światła w jego mieszkaniu.

- Kiedy to było? - spytała Claire.

Przypomniała sobie, że przez kilka godzin nie podniosła głowy znad biurka, a część rozmowy telefonicznej z rodzicami odbyła w kuchni. Nie mogła więc widzieć, co działo się u Ishidy.

- Przed chwilą. Zadzwoziłam do pani, ale było zajęte - odpowiedziała sąsiadka.

Claire podeszła do okna w salonie. Pani Courtois miała doskonały widok na mieszkanie Rossettiego. Zasłony były zaciągnięte, ale niewyraźna poświata wskazywała, że on jest w domu albo że pali się u niego światło.

- Pani Courtois. Proszę sobie przypomnieć. Gdy usłyszała pani hałas na dole, Rossetti był w domu?

Starsza pani przeraziła się, poczuła niepokój jak w szkole podstawowej, gdy stojąc na podium, musiała wyrecytować w porządku chronologicznym królów Francji. Jej oczy komicznie zataczały koła w swoich orbitach.

- Ja... Nie sądzę. Wie pani, trudno powiedzieć. Od czasu gdy zawiesił story, okna zawsze są zasłonięte. Pewnie myślał, że go szpieguję.

- Hm... - mruknęła Claire, zirytowana słowami starszej pani, która nawet nie potrafiła wykorzystać takiego widoku z okna.

Podeszła do drzwi wyjściowych.

- Dokąd pani idzie? - spytała sąsiadka bardzo zaniepokojona.

- Do pana Ishidy. Może ktoś próbował się do niego włamać! - Claire zdziwiła się, że mówi tak głośno.

- Ależ, proszę tego nie robić, panno Brincourt. A jeśli ten człowiek jeszcze tam jest?! - Jej głos oscylował między paniką a starczym głędzeniem. Dlaczego ta dziewczyna tak mi krzyczy do ucha? - pomyślała.

- No to niech pani idzie ze mną - zaproponowała jej Claire.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, pani Courtois zapowiedziała, że owszem, pójdzie; jej oczy płonęły, jak oczy grubasa na diecie, toczącego pianę, który woła „Do ataku!” przed drzwiami ciastkarni. Znikła na kilka chwil w pokoju i wróciła z pistoletem.

- Czy z panią coś nie tak, pani Courtois? Wyobraża pani sobie, że pozwolę pani zejść z tym czymś? Proszę to odłożyć albo idę sama.

Starsza pani z żalem posłuchała, cieszyła się jednak, że wywarła takie wrażenie.

- Skąd się wziął ten pistolet? - spytała Claire.

- Mój mąż. Pamiątka z wojny algierskiej. Niestety, nie mam kul. Nawet nie wiedziałabym, gdzie je kupić. Idziemy? - rzuciła wesoło.

Claire wyszła z mieszkania, a za nią pani Courtois. Nie czuły się pewnie. Z klatki schodowej ujrzały Louise, paliła

papierosa w oknie naprzeciwko. Claire pomachała jej entuzjastycznie, co zaintrygowało palaczkę. Claire uważała, że ktoś powinien je widzieć, w razie jakichkolwiek problemów. Bezszelstnie weszły do mieszkania Ishidy, Claire zapaliła światło.

- Oszalała pani! - krzyknęła pani Courtois i je zgasiła.

- Ależ nie - zaprotestowała Claire, odsuwając ją bezceremonialnie. Zapaliła. - Absolutnie mamy prawo tutaj być. Ishida zostawił mi swoje klucze. O ile wiem, jesteśmy jego przyjaciółkami. Możemy na przykład podlewać kwiaty.

- U niego nie ma kwiatów - zaryzykowała pani Courtois, która bez szemrania przyjęła rolę sekundanta.

Claire nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć; wyglądała przez okno. Okna Rossettiego były ciągle zasłonięte, Louise zniknęła.

- Dobrze - rzuciła, rozglądając się.

Ukryła przed swą współniczką, że ktoś, oczywiście, był w mieszkaniu. Gdy tylko postawiła stopę w przedpokoju, rozpoznała delikatny zapach Rossettiego, włoskiej wody toaletowej, dyskretny, ale trwały, który wyczuła podczas partii szachów. Po drugie, pomyślała, drzwi do sypialni zostawiłam otwarte, teraz są zamknięte. Zajrzała tam, nie zauważyła niczego specjalnego, potem poszła do kuchni, gdzie pani Courtois sprawdzała zawartość lodówki.

- Pusta - oznajmiła starsza pani. - To lodówka samotnego mężczyzny - dodała smutno.

- Albo kogoś, kto na dłużej wyjeżdża - odparowała Claire z niepokojem.

Pani Courtois chrupała jabłko znalezione w koszyku na jarzyny. Niepewnie rozglądała się wokół. Ta stara wariatka

już się tu widzi, pomyślała Claire, ukrywając kpiący uśmiešek w koszu na śmieci. Zobaczyła w nim butelkę po piwie Kirin i dwie jednorazowe chusteczki. Potem poszła sprawdzić pokój do pracy, za nią pani Courtois, do niczego jej nie potrzebna. Claire nie znalazła w mieszkaniu niczego interesującego, więc obie kobiety delikatnie zamknęły za sobą drzwi. Pozostawiły jednak ślady dla następnego gościa: ogryzek jabłka i woń Miss Dior, pomyślała Claire.

- Proszę wpaść na herbatkę ziołową - zaproponowała pani Courtois, zbyt podekscytowana, by od razu pójść spać.

Claire zgodziła się po chwili wahania, nieodparcie wabił na widokiem okien Rossettiego.

U pani Courtois trwały jeszcze przeszkadzające w życiu pozostałości burżujskiego życia. Kosztowne dywany, szafy utrzymywane w porządku przez kolejne pokolenia służących, oszklone serwantki z porcelaną, nefrytowymi figurkami Buddy i strusimi jajami, sekretera zdobiona złożonymi zamkami. Ściany uginały się pod ciężarem licznych obrazów, każdy z nich wskazywał na epokę, styl, modę ostatnich pięćdziesięciu lat. Claire rozsiadła się w fotelu, z którego był bezpośredni widok na podwórko. U Rossettiego nic się nie poruszało. Spostrzegła, że u pana Lebovitza jest ciemno. Mogła też oglądać na ekranie telewizyjnym u młodego informatyka scenę z filmu, który znała, ale którego tytułu nie pamiętała. Mimo że ten film bardzo lubiła. Zbliżenie twarzy Danielle Darrieux, powieki ciężkie ze zmęczenia i z burżuazyjnej wzgardy. Co za głupolka! Przecież to Madame de... ! - pomyślała. I wtedy pani Courtois postawiła na stoliku dwie filiżanki pełne gorącego jasnozielonego naparu. Claire zupełnie o tym zapomniała. Popatrzyła na starszą panią i stwierdziła

pewne podobieństwo do Suzanne Flon, a także do Madeleine Renaud. W kamienicy nikt za nią nie przepadał, Claire nie była wyjątkiem. Jednak stawiała sobie za punkt honoru nie ignorować sąsiadki, bo ta niedługo umrze, to czysta matematyka, a więc wystarczający powód, by jej nie lekceważyć. Tymczasem nagle poczuła się tak bardzo zmęczona, że nie wiedziała, co jej powiedzieć. Miała w oczach obrazy z filmu i piękną aż do bólu twarz Vittoria De Sica; zasnęła przy pani Courtois, która sapała nad herbatką z werbeny, wpatrując się w nią. Siedziała w niewygodnej pozycji, obudziła się jakiś czas potem z głową między nogami. Przypomniała sobie, gdzie jest. Pani Courtois zniknęła. Claire znalazła ją śpiącą w łóżku. Nie przypuszczała, że starzy ludzie śpią w takiej samej pozycji jak młodzi. Obeszła mieszkanie, by pogasić światła, i wróciła do siebie.

DŁUGO KRAŻYŁA MIĘDZY SALONEM A POKOJEM DO PRACY. Dlaczego Rossetti poszedł do Ishidy? W jaki sposób tam się dostał bez klucza, nie wylamując drzwi? I po co? Na pewno czegoś szukał. Jakiegoś adresu, miejsca, w którym przebywa jej przyjaciel?

Claire poszła spać napięta. Co zrobić, żeby zgubić Rossettiego? Teraz była już pewna, że posłuży się nią, by odnaleźć Japończyka. Podczas niespokojnej nocy błąkała się po trzęsawiskach, w kraciastych kaloszach, które nabierały wody; podejrzewała, że matka kupiła je na wyprzedazy. Wiedziała, że w szarawym mokradle roi się od czerwonych skorupiaków. Ktoś, kto jej źle życzy, przeniósł morskie żyjątka do tego obrzydliwego bagna, aby pożarły ją, zanim nadejdzie świt. Wielkie niebezpieczeństwo kryło się w tym bezgłośnym

śnie, w którym Claire wystąpiła jako postnuklearna heroina w poszukiwaniu ocalałych istot ludzkich. Obudził ją ostry, natarczywy dzwonek.



## 12.

KTOŚ NIEWYCHOWANY, pomyślała z rzadką u niej wściekłością, odrzucając koldrę.

- Kto tam? - spytała raczej nieprzyjemnym tonem.
- Lucie - odpowiedział głosik tuż znad podłogi.

Claire przypomniała sobie o swoim zobowiązaniu i otworzyła, trochę zawstydzona, wyczerpana i już zawnazsu zmęczona. Lucie przysła z matką, kobietą o czterdziestoletniej twarzy przeciętej fałszywym uśmiechem attachée prasowego, którą chciałoby się uderzyć. W dziwny sposób trzymała rękę córce na głowie, jakby chciała ją spłaszczyć.

- Witaj, moja ślicznotko! - powiedziała Claire do swojej małej przyjaciółki. - Wejdz, zaraz przyjdę.

Lucie zniknęła w czeluściach mieszkania, bez pożegnania z matką.

- O której ją odbierzesz?
- Dokładnie nie wiem.
- Wolałabym, żebyś wiedziała. Mam zebranie przed południem.

Louise wyglądała przez okno na klatce schodowej, przygryzając wargę, na pewno sztucznie wydetą.

- No to już idź! - rzuciła Claire, zamykając jej drzwi przed nosem.

Poczekala, aż Louise jakoś zareaguje, może zadzwoni. Po chwili usłyszała, jak powoli schodzi po schodach w pełni świadoma, że ma na sobie buty na wysokich obcasach, bardzo wysokich.

Claire była głodna, więc poprosiła Lucie, by poszła z nią do kuchni. Naprawdę nie pasowała jej teraz opieka nad małą sąsiadką. Takiego gościa nie można potraktować byle jak. Nie przywykła wpychać dzieci w szczeliny, które pozostają, gdy dorośli zabierają dla siebie najlepszy czas i miejsce dnia. Miała zebranie z Legrandem, nie mogła na nie nie pójść. I wszystkie te kłopoty, których nie można lekceważyć: obecność Rossettiego, nieobecność Ishidy, ta dziwna groźba dźwięcząca jej w uszach, obsesyjna jak uszne szumy, jak coś bezkształtnego. Wykluczała wszelką paranoję, trzeba będzie poczekać do jutra i poprosić Ishidę o wyjaśnienia. Musi się też zastanowić, jak zmylić czujność Rossettiego, tę jego inwigilację, tak zwyczajną w powieściach kryminalnych, a nie na miejscu w prawdziwym życiu.

- Gdybyś musiała zgubić kogoś na ulicy, jak byś się do tego zabrała? - spytała dziewczynkę, grzecznie siedzącą przed kubkiem kakao i maślaną bułeczką, z serwetką zawiązaną na szyi.

Lucie intensywnie wpatrywała się w Claire, potem przeniosła wzrok na tłuste oka na powierzchni fioletowawego płynu. Podniosła głowę.

- To ktoś dorosły czy dziecko?

- Dorosły.

Lucie miała zawiedzioną minę. Znała zapewne sposób na zgubienie dzieci, jeśli nie idą z dorosłymi.

- Myślę, że wstałabym bardzo wcześnie, kiedy on jeszcze śpi, i wsiadłabym do pociągu do Brukseli. Tam poszłabym do bardzo drogiego hotelu, bo ten człowiek jest biedny i nie może do tego hotelu wejść. No i czekałabym.

Claire powstrzymała śmiech. Dlaczego do Brukseli? - pomyślała.

- Problem w tym, że muszę być w Paryżu.

- Aha! To ty musisz kogoś zgubić?

Lekki niepokój pojawił się w spojrzeniu dziewczynki, która nagle zdała sobie sprawę, że jej plany spełzną na niczym.

- I tak, i nie. Chcę napisać pewną historię i utknęłam w martwym punkcie. Łamię sobie głowę, żeby wymyślić, w jaki sposób mój bohater mógłby zgubić złego człowieka, który go śledzi.

- Złego? - spytała Lucie, nieświadomie zaprzeczając ruchem głowy.

- Tak. To trochę zły człowiek, nie za bardzo, jeśli tak wolisz.

- Jaki on jest?

- Dość wysoki, blondyn, nosi kraciaste koszule.

- To ten nowy pan, który mieszka na trzecim piętrze! - oznajmiła triumfalnie dziewczynka.

- Ależ wcale nie - odparła Claire kategorycznie.

Lucie się nie upierała. Jeszcze przez chwilę uśmiechała się zadowolona, jednocześnie bez przekonania chrupiąc bułeczkę. Zjadła śniadanie z matką, ale nie mogła o tym powiedzieć Claire, bo sprawiłaby jej zawód. Patrzyła, jak Claire pije herbatę, a jej myśli zawieszono są w światłach podwórka.

- Tatuś wyjechał.

- Co? - mruknęła Claire, zbita z tropu.

- Tak, na trzy dni. Wysłali go z pracy.
- A dokąd? - spytała Claire, która założyłaby się, że do Brukseli.

- Do Brukseli.

Przez chwilę milczały. Potem Claire sprzątnęła w kuchni, podczas gdy Lucie na drzwiach lodówki pisała literami z magnesem ciekawe zdanie: „Biegnę szybciej niż pociąg”. Claire włączyła telewizor, poszukała programu dla dzieci, z którego kilometrami wylewały się filmy animowane, przy całkowitej obojętności małych konsumentów i ich rodziców. Przyzwyczajona do tej manipulacji Lucie rozsiadła się na kanapie i natychmiast, bez proszenia, zrobiła się cichutka jak trusia. Claire stosowała ten wybieg tylko w razie pilnej potrzeby; tym razem musiała się przyszykować do wyjścia, i przygotowała się w rekordowym czasie, tak jakby Lucie, samej przed bardzo ruchliwym ekranem, groziło jakieś niebezpieczeństwo.

Pozbierała swoje rzeczy, włożyła do teczki, przez moment nasłuchiwała, czy ktoś się rusza w mieszkaniu piętro wyżej. Nie usłyszała żadnych odgłosów, zastanawiała się, czy Ishida po prostu nie zwariował - zostawia wszędzie te swoje liściki, jak Tomcio Paluch białe kamyczki. Ujrzała siebie w sypialni sąsiada ubraną w kimono. Zaczerwieniła się i przepędziła ten obraz, jak komara siedzącego na skórze, którego strzepuje się wierzchem ręki.

Zauważyła, że Lucie jest bardzo blada, zaniepokoiło ją to, ale potem pomyślała, że żywa czerwień jej kanapy nadaje wszystkim mizerny wygląd.

- Idziemy? - spytała, wyłączając telewizor.
- Dokąd? - głos Lucie był pełen nadziei.

- Do sklepu z zabawkami. Muszę kupić lalkę dla mojej chrześnicy, wiesz, Chloe, córki mojej siostry, i potrzebuję twojej pomocy. A w podzięce za radę będziesz mogła wybrać sobie coś dla siebie.

- Taaak! - krzyknęła dziewczynka z entuzjazmem dla tego planu, który tylko Claire mogła doprowadzić do końca, nie zmieniając zdania po drodze.

Lucie przywykła do poronionych projektów, modyfikowanych, zniekształczanych. Znała wszystkie ciemne zakamarki rozczarowania, uczucia, które podobne jest do ataku ogromnego zmęczenia u dzieci zwanych „grzecznymi”. Doświadczenie udowodniło jej, że Claire to osoba dorosła, niezawodna, która robi, co mówi, a to rzadkość.

Poranek był chłodny. Claire chciała wejść do mieszkania Louise po kamizelkę dla małej - ciarki ją przechodziły na widok gołych rąk dziewczynki. Zadzwoiła na wszelki wypadek, niemal pewna, że sąsiadki nie ma w domu. Dźwięk dzwonka wywołał jakieś dziwne zamieszanie za drzwiami. Wydawało jej się, że słyszy tłumiony śmiech. Odczekała chwilę, zadzwoniła jeszcze raz, w końcu odeszła, oburzona czyjąś obecnością po drugiej stronie drzwi, którą tak intensywnie wyczuwała.

W metrze, jak zawsze, brano Claire za matkę, a Lucie za córkę. Spojrzenia wędrowały, a jakże, od jednej do drugiej, jak w zabawie w „siedem różnic”. Ludzie dopatrywali się nosa jednej w nosie drugiej, oczu, owalu twarzy, w końcu na pewno znajdą, Claire była o tym przekonana, ewidentne podobieństwa dziecka do matki. Claire miała swoją teorię: wszystko w życiu jest sprawą sugestii, prawda to tylko anegdota, prosty element w zbiorze prawdopodobieństw o jednakowym znaczeniu. Odkryła, że w Japonii to jest zupełnie

oczywiste, i cieszyła się z poparcia całego narodu dla jej osobistych poglądów.

Claire była bardzo dumna, że może pokazywać się z Lucie. Matka ślicznie ją ubierała, jak lalczkę z bardzo drogiej serii modelowej. Zbyt jednak zajęta samą sobą, nie mogła wiedzieć, do jakiego stopnia te kosztowne przebieranki wyróżniały małą na szkolnym podwórku. Claire zastanawiała się, czy Louise była kiedyś taką właśnie dziewczynką, która mówiła sama do siebie gdzieś w kącie boiska, ubrana w jedwabną sukienkę i białe skarpetki. Patrzyła na Lucie siedzącą obok prosto i nieruchomo i pomyślała, że podobna jest do diabolicznych dzieci z amerykańskich horrorów: kamera podjeżdża do twarzy dziewczynki i wtedy w dużym zbliżeniu w jej nieruchomych oczach, w lekko zarysowanym uśmiechu dostrzegamy, że jest opętana i obdarzona siłą, i niebezpiecznie okrutną wyobraźnią.

- Wybierasz się z mamusią na spacer? - spytała starsza pani głosem ledwo słyszalnym w hałasie metra.

- Tak - odpowiedziała Lucie.

Popatrzyła na Claire, szukając aprobaty, bo nie wiedziała, czy wolno jej rozmawiać z tą osobą.

Claire miała co innego w głowie. Była pewna, że już widziała faceta siedzącego na końcu wagonu, a przecież w mieście takim jak Paryż można przeżyć całe życie i nie spotkać nikogo znajomego. Wiedziała coś o tym od czasu odejścia Jeana-Baptiste'a, mężczyzny jej życia, którego wszędzie widziała, ale nigdy nie spotkała. Popatrzyła ostentacyjnie na tego człowieka, żeby poczuł się skrępowany. On ignorował ją równie ostentacyjnie, co nie rozwiało jej obaw. Mężczyzna zawsze reaguje na spojrzenie kobiety, pomyślała, nawet paskudnej.

Wzięła Lucie za rękę i na następnej stacji szybko wyszły z wagonu. Facet także wysiadł. Claire stała jak wryta na peronie, a Lucie na końcu jej ręki jak organiczna narośl. Facet w czarnej koszulce polo i spranych dżinsach wpatrywał się w ścienny plan metra. Claire zorientowała się, że daleko jeszcze do celu, więc bez ruchu czekała na następny pociąg. Kiedy przyjechał, mężczyzna nie wsiadł za nią. Claire pomyślała, że na pewno jest w innym wagonie. Stojąc, kołysana przez trochę nerwowego motorniczego, oglądała w myśli sceny z filmów z lat siedemdziesiątych, w których Alain Delon czy Gene Hackman przeżywali na niby to, co ona przeżywała naprawdę, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu. Wyrzucała sobie, że w zeszłym miesiącu postanowiła żyć bez telefonu komórkowego, po tym jak pewnej niedzieli dzwonił dziesięć razy podczas nieobecności Legranda - a to sam szef ją ścigał w sprawie spóźnionej korekty.

Gdy dotarły do celu, po słynnej grze w „kolory” - trzeba odgadnąć kolor ławek na następnej stacji, Lucie wygrała pięć do trzech - przyjaciółki weszły do dużego sklepu, którego renoma działu z zabawkami nie była nieuzasadniona. Claire kilkakrotnie sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi, rozluźniła się dopiero pośród ogromnych pluszaków, mięciutkich w dotyku, i mechanicznych pieszków z białego plastiku, które kręciły się w kółko na podłodze. Jako wytrawna znawczyni tego miejsca, Lucie zaciągnęła Claire do działu lalek. Tu półki, na których dominowały barwy różowa i srebrna, przepelnione jak XVIII-wieczny buduar, kontrastowały z tym, co można by porównać do sceny z liceum zawodowego dla fryzjerów i kosmetyczek. W tym dziale „nieprawdopodobnym!”, zamruczała Claire, duże głowy, zwane „głowami do czesania”, patrzyły na

przechodzących swymi wyłupiastymi, apatycznymi oczami. Gotowe znosić wszystkie dziwactwa dziewczynek-sadystek, które je ucharakteryzują na prostytutki. Po stronie buduaru dzieci ubrane w szatki tak wyrafinowane jak stroje Lucie tłoczyły się w pudełkach podobnych do witryn; głowy miały wtulone w ramiona, oczekiwały na swój czas. Były piękne, jak prawdziwe dzieci. Lucie najwyraźniej pociągała praktyka fryzjerska, a nie jej własne klony. Krążyła, nie dotykając jej, wokół niewielkiej lalki z twarzą zniekształconą przedwczesnym liftingiem, o ogromnych ustach nadających jej wygląd karłowatego suma. Lalka była ubrana w bardzo krótką, za ciasną w biuście złocistą bluzeczkę, odsłaniającą piercing w pępku. Minikilt przypominał, że lalka jest małolată, a nie starą prostytutką, jak można by, błędnie, pomyśleć. Claire już wcześniej wiedziała, że Louise nie pozwoliłaby córce bawić się taką małolată, z jaką nie należy się też zadawać - że nie trzeba tu 1) urządzać prowokacji, 2) wydawać dwudziestu dziewięciu euro na zabawkę, która i tak zostanie skonfiskowana. Pod pretekstem, że musi kupić prezent dla chrześnicy, wróciła z Lucie do działu miękkich niemowląt. Sprytnie skierowała dziewczynkę w stronę lalki z wieloma dodatkami, która zapewne kosztowała krocie. Ta biedna Chloe zadowoli się przeciętną lalką, bez gadżetów, bez siusu i kupki, trochę sztywną w ubranku szytym w Azji. Claire widziała już siostrę z powątpiewaniem obracającą lalkę na wszystkie strony w poszukiwaniu ewentualnej, zapomnianej etykiety, która potwierdzi jej podejrzenia co do ceny prezentu. Claire bardzo lubiła swoich siostrzeńców, ale ich matka stworzyła taką barierę bezpieczeństwa między światem a nimi, że zobojętnieli na wszystko, co nie znajdowało się w polu widzenia ich rodziców. Zostali raz na zawsze znarkotyzowani



czułością tatusia i mamusi, więc przyciągnięcie ich uwagi okazało się właściwie niemożliwe. W końcu przestawano się interesować tymi dziećmi, które posłusznie były gdzie indziej.

Obawiając się zmiany sytuacji, z pudłem z lalką pod pachą, Lucie o sobie nie przypominała. Nie mogła uwierzyć, że to paskudztwo, które Claire trzymała w ręku, było dla chrześnicy, a najpiękniejsza zabawka w całym sklepie dla niej. Gdyby mogła, wstrzymałaby oddech. Przy kasie wszelkie wątpliwości się rozwiały, Claire nie zamieniła lalek i owo cudo należało do niej.

- To najpiękniejszy dzień w moim życiu! - zawołała dziewczynka, z poważną miną wchodząc na ruchome schody.

Claire zaproponowała jej przejażdżkę na karuzeli w Ogrodzie Luksemburskim i ewentualnie lody. Zebranie miało się odbyć w samo południe, więc miały trochę czasu. Pomyślała, że człowiek, który ją śledzi, w swej śmieszności nie posunie się do ukrywania za drzewami i będzie zmuszony się pokazać - ta myśl wcale jej jednak nie uspokoiła.

LUCIE JECHAŁA W ZIELONEJ KOŁYSCE. Lody przed karuzelą nie były najlepszym pomysłem, ale jak zwykle dziewczynka doskonale panowała nad swoimi ruchami i nad sytuacją. Czekoladowa kulka na pewno nie wylądowałaby na sukience z beżowego jedwabiu. Za każdym razem, gdy Lucie przejeżdżała obok Claire, sprawdzała, czy torba, w której znajdowała się lalka, jest na miejscu, w ręku jej ukochanej czarodziejki. Po pięciu okrążeniach zniechęcona już Lucie bardzo grzecznie powiedziała do Claire:

- Może już zejść z karuzeli. Chyba nudzisz się tu, na ławce.

Dyplomacja, delikatność niektórych dzieci były dla Claire czystą szlachetnością. Raczej umrzeć niż zranić. Ona sama nie miała tej wielkoduszności, pamiętała siebie jako zagorzałą donosicielkę, która mówiła każdemu, kto chciał słuchać, o drobnych dziwactwach swoich rodziców lub siostry. Potrzebna okazała się dojrzałość i literatura, by odkryć rozkosz tajemnicy i elegancję milczenia.

Dwie przyjaciółki spacerowały po Ogrodzie Luksemburskim, w grzejącym już słońcu i chłodnym cieniu, idąc krok w krok. Do swoich trofeów dnia Lucie dorzuciła jeszcze kolorowy wiatraczek. Umierała z chęci wydobycia lalki z pudełka i dokładnego obejrzenia wielce obiecujących dodatków. Zauważyła już szczytkę do włosów ze srebrzystego metalu i słoiczek, zapewne z kremem. Chyba że to balsam do ust, jak ten mamy, pomyślała. Były też trzy pary bucików na zmianę, w tym jedna para pantofli „bardzo dobrych po domu”, i zjawiskowa czerwona sukienka. Lucie dałaby wszystko, żeby wyjąć pudełko, tu, na ławce, i popatrzeć przez plastikową szybkę na szczegóły tego stroju wieczorowego. Spoglądając na torbę ze sklepu z zabawkami, niebezpiecznie kołysząc się na ramieniu Claire, usiłowała przypomnieć sobie rysy twarzy lalki.

- Poniosę, jeśli chcesz - powiedziała do olbrzymki, która trzymała ją za rękę.

- Posłuchaj, ślicznotko, mam zebranie i zabiorę cię tam ze sobą. Znajdziemy ci jakieś przyjemne miejsce, gdzie sobie posiedzisz i pobawisz się lalką.

Lucie przytaknęła ruchem głowy, nie odważyła się popatrzeć na tę niesamowitą kobietę, która czytała w jej myślach.

Od pewnego czasu szef domagał się obecności Claire na wszystkich zebraniach. Zmysł krytyczny jego korektorki

bardzo mu się nie podobał, ale Legrand przyjął do wiadomości, że niektóre jej zastrzeżenia pozwoliły Wydawnictwu Legrand uniknąć kilku poważnych błędów. Z drugiej strony, specjalny status Claire, który pozwalał jej przychodzić i wychodzić z pracy bez opowiadania się, sprawił, że koledzy zawsze okazywali jej niechęć, a ona wytrwale ją podtrzymywała. Odprawiony z kwitkiem pracownik nie omieszkał się na niej odegrać, wstęp do pracowni graficznej był dla niej - bez takiej deklaracji - zabroniony. Świadom, jak stracił w oczach personelu z powodu statusu korektorki, Legrand czuł się jakoś dziwnie uspokojony sarkazmami Claire i tego dnia ucieszył się, gdy zobaczył ją na podwórzu, chociaż w swojej wielkiej ekscentryczności uważała za normalne, że przychodzi na zebranie w towarzystwie małej dziewczynki.

## 13.

WCHODZĄC DO GABINETU LEGRANDA, Lucie otworzyła usta jak złota rybka. Gdy ujrzała tę nieskazitelną biel, jak w zaśniewanym ogrodzie, doznała natychmiastowego, milczącego olśnienia. Claire pozwoliła jej usiąść na grubym wełnianym dywanie i pomogła otworzyć pudełko z lalką.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała albo jeśli będziesz się nudzić, to otworzysz te drzwi i mnie znajdziesz. Zgoda?

Kupiłaby jej sok owocowy z automatu przy wejściu, ale kolor, nawet w postaci niewielkiej pomarańczowej plamki na dywanie, oznaczałby zniewagę w tej sali ciężko chorego.

Claire zastała kolegów w sali konferencyjnej. Byli tam Agnès Leclerc, rzecznik prasowa, Dominique Rêtre, dyrektor handlowy, i Jean-Luc Damias, szef „Nowych powieści”, wiodącej serii wydawniczej.

- Nie dostałam porządku dnia - zdziwiła się rzecznik prasowa.

Agnès Leclerc, farbowany rudzielec pod trzydziestkę, pojawiła się w wydawnictwie z wielką pompą, bo była córką ministra sprzed trzech lat. „Ona zna wszystkich”, powiedział wtedy Legrand z szaleństwem w oczach. W wyniku ostatnich

przetasowań tatusiowi podziękowano, więc powrócił do swojej działalności na prowincji, gdzie zajmował mniej eksploatowane stanowiska. Agnès straciła trochę ze swego prestiżu, ale z podniesioną głową wszystko przetrzymała i zdobyła poparcie samej pani Legrand.

Dominique Rêtre wyjął paczkę papierosów i wszyscy poszli za nim na balkon. Panował dziwny nastrój. Było to pierwsze spotkanie całej czwórki od czasu wspólnego pobytu na Targach Książki w Saint-Malo, który zamienił się w psychodramę.

Po wieczorze zorganizowanym przez kierownictwo targów w odrestaurowanym zabytku historycznym Claire znalazła się w damskiej toalecie wraz z kompletnie pijanym Dominique Rêtre. „Moje życie jest klęską”, powiedział do lustra, wycierając twarz mentolową chusteczką Claire. Wylewając strumienie gorzkich łez, dużymi plecami pochylony nad umywalką, dyrektor handlowy, mężczyzna o delikatnych różowych dłoniach, wstrząsany był konwulsjami nie do powstrzymania. Claire wiedziała, że Dominique ma syna kalekę i żonę dewotkę, przekonaną, że to dziecko jest darem Nieba. Zdekoncentrowana ciąglą bieganiną zaproszonych kobiet, które po hałaśliwym spuszczeniu wody myły ręce, nie sprostała sytuacji.

- Przecież są takie domy...

Z trudem utrzymując się na nogach, podniósł głowę, spojrział na Claire i zawył:

- Nie! Nie! Nie ma domów. Nie ma żadnych domów! Jest tylko Piekło!

Claire bardzo źle wspominała ten wieczór, który na tym się nie skończył. Zaciągnięta do klubu nocnego przez nieco lubieżnego Legranda, długo czekała - siedząc na pufie wypełnionym

niestabilnym tworzywem - aż ktoś zdecyduje się zawieźć ją do miasta. Legrand mawiał, że „najlepsze związki zaczynają się w okolicznościach najbardziej nieoczekiwanych”, a Agnès korzystała z każdego targów poza Paryżem, by uwieść któregoś z pisarzy. Potrafiła wyciągnąć dla siebie korzyść ze słabości wywołanej u tych delikatnych istot poczuciem obcości, niepokojącym tłumem na targach, obfitym jedzeniem w restauracjach polecanych przez Michelina. Najpierw zabierała gości na wyprawę po dyskotekach, potem porywała do swojego hotelowego pokoju. Po powrocie do Paryża pisarz odzykiwał twarz, a Agnès Leclerc godność. W dodatku Jean-Luc Damias tego pamiętnego wieczoru dał się okraść z kasetki z dziennym utargiem, którą miał przewieźć do hotelu.

Legrand chciał szybko rozpocząć zebranie, czekał z założonymi rękami, aż wszyscy się usadowią.

- Charlotte, proszę przynieść mi kawę! - krzyknął przez ścianę.

Rozmawiano o nowym sezonie, o wydawnictwach molo-chach, które rzucają swój gęsty cień na skromne publikacje oficyny Legrand, o ewentualnym zatrudnieniu asystentki dla Agnès, bo „sama już nie daje rady. Mam siostrzenicę, która szuka pracy...” Mówiono o trudnych charakterach pisarzy w ogóle, a jednego w szczególności, „nie do życia”, jak twierdziła Agnès, stanowczo odmawiając zajęcia się nim. Podobnie jak rodzinne posiłki, zebrania zawsze jakoś Claire rozstrajały. Bardziej patrzyła, niż słuchała, przyglądała się klejnotowi na szyi Agnès, śledziła wzrokiem taniec pulchnych rąk Dominique'a, zatapiała wzrok w afiszu czy świeżo ogolonym policzku. Kiedy siedziała naprzeciw okna, widziała siebie na gałęzi lipy szumiącej na podwórku. Gdy Legrand pytał ją o zdanie,

reagowała jednak natychmiast, wysuwając ostre krytyczne argumenty, bo już chyba zawsze pozostanie w tym wydawnictwie adwokatem diabła.

Tego dnia przez otwarte okno sączyła się muzyka, która sprawiała, że nad zebraniem unosił się powiew nierzeczywistości. Poezja owej melodii granej na fortepianie przez lekarza melomana z tej samej kamienicy wywoływała w Claire wrażenie, że odgrywa „scenę biurową” w komedii muzycznej.

- Claire, liczę na panią - oświadczył Legrand.

- Oczywiście - odparła, tym razem ignorując wszystko, co przed chwilą obiecywała.

Szef zdradzał oznaki przedurlopowego niepokoju, który co roku zatruwał włoskie wakacje Agnès Leclerc. Porowata jak gąbka, napompowana presją bredzącego Legranda, wymyślającego nierealne działania z zakresu komunikacji, nieszczęsna rzeczniczka prasowa wyglądała na przygnębioną. Dominique Rêtre, z wilgotnymi oczami, powstrzymywał ziewanie, podczas gdy Jean-Luc Damias wiercił się na krześle, jak dziecko w szkole przed dzwonkiem na dużą przerwę.

Legrand wszystkim podziękował. Claire poszła do białego gabinetu, do swojej podopiecznej. Charlotte, wieczna sekretarka, która na próżno zmarnowała swoje życie - na dawną modłę - dla szefa, siedząc na dywanie, rozmawiała o ciuchach z rozanieloną Lucie.

- To pani dziecko? - ironizował Legrand.

- Już panu mówiłam - odpowiedziała Charlotte z lekką irytacją w głosie.

Claire zauważyła, że zamówiona kawa do szefa nie dotarła. Wysunęła hipotezę, bardzo prawdopodobną, niezgody na terminy wakacji sekretarki.

- Opiekuję się nią dzisiaj.
- Nie zamierzaliśmy przypadkiem pójść na obiad? - spytał Legrand, od niechcienia kartkując notes.

Claire miała nadzieję, że obecność Lucie zaoszczędzi jej tej pańszczyzny.

- Tak, tak - odparła zrezygnowana.

Pomogła sekretarce pozbierać drobne akcesoria i włożyć je do pudełka. Od piętnastu lat Claire i Charlotte dzieliły życie bez dzieci i bez obrączek na palcu.

- Chciałabys pójść na obiad do restauracji? - Claire zagadnęła Lucie.

- Tak - odpowiedziała dziewczynka, dyskretnie sprawdzając, czy nic nie zostało zapomniane na dywanie i w rękach tej miłej pani, bądź co bądź obcej.

- Zechce pani zadzwonić do Mallarmé i poinformować, że przyjdą trzy osoby? Właściwie dwie i pół - rzucił Legrand z miną wesołka, z ręką na głowie Lucie, tak jak to robiła Louise.

Claire trzymała Lucie za rękę, obok niej maszerował ogromny Legrand; nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co mogą o nich pomyśleć przechodnie. W ogródku restauracji, pod parasolem, czekał na nich ukwiecony okrągły stolik. Podano im kartę. Szybko wybrali, Lucie się tym nie interesowała. Claire pozwoliła jej wyjąć lalkę i tylko buciki, bo stolik był za bardzo zastawiony, żeby rozkładać na nim wszystkie dodatki.

- To i tak dobrze - stwierdziła Lucie z wdzięcznością.

Legrand się rozejrzył. Restauracja była siedliskiem wydawców.

- Rozmawiałem przez telefon z pani przyjacielem Christianem Dietrichem. Spotkamy się w przyszłym tygodniu.



- Hm... - mruknęła Claire, która dostrzegła w głębi restauracji znajomą postać. Niemożliwe, pomyślała.

- Nie bardzo się palę do zatrudnienia asystentki. Agnès dużo krzyczy, ale w gruncie rzeczy się nie przepracowuje.

Claire była zmęczona. Nie miała ochoty wysłuchiwać tego klona Briana Ferry'ego krytykującego personel i ponownie ujrzeć jakiegoś nieprawdziwego Jeana-Baptiste'a.

- Claire, wszystko dobrze? - spytał Legrand.

- Mam teraz trochę kłopotów - odpowiedziała nieco znużona.

- Jakiego rodzaju?

- Śledzi mnie jakiś ciemny typ, który wymyślił sobie, że naprowadzę go na ślad pewnego japońskiego dyplomaty.

Słyszac po raz kolejny historię bohatera w kraciastej koszuli, Lucie wybuchnęła krystalicznym śmiechem, tak spontanicznym i wesołym, że popatrzyli na nią zdziwieni.

Przyniesiono letnie sałatki. Dziewczynka przyjrzała się swojej i starannie odsunęła na bok fileciki anchois, plasterki pomarańczy i zielone szparagi.

- Ale poważnie...

- Jestem bardzo poważna. Widzę jednak, że pana to nie interesuje. Więc pomówmy o czym innym, na przykład o pańskiej żonie.

Claire zaczęła jeść i starała się nie patrzeć na Legranda. Zobaczyłaby, że sztywnieje i bierze głęboki oddech, jak potencjalny sercowiec. Każde z nich wiedziało, że przyszli tu, by o tym porozmawiać, ale Claire nie miała zamiaru bawić się w grzeczności. Legrand był umiarkowanie zaskoczony.

- Tego lata zrobimy ostatnią próbę. Jeśli się nie uda, rozejdziemy się.

Popatrzyła na niego. Czego po niej oczekiwał? Czego oczekują ludzie, którzy nam się zwierniają, pomyślała, kiedy są na progu podjęcia decyzji, a jeszcze wahają się pomiędzy przepaścią a stałym lądem? Najczęściej inni powinni ich tylko utwierdzić w przekonaniu, że zajęli słuszne stanowisko. Claire była gotowa podać mu wersję, jakiej oczekiwał, w dowód wielkoduszności wobec tego człowieka, dzięki któremu miała środki na utrzymanie i który czasem wydawał jej się ujmujący - ale nie wiedziała, co chciałby usłyszeć. Postanowiła mówić jakby do siebie.

- Zna pani oczywiście takie powiedzenie: „Miłości nie ma, są tylko dowody miłości”. A przez dwadzieścia lat ona dała mi dużo dowodów miłości bez miłości.

Claire nie była za bardzo zainteresowana rozważaniami swojego pracodawcy. Ludzie nie mieli pojęcia, jak głęboką żywiła obojętność wobec tego, co myśleli. Bardziej wierzyła w sygnały, jakie wysyłali, jakby fale podświadomości. Rzeczywistość, doświadczenie często zadawały jej kłam, była zmuszona wyrażać z niuansami swoje sądy. W każdym razie wiedziała na pewno, że opowiadają sobie wiele historii, by móc się tolerować, by pogodzić się z krzywdami; Claire rzadko dawała się nabierać na tę fikcję, jaką tworzyli na swój temat ci, z którymi się stykała. Tego dnia zauważyła, że Legrand się przygarbił, że nie ma apetytu, uderza w stół buciakiem lalki i gdy tylko zaczyna mówić o żonie, na czole ukazuje mu się czerwona plama.

- Proszę pana - zaczęła, patrząc, jak Lucie po raz czwarty rozbiera lalkę - będę z panem jak najbardziej szczerą. Nic nie wiem o pańskim małżeństwie. Nie wiem, jak funkcjonuje na co dzień, bo każdy związek ma inny „sposób użycia”, zapisany

na trzystu do pięciuset stron... ale mogę panu powiedzieć dwie *rzeczy*: po pierwsze, osobiście nie mogę udzielić żadnej rady, bo nigdy nie żyłam z mężczyzną. Po drugie, nie lubię pana żony i w ogóle nie przeszkadzałoby mi, gdybyście się rozwiedli.

Legrand oddał Lucie bucik brakujący do stroju lalki i zapalił papierosa. Znosił wszystko, zdecydowany przestrzegać zasad gry. Claire natomiast nie była przyzwyczajona do zimnego jedzenia. Surowizna wytwarzała jej w żołądku kwas, który stopniowo psuł jej humor.

- Jak pan będzie żył, jeżeli pan od niej odejdzie? - spytała.

- Sam. Znalazłem już mieszkanie niedaleko wydawnictwa. Zorientowałem się, że właściwie nie mam z czym się tam sprowadzić. Chyba wszystko należy do niej. Chodzę tam czasem wieczorami. Siadam na kanapie i wydaje mi się, że jestem w poczekalni.

- Trzeba nauczyć się żyć samemu. To nawet cała sztuka - dodała Claire, nagle bardzo poważna. - Mimo wszystko dam panu radę: niech pan nigdy nie zapomina, że kiedy wraca pan wieczorem do domu, szefem jest pan, nawet jeśli jest pan sam. Niech pan się nie załamuje ani ciszą, ani upływem czasu, ani drętwością w głowie. Trzeba panować nad tym wszystkim, to najważniejsze, kwestia dyscypliny. Myśli pan, że z pańską żoną to już sprawa stracona?

- Oczywiście - odparł zmęczonym głosem.

- Spotka pan kogoś innego. Jest pan całkiem, całkiem... Tylko trochę przyblokowany, trochę lękliwy, może...

- Myśl o rozpoczęciu wszystkiego od nowa natychmiast mnie nuży. Randki, niezdecydowane „do zobaczenia”, młode kobiety, które chcą mieć dzieci.

- A pańskie dzieci?
- Są już duże.
- No i co z tego? - zdenerwowała się Claire.

Legrand był zawiedziony. Czego innego oczekiwał po swojej korektorce. Więcej przenikliwości, żywości umysłu, a tego w tym dniu zupełnie nie miała.

- A pani? Pani życie uczuciowe, jeśli to nie brak dyskrekcji?

- Ciągłe jestem z Dietrichem. I tak jest dobrze. Mam też przyjaciela, sąsiada, którego bardzo lubię, ale to zawiła historia. To człowiek tajemniczy, małomówny. - Ujrzała w myślach uśmiech Ishidy, tylko uśmiech, taki jak szeroki uśmiech Kota z Cheshire. - Wie pan, tym, którzy nie mówią, wiele się przypisuje. Puste miejsca w rozmowach wypełniamy, czym chcemy. Zdarzało mi się dostrzec, że za milczeniem pewnych osób nic się nie kryje, że to czysta manipulacja, oszustwo lub poza. A nigdy nie przychodzi nam na myśl, że ludzie, którzy nie mówią, nie mają być może nic do powiedzenia. Nie wiem, dlaczego panu to tłumaczę. Nie sądzę, żeby ten człowiek... Niepokoję się...

Legrand także się niepokoił. Claire była bardzo blada i formowała w palcach kulki z chleba, neurotycznie okrągłe, które układała wzdłuż noża. Doliczył się dziewięciu.

- Przepraszam, zaraz wrócę - powiedziała, odsuwając krzesło.

Źle się poczuła. Pomidory, koper włoski i kartofle w jej brzuchu bawiły się w zderzające się samochodziki. Miała wrażenie, że w drugim końcu ogródka dostrzegła - co za koszmar - Jeana-Baptiste'a. Dostała mdłości i zawrotów głowy, oblał ją zimny pot. Idąc do toalety, przeszła przez

restaurację, jak kiepski łyżwiarz na gładkim lodzie. Wymiotowała do umywalki, zwróciła prawie niestrawione warzywa. Co dziwne, pomyślała o Lucie, którą zostawiła z Legrandem, przeraziła ją absurdalność tego połączenia. Drzwi toalety otworzyła jakaś kobieta i zrobiła grymas, gdy poczuła odór wymiocin.

- Przykro mi - powiedziała Claire, wycierając usta papierem toaletowym.

- *That's OK*- odparła kobieta i zamknęła się w kabinie.

Claire słyszała rozwijanie metrów papieru, potem szelest tkaniny. Przejrzała się w lustrze: sinoblada, usta w zaniku, czerwone oczy; dmuchnęła w rękę, żeby sprawdzić, czy coś czuć w oddechu. Niestety, tak.

- Cholera - zamruczała, otwierając drzwi. - Cholera, cholera, cholera.

Szła, zataczając się. Legrand i Lucie patrzyli na nią jak urzeczeni. Przypominała rozbitka uczeponego deski po gwałtownej nawałnicy.

- Chyba coś było w sałatce... - wydusiła, chcąc jakoś zagadać.

- To skandal! - krzyknął Legrand i przywołał kelnera. - Niech pan poprosi pana Mallarmé!

Szorстки ton Legranda zmroził Lucie i Claire, z różnych powodów: Lucie dlatego, że wszystkie dzieci, bez wyjątku, nie znoszą skandali, a Claire dlatego, że bała się zwrócić uwagę ludzi siedzących przy jednym ze stolików.

- Dzisiaj go nie ma, panie Legrand, przykro mi. W czym problem? - wybąkał zakłopotany kelner.

- Mam poważne zastrzeżenia co do świeżości waszych sałatek - odparł Legrand.

- Przekażę to panu Mallarmé - zobowiązał się kelner, który wyczuł w słowach Legranda brak przekonania.

- Sam mu powiem. Poproszę kawę. I rachunek.

Pochylił się ku Claire i położył jej rękę na ramieniu. Była tak wyczerpana, że nawet nie zareagowała na tę oburzającą ingerencję Legranda w część jej ciała. Próbowwała, patrząc na Lucie, włączyć stół Jeana-Baptiste'a w swoje pole widzenia. To jednak okazało się niemożliwe, więc po prostu odwróciła głowę i zobaczyła Jeana-Baptiste'a, bo to był on, wstającego od stołu. W sekundę zarejestrowała, że miał na sobie nieskazitelnie białe spodnie i jedną ze swych koszul w paski, które sprowadzał z Londynu. Jean-Baptiste, cudowny łajdak. Claire spuściła wzrok, ale za późno. Ich spojrzenia spotkały się, kolizji nie dało się uniknąć.

- Dzień dobry, Claire.

Już podawał rękę Legrandowi. Uniosła głowę, starała się przybrać wyraz twarzy kogoś, kto nie wymiotował i kto nie kochał do szaleństwa tego mężczyzny. Rezultat nie był zbyt przekonujący. Legrand, Lucie i Claire zastygli, jak na fotografii. Jean-Baptiste towarzyszył starszej kobiecie, może swojej matce, o której zawsze mówił z szacunkiem. Nie przedstawił jej. W czasie trwania ich związku przy licznych okazjach Claire mogła się przekonać o braku jakiegokolwiek logiki, o roli tego, co nieprzewidziane w koncepcji stosunków społecznych Jeana-Baptiste'a. W tej grze o zawitych zasadach, zmiennych i tajemniczych, Claire za każdym razem źle trafiała. Jean-Baptiste rozwiał cały czar, zwracając się do Legranda, którego znał ze sfery zawodowej.

- Czytałem ostatniego Jacka Plancka - oznajmił. - Bra-  
wo, strzał w dziesiątkę.

- Tak, to prawda. Jestem dość zadowolony.

Rozmawiali tak przez kilka minut. Claire patrzyła na Jeana-Baptiste'a. Patrzyła na niego namiętnie, notowała w pamięci tyle, ile mogła, bo ten mężczyzna był wyjątkowy. Po ich rozstaniu Claire pisała do niego głupie listy, przyznaje to, w których opowiadała o swoim życiu i stanie uczuć dość miernym stylem poetyckim, także się do tego przyznaje. Nie mogła jednak się powstrzymać, a owe listy były jak upokorzenie, wstyd jej życia, bo poza tym, że nigdy nie powinna ich wysyłać, nie wiedziała, co on z nimi robił. Miała nadzieję, że je wyrzuci. Zdarzało jej się jeszcze do niego pisać, bez nadziei na odpowiedź. Kilka miesięcy po rozstaniu doprosiła się o jeszcze jedno spotkanie - bardzo szybko się skończyło. Przyszedł wściekły i zażądał, żeby przestała do niego pisać. „Krystalizujesz”, rzucił z pogardą. To było banalnie stendhalskie, pomyślała Claire, spodziewając się większej inteligencji po tym mężczyźnie, którego uważała za wyjątkowego. Więcej już się z nim nie widywała; sama wymyśliła dalszy ciąg.

A teraz, nie do wiary, stał tutaj, za Lucie. Kobieta słuchała Legranda, najwyraźniej jej się podobał. Wydawało się też oczywiste, że nie zna Claire. Zapomniana, całkiem osamotniona, mogła gromadzić szczegóły, które wypełnią najbliższe lata. Rozpoznała jego głos - najpierw zawsze zapomina się głos nieobecnych. Pióro z czarnej laki wystawało z kieszonki koszuli. Nosił znany jej pasek i dłuższe włosy.

W czasie tego bardzo zdrowego czyścica, gdy dokonywała się miłosna buchalteria, Claire rozumiała, że przygotowywał się z nią dla innej, której jeszcze nie spotkał. Gdy byli razem, trochę podróżowali, dużo słuchali muzyki, wymieniali się

książkami, każde pogrążone w swojej nerwicy, jak w golfie, we własnym zapachu ciepłej wełny. Testował na niej pozy, pomysły, restauracje i sytuacje, i to wszystko na później, dla innej, lepszej, przy której nie będzie mógł pozwolić sobie na żadne niezręczności. Często to odczuwała, ale nigdy w to nie wierzyła. A jednak nie miała zamiaru zapomnieć o tym mężczyźnie. Są Dietrich i Ishida. Będzie żyła, kochała, kiedyś może wyjdzie za mąż, urodzi dzieci, ale Jean-Baptiste będzie jej towarzyszył do końca, absolutnie nienaruszalny, wykrystalizowany. On nic na to nie poradzi, nawet się nie dowie. I nikogo już nie dopadnie cierpienie.

Czując na sobie spojrzenie Claire, daleki, obojętny i nieprzystępny Jean-Baptiste spytał:

- Co u ciebie?

I już się odwracał, uprzedzając ją w ten sposób, że wychodzi.

Lucie intensywnie wpatrywała się w Claire, która - z rozchylonymi ustami - wyglądała na zagubioną.

- Niech pan ją zostawi, ona jest chora - odezwała się do Jeana-Baptiste'a.

Jean-Baptiste nie chciał podjąć tematu, więc szybko zniknął wraz z matką czy też osobą ją zastępującą.

No i tak, pomyślała Claire, z gniewem i zarazem wdzięcznością dla swojej małej przyjaciółki. Nic nie powiedziałem i niech tak zostanie na kolejne pięć czy dziesięć lat. A przy odrobinie szczęścia następnym razem może nie zwymiotuję. W dalszym ciągu będzie szukać jego nazwiska w dziale nekrologów w gazetach, aby mieć o nim jakieś wiadomości. Nadal będzie używać jego wody toaletowej i czytać wszystkie przez niego napisane artykuły polityczne w poszukiwaniu



jakichkolwiek wskazówek. Czasami, w niedziele, będzie się dalej włóczyć w okolicy jego mieszkania, aby pooddychać trochę jego powietrzem.

Claire, Legrand i Lucie wyszli z restauracji szybkim krokiem, tak jak się ucieka z miejsca zbrodni.

## 14.

CLAIRE POSTANOWIŁA WRÓCIĆ AUTOBUSEM. Przez dłuższą chwilę przyjaciółki czekały na 96. Lucie z uwagą przyglądała się innej dziewczynce. Tamta czekała na 95, który przyjechał wcześniej. Patrzyła na Lucie przez szybę z triumfalnym uśmiechem, mówiącym „mój autobus przyjechał przed twoim”, tak jak w moim życiu. Claire była załamana. Cały dzień na nic, pomyślała, unosząc głowę. Przełknęła ślinę o smaku nieświeżych wymiocin i stwierdziła, że dwóch durniów jednego dnia to „dla mnie teraz za wiele”.

Wsiadły do autobusu. Claire wprowadziła Lucie bez biletu, była w złym humorze. Kierowca nie zareagował. Usiadły w milczeniu. Przed nią trzy Japonki zachowywały się tak, jakby były paryżankami, miały nieobecne miny, podczas gdy dwie inne, mniej dbałe o to, co powiedzą ludzie, fotografowały bazylikę Sacré-Coeur, wielką białą bezę, i śmiały się jak szalone.

- Japonki zawsze chodzą w grupach, jak na sztychach - szepnęła Claire do ucha Lucie.

- To jakiś wiersz? - spytała dziewczynka.

- Nie. - Claire się uśmiechnęła. - Popatrz.

Obie przyjaciółki były bezgranicznie smutne. Nie miały ochoty wracać. Lucie już znała takie uczucie, ale Claire nie. Wydawało jej się, że jej mieszkanie jest skażone, a do całego domu wniknął dyskomfort świata. Zorientowała się, że odruchowo głaszcze rękę Lucie. Dziewczynka starała się nie ruszać, aby Claire czuła się swobodnie.

Kolejne ulice przesuwaly się za oknem. Ludzie wsiadali, wysiadali, każdy jedyny na świetle. Claire z trudem otrząsała się po koszmarnym spotkaniu ze swoim byłym; przesiewała rzeczywistość przez sito swojego własnego spojrzenia, każdy szczegół przekształcała w teorię. Stopniowo wracała do domu. Tam czeka na nią Ishida, a raczej jego nieobecność. Poczwała zimną złość do tego człowieka, którego dotychczas chronila przed swoimi melancholiami. W tym paryskim autobusie płacił za chłód Jeana-Baptiste'a, za bezczelność Le-granda i za letnią sałatkę.

Wysiadły z autobusu przytłoczone upałem. Na podwórku konsjerżka podlewała rośliny. Pani Courtois gaworzyła, stojąc obok niej.

- Aaa! Claire! Dzwoniłam do pani. Ale pani nie było! - krzyknęła na widok młodej sąsiadki.

- Jakież nowe wieści? - spytała Claire, unosząc wzrok w kierunku zamkniętych okien Rossettiego.

- No właśnie nie. To tylko chciałam pani powiedzieć. Żadnych podejrzanych odgłosów. Zostawiła pani u mnie klucze - poinformowała pani Courtois, grzebiąc w ogromnej torebce.

Zamiast cennego pęku kluczy wyjęła lizaka i podała Lucie. Konsjerżka, Claire i dziecko, zdziwione i milczące, patrzyły, jak chupa przechodzi z ręki do ręki.

- Kupiłam go dla siebie, ale to niedobre dla moich zębów! - oświadczyła ze śmiechem starsza pani.

Claire i konsjerżka wymieniły spojrzenia; znalazły się na niebezpiecznej granicy szalonego śmiechu.

- Zaraz po nie przyjdę.

Pani Courtois popatrzyła na nią z otwartymi ustami, lekko się chwiejąc.

- Klucze. Zaraz po nie przyjdę - powtórzyła Claire, by wypełnić lukę w pamięci sąsiadki.

CLAIRE ZADZWONIŁA DO MIESZKANIA LOUISE. Nawet przez chwilę nie sądziła, że nikt nie otworzy. A jednak tak się stało. Wchodząc po schodach na drugie piętro, zastosowała technikę oddychania Dietricha, by uspokoić drżenie rąk i odwrócić bieg łez, które zaczynały przyćmiewać jej wzrok. Lucie była boleśnie dotknięta nietaktem matki.

- Możesz zatelefonować do niej do pracy - powiedziała, wyjmując lalkę z pudła i kładąc ją na dywanie w salonie.

- Tak zrobię.

I zrobiła.

- Louise, jest trzecia. Proszę, żebyś natychmiast zadzwoniła. Cześć. - Gwałtownie odłożyła słuchawkę. - Moja śliczna Lucie, muszę trochę popracować. Zgadzasz się?

- Tak - odparła Lucie, która po raz któryś już tego dnia rozbierała lalkę - Muszę się nią zająć - dodała, wskazując zabawkę, która już się trochę zestarzała.

Claire zamknęła się w pokoju i próbowała sztucznie odtworzyć harmonię odległych dni, gdy na horyzoncie nic nie majaczyło, najwyżej kolejna niedziela, wspaniała powieść i może spotkanie z Dietrichem. Siedziała przy czajniczku pełnym

herbaty i poprawionym tekście książki osteopaty, który przeczytała kolejny raz dla spokoju sumienia. Z trudem się skupiała. Przez jej umysł przepływały krótkie sekwencje obrazów: ona i Ishida w ogrodzie przy Muzeum Rodina. Ona i Rossetti. Ona sama, biegnąca ulicą, a za nią ludzki cień, cień mężczyzny. Ona na ławce.

Jak zgubić kogoś, skoro nikt nas tego nie nauczył? - zastanawiała się. Podczas przerwy w pracy wzięła plan Paryża i sprawdzała ulice Siódmej Dzielnicy. Trzeba wysiąść na stacji Varenne. Pomyślała, że lepiej zgubić Rossettiego, zanim wsiądzie do metra. Wyjść bardzo wcześnie, na przykład około szóstej rano. Ale co mogłaby robić w Paryżu między szóstą a jedenastą? Nie, muszę go posiać już dziś wieczorem, postanowiła. Jest na to sposób, pójdę spać do Christiana. Poczula, że słabnie napięcie brzucha, węzeł gordyjski został przecięty. Zatelefonowała do Dietricha, który przyjął wiadomość ze szczerą radością, potem pobawiła się chwilę z małą sąsiadką. Claire nie sądziła, że jest aż tak zmęczona - zasnęła na dywanie, leżąc obok macierzyńsko nastawionej Lucie, szczęśliwej i bardzo zajętej.

Obudziło ją nagle okropne klucie w lewym ramieniu. Lucie poukładała zabawki i z wiatraczkiem w rękę oglądała film animowany w telewizji. Claire usłyszała na podwórku głos młodego człowieka z pierwszego piętra witającego się z konsjerżką. To znaczyło, że już siódma, a Lucie jest jeszcze u niej. Nikt po nią nie przyszedł. Claire poderwała się, rozeźlona bezczelnością sąsiadki, która przecież regularnie wykręcała jej taki numer.

- Idziemy? - spytała Lucie, zrezygnowana.
- Tak, ślicznotko - odpowiedziała Claire; na policzku miała dużą krechę odgniecioną w czasie snu.

Louise otworzyła, uśmiechając się jak Joker Nicholsona. Wolą patrzeć tylko na córkę.

- Wszystko dobrze, kochanie? - zamiauczała. - Podziękowałaś Claire, że tak miło się tobą zajęła? - dodała, wbijając wzrok w oczy Lucie.

- Kupiła mi prezent.

Claire zdawało się, że dokładnie w tej chwili usłyszała hałas dochodzący z mieszkania. Napotkała władcze spojrzenie Louise, które zdawało się mówić „ależ co ty, chyba majączysz”.

- Nie zapraszam cię do środka, właśnie jestem...

Nie zdążyła dokończyć, bo Claire już przeskakiwała po cztery schodki prowadzące do jej mieszkania.

Stwierdziła, że nikt nie chodzi jej nad głowę, zauważyła w lustrze odgniecioną krechę na policzku, włożyła do teczki poprawiony egzemplarz *Ruszajmy się od 7 do 77 lat!* Christiana Dietricha i wyszła.

Mocny zapach zupy jarzynowej nasycił i tak stojące powietrze na terytorium pani Courtois. Zabawną miną pokazała, jak wielkiego wysiłku pamięci musi dokonać, by znaleźć klucze pana Ishidy. Claire wykorzystała jej niepewność i podeszła do okna wychodzącego na podwórkę. Światło sączyło się przez zaciągnięte story Rossettiego. Co dziwne, zasłony były też zaciągnięte u Louise. „Lubię, żeby mnie oglądano”, zwierzyła się, kiedy Claire spytała - takie pytanie zawsze zadawano w kamienicy-akwarium - czy nie przeszkadza jej, że wszyscy ją widzą. Claire pomyślała wtedy o prostytutkach z Amsterdamu. Louise sprawiała, że stawała się jadowita. W każdym razie jej story nie były dość grube i nie zasłaniały całkiem tego, co się u niej działo. Postać, która przechodziła przez salon, to ani Louise, ani Antoine.

- Rossetti! - krzyknęła tak głośno, że pęk kluczy Ishidy wyleciał z rąk pani Courtois i z hałasem wylądował na stoliku.

- Dlaczego pani tak krzyczy?! - zdziwiła się starsza pani, krzyżując ręce na swojej ptasiej gardzieli.

- Przepraszam. Coś mi się wydaje, że Louise Bluard kombinuje z tym nowym - oznajmiła Claire, sądząc, że życie pani Courtois potrzebuje czegoś pikantniejszego.

Starsza pani rzuciła się do okna drżąca i nieprzytomnie zaciekawiona.

- Ale gdzie jest mąż?

- W Belgii.

- Ach tak? Lubi pani zupę jarzynową?

- Bardzo - odpowiedziała Claire. - Niestety, idę na kolację, ale kiedy indziej chętnie.

Delikatnie dotknęła ramienia pani Courtois, w chwili gdy słowa stały się nieskuteczne.

- Z pani ukochanym, tym fizjoterapeutą, który przyjeżdża po panią na motocyklu?

- Może - odparła Claire ze zrozumieniem, bo stwierdziła, że starsza pani, która niedługo odejdzie, musi dopasować imiona do obrazów.

Claire zauważyła, że u pana Lebovitza wszystkie światła są zgaszone.

- Czy przyjechała córka pana Lebovitza? - spytała.

- Nie. Nie sądzę - odpowiedziała sąsiadka, odchodząc, zaabsorbowana już jakąś inną pilną sprawą.

Claire krzyknęła do niej piskliwie „do widzenia!”, które rozpląnęło się w odgłosach szybkaru i meandrach przyćmionego umysłu pani Courtois.

W metrze Claire pomyślała: faktycznie, wszędzie widzę szpicli, a potem: ten typek tam mógłby nawet grać w filmie, bo wygląda podejrzanie. A ten Rossetti u Louise... Nie mogła się otrząsnąć. Geograficznie to było nieprzyjemne wrażenie: Rossetti nad nią i pod nią, jak warstwy kanapki. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy, by rozproszyć uczucie klaustrofobii. Cieszyła się, że spędzi noc u Dietricha i że zgubiła Rossettiego, jeszcze zanim zaczął jej szukać.

- Zabieram cię do restauracji japońskiej - oznajmił Dietrich, zamykając na klucz drzwi gabinetu.

- Tak? Wydawało mi się, że nie lubisz surowej ryby?

- Postanowiłem spróbować - odpowiedział zadowolony, że udało mu się zadziwić Claire, którą zazwyczaj niełatwo poruszyć.

- Dlatego, że mówiłam ci o moim japońskim sąsiedzie? - zaryzykowała.

Dietrich przyjął ten przytyk z klasą, pochylając kark jak jakiś święty.

- Przepraszam - dodała Claire, strapiiona swoją sylwetką nie do przyjęcia, którą odbijały witryny. - Przepraszam, nie jestem w najlepszej formie. Mógłbyś mi pożyczyć komórkę?

- Najwyższy już czas iść z czasem - oświadczył, wyjmując z kieszeni telefon.

Zadzwoiła do pana Lebovitza, ale nie odebrał.

- Nie jestem w najlepszej formie - powtórzyła.

Restauracja była bardzo elegancka: czarna laka, zdobiona porcelana i postmodernistyczne fotografie z krwistoczerwonymi elementami. Byli tam prawie sami, jedynie kilka stolików dalej siedziała para Japończyków. Bardzo szybko ich obsłużono. Sushi i chłodna sake.



- Nie widać, żeby nasi japońscy przyjaciele się dobrze bawili - zamruczał Dietrich i pochwalił sake.

- W Japonii miłość bywa przeważnie trudna.

Spodobało jej się to zdanie. To ona je wymyśliła? Czy nie ona? Nie pamiętała.

- To znaczy? - spytał Dietrich, który nieświadomie otworzył puszkę Pandory.

- To znaczy, że tam miłość nie jest najważniejsza. Żyje się z kimś, kogo się ceni, robi się dzieci, jest w tym czasem szczęście, ale jakoś nie widać miłości.

Położyła nacisk na słowo „widać”. Zauważyła, że Dietrich chyba jej nie słucha. Patrzył na nią z uśmiechem. Bardzo nie lubiła zatrzymywać się w pół drogi, więc postanowiła dokończyć swój wywód:

- No i możesz sobie zadać pytanie: Czy to, czego nie widać, istnieje? To bardzo dobre pytanie w naszym potwornym społeczeństwie, gdzie wszystko jest na pokaz, a ludzie na wyścigi się dotykają przy lada okazji.

Udał, że się zaniepokoił, i powiedział cicho, tak jak się powierza tajemnicę:

- Ale przecież ja przez cały dzień dotykam ludzi!

Przewróciła oczami.

- Przestań. Nie o tym mówię. Można dotykać ludzi. Trochę. Chcę powiedzieć, że kiedy nikt na nas nie patrzy, wydaje nam się, że nie istniejemy.

Spojrzała na parę Japończyków. Nie zwracali nawet najmniejszej uwagi na otoczenie. Kobieta dziobała w talerzu koniuszkiem czarnych pałeczek, mężczyzna palił papierosa. Miał na ręce nowoczesny zegarek, pokazujący nieprawdziwą godzinę.

- Popatrz, zachował czas japoński. Przywiózł swój czas ze sobą.

- Bawi cię to? - spytał Dietrich, którego Claire czasem fascynowała.

- Tak. Bywają wspaniałe pomysły. - Popatrzyła na niego z czułością. - Oznajmiam ci, że się obsuwasz - dodała cicho.

Natychmiast się wyprężył.

- To niekzemna obelga dla osteopaty! - odparował, czerwony, zadowolony i pijany.

Przyniesiono drugą butelkę sake. Japończycy wstali, poszli do wyjścia. Claire posłała im pozdrowienie, najwyraźniej udane, bo odpowiedzieli ze zdziwieniem i uwagą. Przy drzwiach minęli się z wędrownym sprzedawcą, który ogarnął salę spojrzeniem i skierował się do Claire i Dietricha. Sprzedawał „pierścionki nastroju”, obrączki zmieniające kolor w zależności od stanu ducha tego, kto je nosi. Dietrich wybrał jedną i wsunął na palec Claire.

- Przestań! - krzyknęła, zirytowana tym symbolem, głupim uśmiechem przyjaciela i nie dość jeszcze pijana, by pominąć milczeniem zły gust całego zdarzenia.

Dietrich zapłacił, sprzedawca podał mu karteczkę z podanym po angielsku sposobem użycia magicznej obrączki. Ze wzrokiem wbitym w pierścień patrzyli, jak zmienia barwę od jasnoniebieskiej do ciemnoniebieskiej.

- A więc ciemnoniebieski, *dark blue*? - powiedział do Claire, która dołączyła wreszcie do niego w paralelnym świecie upojenia alkoholowego.

- *Oh yes! Dark blue* - powtórzyła, przywołując kelnera stojącego w głębi restauracji.

- *You are relaxed and at ease*, tak jest napisane.

- Teraz ty. - Claire wsunęła mu pierścień na mały palec. Z niebieskiego stał się brązowy, na koniec pomarańczowy. Claire wzięła kartkę z rąk Dietricha.

- *Amber. You are unsettled*- przeczytała z prawidłowym akcentem.

- *Unsettled?* - spytał.

- *Yes.* To znaczy pobudzony, nerwowy.

Przyniesiono rachunek. Dietrich zapłacił. Trudno mu było utrzymać się na nogach, jak kosmonaucie w drzwiach wahadłowca. Świeże powietrze na ulicy pomogło mu odzyskać równowagę, godność i mowę.

Szli, trzymając się za rękę. Claire rozmyślała o wielu rzeczach, które jej nie raniły. Dietrich miał dar swobody bycia. Przy nim gubiła lata, odnajdywała w stanie nietkniętym swą młodość sprzed czasu Jeana-Baptiste'a, sprzed Paryża, kiedy jeszcze nie odkryła, że nosi w sobie sztukę i bezruch, co psuje krew. Nagle ze zdumieniem zatrzymała się przed oświetloną wystawą galerii. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wisiał tam obraz, z niesamowitą autentycznością ilustrujący scenę z większości jej snów. Wąska rzeczka wiała się poprzez żółtawe moczary; kontury były zamknięte wilgotną mgłą późnej jesieni. Brakowało tylko tonącej w bagnie Claire, szarpiącej się z tłustymi rybami albo brodzącej w kaloszach w szlamie.

- Podoba ci się? - spytał Dietrich, który zawsze brał za chcianki Claire za rzeczywiste fakty i już niepokoił się ceną.

- Nie. Nie podoba mi się. Budzi we mnie strach. Chodź.

Spojrzenie Claire pociemniało. Szła, trzymając ręce z tyłu, jak jej ojciec, i patrzyła na stopy. Dietrich nie odstępował od swojego zamiaru kochania się z nią. Jej pożądanie bywało

wątle jak płomień świecy, który trzeba osłaniać przed powiewem, postanowił więc ją rozśmieszyć.

- Od dawna już nie graliśmy w „Początek świata”. Może byśmy tam poszli jutro? - spytał.

„Początek świata” to gra, którą wymyślił Dietrich w Muzeum d'Orsay pewnej ponurej niedzieli, gdy żadne z nich nie zdołało przekonać drugiego co do lekkości bytu. Od tego czasu regularnie chodzili do muzeum tylko w tym celu. Rzecz była prosta. Zaczynali od obrazu *Początek świata* Courbeta, ni mniej, ni więcej tylko pornograficznej fotografii kobiecych narządów płciowych, rozwartych, ciemnych, wonnych. Claire stawała z jednej strony obrazu, Dietrich z drugiej. I udając, że zagląдают do folderu muzeum, przypatrywali się ludziom przechodzącym przed tą „szeroko otwartą skorupą małża”, jak określał to delikatnie osteopata. Zauważyli, że nikt tak naprawdę się tam nie zatrzymywał. Ludzie byli w stanie oglądać to, tylko przechodząc. Dietrich uwielbiał początkowe zaskoczenie zwiedzających. Niektórzy zachowywali się, jakby zobaczyli jakieś monstrum, i cofali się napełnieni zgrozą, inni, jakby zostali przyłapani na czymś złym, mocno ściskali torebkę albo rękę osoby towarzyszącej. Byli też tacy, którzy rozmawiali, żeby oddramatyzować sytuację, i odwracali wzrok, a także, rzadziej, rzecz nieprawdopodobna, tacy, którzy nie okazywali żadnej reakcji, tak jakby nie rozpoznali tego niepokojącego ciemnego kształtu. Krótkowidze, pobudzając do śmiechu, przybliżali nos do obrazu, by zobaczyć, co przedstawia. Claire natychmiast stwierdziła, że nikt na świecie nie może znieść widoku kobiecych narządów od przodu.

- Jutro nie mogę - odpowiedziała, chociaż ten pomysł ją bawił.

Pomyślała, dziwne, że jutro być może będzie ostatnim jej dniem na ziemi. Poczula głęboką tęsknotę za Dietrichem, objęła go, zapalczywa, zwariowana, zakochana. Padał drobny deszczyk i wszystko zwilżał. Zataczali się, idąc po pustych, lśniących ulicach, jakby zatłuszczonych, i tak dotarli do jego mieszkania.

Nadeszła pora pieśczości, przyjemności, ciała i w takich chwilach Dietrich musiał ukrywać niecierpliwość przed tą wymykającą się dziewczyną. Wiedział, że trzeba z nią rozmawiać, żeby ją poruszyć tak jak flecista z bajki hipnotyzuje dzieci muzyką. Wykluczone, żeby od razu przystąpić do rzeczy. Pewne etapy musiały być respektowane, zanim doszło do seksu, tak zawsze było z Claire. „Tak jest u wielu kobiet”, mawiała. W każdym razie tak bardzo skrupulatnych kobiet Dietrich nigdy dotąd nie spotkał.

Zaczęli od *private joke cocktail*, dzin-grenadyna-cola, który ich wprowadzał w euforię. Claire zdjęła buty i oznajmiła, leżąc na błękitnej kanapie Dietricha:

- Jadłam dziś obiad z Legrandem.

Postanowiła nie mówić o Jeanie-Baptiste, ale - jak strupek, który podważa się tylko z brzegów - nie mogła powstrzymać się od opowiedzenia mu o okolicznościach spotkania.

- Hm... - mruknął Dietrich, który nie miał specjalnie ochoty słuchać Claire mówiącej o innych mężczyznach swego życia.

- Nie rozumiem tego faceta - dodała. - Ja mu rąbię prosto w oczy, a on chyba to lubi.

- Kiedyś będzie miał dość i cię wywali - odparł Dietrich.

Siedział na oparciu kanapy i masował ramiona Claire; był to jeden z obowiązkowych etapów jego toru przeszkód w boju

o seks. Nie chciał, by zasnęła, a po wszystkim, co wypili, hipoteza ta nie była taka niedorzeczna.

- Czego chcesz posłuchać? - spytał.

- Pergolesiego, *Stabat Mater*.

On wolałby jazz, Milesa Davisa, a może Bacha, coś na fortepian. Ostatnim razem Pergolesi wciągnął ich, zwłaszcza ją - poprzez skojarzenia pojęć - w temat wiary, którą Claire dość prymitywnie kojarzyła z przekształconym stanem ludzkiej głupoty, natomiast agnostycyzm Dietricha doprowadzał ją do ostateczności. Dyskusja skończyła się ostrym, nieoczekiwanym i niepojętym „ty wstrętny faszysto!”, które Claire z siebie wyrzuciła, i nie było mowy o jakimkolwiek zbliżeniu fizycznym.

- Posłuchaj raczej tego.

Nie dał jej czasu na narzucenie swojego klimatu, w przyziemnym salonie rozległ się nieznany, angielski, koci głos. Claire poddała się nastrojowi i kochali się, ku wielkiemu zaskoczeniu Dietricha, przy świetle, na kanapie; nawet nie zdążyli się całkiem rozebrać.

- Dobrze jest uprawiać seks - powiedział Dietrich później, trzymając rękę na brzuchu Claire. - Uwielbiasz się kochać, a sobie tego odmawiasz. Lubisz moją obecność, a uciekasz przede mną - dodał, głaszcząc się po torsie drugą ręką.

Popatrzył na profil Claire, jej przymknięte oczy, lekki uśmiech na ustach, małe prawe ucho.

- Wszystko w tobie jest stworzone dla takiego faceta jak ja - ciągnął. - Zdrowego, dobrze stojącego na owłosionych nogach, z głową jak trzeba na miękkiej szyi, głową, której nie obciąża żadna nadwyżka intelektu; as humoru, seksualne zwierzę!

Claire ani drgnęła. Zwykle wybuchała śmiechem. Zachmurzył się i trochę obrażony dodał:

- Wolisz tych twoich podejrzanych lalusiów, blondyneczków, światowców.

Claire nadal nie reagowała, więc kontynuował, zdenerwowany:

- Nigdy ci o tym nie wspominałem, ale świat jest mały, ten twój Jean-Baptiste przyszedł do mnie do gabinetu, kiedy jeszcze z nim byłaś. Bardzo dobrze to pamiętam. Bolała go kostka, jakieś dawne skręcenie, źle leczone. Mówił o sobie, jakby chodziło o precyzyjny mechanizm, szwajcarski zegarek, rozumiesz?

Claire lekko odwróciła głowę i grobowym głosem, oschłym, kategorycznym i autorytatywnym, bezwzględny poprosiła, żeby zamilkł. Co też uczynił, bo instynktownie czuł, że jednym strzepnięciem, ot tak, może go nieodwołalnie pozbawić swojej obecności. Był przekonany, że w gruncie rzeczy ta kobieta nie potrzebuje nikogo.

Zbliżył się do niej, ona stoczyła się na dywan. Złapała koc z kanapy, owinęła się nim jak togą i wstała. Podeszła do niego i z nogą postawioną na jego brzuchu - jak myśliwy na martwym lwie - wyrecytowała uroczyście: *Noli me tangere!* Roześmiała się i padła na kanapę, gdzie bardzo szybko zasnęła przy swym ulubionym duecie Pergolesiego. Dietrich stał przy oknie i patrzył, jak ta dziewczyna mu się wymyka, „jednego dnia rzymska, nazajutrz japońska, poprzedniego dnia włoska, a na pewno dzisiaj nieźle pijana”.

Na ulicy mężczyzna w kraciastej koszuli palił papierosa, chodząc tam i z powrotem w deszczu. Dietrich pomyślał o wszystkich nieszczęsnych facetach, którzy nie mają prawa palić w domu.

## 15.

**O**STRE JASNE ŚWIATŁO OBUDZIŁO CLAIRE W samym środku snu o basenie. Niczym ikony na ekranie komputera jej demony ukazywały się po kolei jak obrazy na niebieskawej ścianie salonu Dietricha. Wołała go, ale daremnie, obesła mieszkanie i szybko się ubrała. Postanowiła zadzwonić do pani Courtois po nieudanej próbie połączenia się z panem Lebovitzem.

- Jest, jest - powiedziała starsza pani, rozdrażniona. - Dlaczego pani się niepokoi? Przed chwilą widziałam, jak wychodził ze swoim wózekkiem po zakupy. Przecież wie pani, że dzisiaj targ.

Zapanowała dziwna cisza.

- Pani Courtois, pani nie jest sama? - spytała Claire.

- Jak to? Oczywiście, że jestem sama.

Znowu zaniepokoiło ją milczenie.

- Pani mi nie mówi wszystkiego.

- Proszę sobie wyobrazić, że wczoraj wieczorem miałam wizytę pani sąsiada. Bardzo sympatyczny człowiek. Pytał, czy może wiem, gdzie pani jest, bo u niego za wanną cieknie woda, więc obawia się, czy u pani nie kapie.

- Aha, rozumiem. Pani oczywiście mu powiedziała...



Claire usłyszała astmatyczny oddech pani Courtois, która, tam po drugiej stronie, chciała zrobić się malutka, jak najmniejsza.

- Jaka pani niemądra! - krzyknęła Claire i gwałtownie odłożyła słuchawkę.

Rzuciła się do okna, ulica była pusta. Głowę ścisnęła jej imadło, bolały plecy po nocy spędzonej w obcym łóżku, serce przepełniał niepokój; zadzwoniła do Moniki.

- Jeszcze nie przyszła - oznajmiła triumfująco sekretarka, która choć raz nie musiała kłamać.

Gdy zatrząskiwiała za sobą drzwi, podjęła decyzję, że nie będzie się ukrywać.

Na dworze upał otulał już fasady i ciała płynnym cukrem o delikatnym zapachu. Claire pomyślała o dzieciństwie, gdy lato spędzała w La Baule, o bardzo ciepłym ciele matki. Poszła do metra, wsiadła do wagonu. Jej ręce pachniały ciałem Dietricha. Powróciło wspomnienie przyjemności, dostała gęziej skórki na odsłoniętych ramionach. Przez chwilę wierzyła, że niebawem zamieszka z tym mężczyzną. Po wyjściu ze stacji Varenne dostrzegła nieprzyjemne iskrzące się światło na murach kamienic. Zwykle tu nie bywała; odwiedzała tę zamożną dzielnicę tylko wtedy, gdy - za zgodą Moniki - przychodziła na wizytę do któregoś z licznych lekarzy specjalizujących się w poszczególnych częściach ciała. Wiedziała, bez oglądania się, że Rossetti gdzieś tu jest, w bramie, za rogiem, przysłonięty cieniem jakichś drzwi albo palący papierosa w zaparkowanym samochodzie. Nie warto go szukać, pomyślała, i tak jak postanowiła, nie próbowała już się ukrywać.

Jednak gdy tylko dostrzegła kraciasty rękaw przy kiosku z gazetami, wzięła nogi za pas. Dysząc, mijała biegiem luksusowe

sklepy. Różne bezsensowne myśli jak błyskawice przelatywały jej przez głowę: na przykład, że mieszkania w bogatych dzielnicach rozpoznaje się po wadze zasłon - to jedyne ustępstwo wobec spojrzeń przechodniów - i że takie dzielnice poznać też można po liczbie sklepów z zasłonami. Pomyślała o Paulu Morandzie, pisarzu, którego Jean-Baptiste bardzo cenił, a którego - nie istnieje przecież na niego monopol - ona też ma prawo lubić. Pograżona w myślach pomyliła ulicę, bezwiednie oddaliła się od Muzeum Rodina. Biegła, nie odwracając się. Ludzie na nią patrzyli, bo gdy w Paryżu ktoś biegnie, jest to równoznaczne z jakimś przestępstwem, to modyfikacja naturalnej kolei rzeczy. Z daleka ujrzała szyld fryzjera, zwolniła i weszła - z miną jakby nigdy nic, ale zdyszana - do wielkiej umywalki, która służyła za salon fryzjerski trzem uśmiekniętym młodzieńcom.

- Czy można się uczesać? - spytała do lustra, aby zwracając się do jednego, nie zrobić przypadkiem przykrości dwóm pozostałym.

Ten, który chyba pełnił funkcję szefa, zaprosił ją na fotel. Popatrzył na nią w lustrze.

- Kto panią zwykle czesze?

- Ja sama - odparła, zadowolona, że z tego miejsca ma doskonały widok na ulicę.

- Pani wybaczy, ale nie mogę uczesać tak obciętych włosów - oświadczył młody człowiek bardzo grzecznie, lecz stanowczo.

- Proszę posłuchać - powiedziała Claire, patrząc na niego w lustrze. - Schroniłam się u was, bo od stacji metra śledzi mnie pewien typek. Bardzo się boję, on wygląda jak...

Trzej fryzjerzy stanęli wokół niej.

- Jak wygląda? - spytał jeden z nich, młodzieniec o włosach barwy żółtej, czarnej i szarej usztywnionych na głowie doświadczonego anioła.

- Wysoki, blondyn, w kraciastej koszuli.

Młodzieniec stanął przed salonem i zapalił papierosa, rozluźniony, jakby wyszedł się przewietrzyć w przerwie między dwoma klientami. Odwrócił się i dał ledwo dostrzegalny znak, mówiący „jest tutaj”.

- Bez paniki - powiedział drugi fryzjer. - Wzywam policję.

- Nie! - krzyknęła Claire. - Tylko nie to. Mam pilne spotkanie, bardzo bym się spóźniła. Jest tu jakieś inne wyjście, oprócz tego?

- Jest - odrzekł trzeci, niby-szef. - Proszę za mną!

Claire poszła za nim na ciemne zaplecze. Fryzjer otworzył drzwi wychodzące na podwórkę.

- Najpierw przejdzie pani przez podwórkę, a dalej przez bramę i znajdzie się pani na ulicy Bourgogne - szepnął, bardzo w sprawę zaangażowany. - Życzę powodzenia! - dodał jeszcze.

Claire miała żal do Ishidy o to, że wciągnął ją w tę idiotyczną historię. Gdy przemykała pod murami, aby ukryć się przed Rossettim i przed upałem, pomyślała ze wzruszeniem o przyszłej kolacji z Lebovitzem we włoskiej restauracji i o zakupie pani Courtois. I o tym, że brakuje jej zimy i długich cichych wieczorów. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znalazła się przed Muzeum Rodina. Nie zauważyła koszuli w kratę, ale trzeba zachować czujność, nigdy nic nie wiadomo; kupiła bilet tylko do ogrodu.

W paryskich parkach zmysły Claire się wyostrzały. Przypominała sobie wtedy, że brakuje jej przyrody z dzieciństwa: wilgotności świtu, mocno pachnącej mgły, porannej rosy demaskującej pajęczyny w jeżynach, much, które znaczą lato, wolności na wsi na rowerze, który prowadziła bez trzymania kierownicy, zachowując równowagę kolanami. Nie tęskniła za nim, tylko za tłem, które chciałaby odnaleźć.

Tu, w ogrodzie przy Muzeum Rodina, jej serce się otworzyło i zwróciło jej część scenerii dzieciństwa. Niebo było bez skazy błękitne, niczym ocean rozpostarty nad miastem. Wysokopienne róże lekko się chwiały, drżące jak malwy, jak pani Courtois. Światło paliło się na wodzie w fontannach i Claire - w euforii - pomyślała, że w taki piękny dzień spokojnie można umrzeć. Przy pomruku niewidocznego samolotu zamknęła oczy; słuchała wszystkiego, wszystko czuła, gromadząc esencję bytu, która jej dawała energię. Pod Bramą Piekieł turyści robili sobie zdjęcia, uśmiechnięci, nieruchomi. Nie szukała Ishidy, on sam się przy niej zjawi. Szła pod drzewami, po ziemi wyłożonej plastrami światła. Siedząca na trawniku kobieta obserwowała śpiącego mężczyznę. Claire pomyślała o Picassie, o manii, która kazała mu zawsze łączyć przypadek ze sztuką. Doszła do wniosku, że nie miała innego doświadczenia życia. Usiadła na ławce obok mężczyzny, który rysował w szkicowniku *Trzy cienie*. W tym momencie oeniła swoje zmęczenie, ogromne i niebezpieczne znużenie, które sprawiało, że była tak krucha. Zauważyła, że mężczyzna nie rysuje, lecz pisze, a to wielka różnica. Przemierzyła ogród dookoła, metodycznie, i wreszcie go znalazła, siedzącego z rękami na kolanach na ocienionej ławce, obok pustej piaskownicy. Ishida się nie ruszał. Claire ogarnęło wzruszenie.

- Jest pani odważna - powiedział z uśmiechem.
- Dopóki nie wiem, co ryzykuję, to nic trudnego. Ale pan mi wszystko wyjaśni, prawda?
- Ktoś za panią szedł?
- Zgubiłam tego natręta Rossettiego. Kim on jest? - spytała, patrząc na piękny profil przyjaciela.
- Trudny człowiek. Powinna pani zachować dystans wobec niego, trochę zniknąć.
- Trochę zniknąć! - ożywiła się. - Co za pomysł! Nie da się trochę zniknąć. Nie jestem kimś, kto mógłby trochę zniknąć. Jestem albo tu, albo tam.

Być może pod wpływem upajającej woni ogrodu albo echa dżinu z coca-colą Claire czuła się dziwnie, jak znarkotyzowana. Jej spotkanie z Ishidą nie przebiegało w tonie romantycznym, na co liczyła; była przegrana.

- Przepraszam. Mówię byle co, robię byle co. Myślę byle co. Dopóki nic się nie rusza, wszystko gra. Najmniejszy ruch i cała perspektywa obrazu zostaje zafalszowana - wyrzuciła z siebie.

Po chwili milczenia Ishida powiedział:

- Nie była pani zmuszona do ruchu.
- Chciałam pana zobaczyć. - I po krótkiej chwili dodała:
  - Kiedy człowiek nie wychodzi z domu, uważa się za pana świata. A pan stawia na dwie strony, jest pan kimś tutaj, ale kimś innym gdzie indziej. Kimś, kto wyjedzie. - Zaczęła płakać. Łzy toczyły się powoli po wypukłościach policzków i, słone, spływały do ust. - Jestem strażnikiem zburzonej świątyni, świątyni absurdalnej, pretensjonalnej. Świątyni, w której nawet nie mam już spokoju, bo krąży wokół jakiś wariat.

Wskazała brodą w stronę domniemanego Rossettiego, ukrytego za przyszyżonym w stożek bukszpanem albo za gęstym szpalerem winorośli.

- Kim on jest? - spytała, ocierając łzy.

- Dziesięć lat temu zabiłem jego żonę. Wtedy zajmowaliśmy się obaj tym, co wy nazywacie szpiegostwem przemysłowym, on dla przedsiębiorstwa francuskiego, a ja dla korporacji międzynarodowej. - Popatrzył na Claire, która oglądała sobie ręce. - Były do zdobycia bardzo duże pieniądze w pewnej transakcji dotyczącej ważnego patentu medycznego. Szczegóły nie mają znaczenia. Tylko że ten idiota postanowił zrobić ze swojej żony przynętę. Miała mnie uwieść i odebrać mi ten patent, który ja wcześniej wykradłem. Ani przez sekundę nie pomyślał, że ja nie ulegnę tej kobiecie, nieciekawej i głupiej, którą postawił na mojej drodze. Była spocona, cicho mówiła i niezgrabnie poruszała się w swoich nowych ubraniach. Przyłapałem ją, gdy grzebała w moich papierach. Nie zauważyłem, że w kieszeni mojej marynarki znalazła pistolet. Chciała się nim posłużyć, ale ten kretynek jej małżonek nie wytłumaczył jej, jak to działa. Odebrałem jej pistolet, a ona, zamiast uciekać, uczepliła się mnie. Biła mnie i biła, aż pistolet wystrzelił. To była potworna pomyłka, ta kobieta zasługiwała najwyżej na policzek i wyrzucenie za drzwi.

Ishida na chwilę zamilkł. Claire wyobraziła sobie tę scenę, nadając żonie Rossettiego rysy twarzy aktorki, którą widziała na okładce ilustrowanego pisma w poczekalni u Moniki. Poczła chłód; nie myliła się jednak co do śmierci krążącej w okolicy.

- Nie aresztowano pana?

Ishida lekko westchnął i powoli zwrócił głowę w stronę Claire. Popatrzył na nią tak intensywnie, że przymknęła oczy, jakby dla odparcia ciosu.

- On chce się zemścić sam. Postanowił zatruć mi każdą chwilę życia. Przez lata łąził za mną jak pies. Zrezygnowałem z pracy, wynegocjowałem, co miałem do wynegocjowania, podróżowałem, żeby przed nim uciec, przed nim i tą jego idiotyczną zemstą, no i udało się. Trzy lata temu w Nowym Jorku zgubił mój trop. Widziałem go wszędzie, ale to nie był on, po prostu jego wspomnienie. Więc pozwoliłem sobie na zrealizowanie dawnego marzenia o zamieszkaniu w Paryżu, lecz w dniu, gdy w mieszkaniu nad panią zapaliło się światło, wiedziałem, że mnie odnalazł.

- Jak to zrobił? - spytała Claire. Nie miała już ochoty płakać.

- Niczym innym się nie zajmuje. Jeśli człowiek zajmuje się wyłącznie jedną sprawą, zawsze mu wychodzi. Kto jak kto, ale pani chyba to wie?

Nie zrozumiała aluzji, mówiła dalej:

- Myśli pan, że on nigdy nie przestanie?

- Przestanie. Zabije mnie.

Bardzo długie milczenie pozwoliło Claire przeanalizować ostatnie tygodnie w świetle tego, czego się właśnie dowiedziała. Było to coś pasjonującego, nieprzyjemnego i egzotycznego.

- Wie pan, spotyka się z moją sąsiadką z dołu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- A więc, żeby odzyskać wolność, będzie musiał mnie wkrótce zabić.

- Mówi pan tak, jakby to było przeznaczenie.

Claire się przeraziła. Tu, obok niej, pan Ishida wydał jej się taki mały, kruchy i nieskończenie smutny.

- Pamięta pani nasze pierwsze spotkanie? - spytał.

Skinęła głową, nie patrząc na niego.

- Mówiła pani o powieściach Kawabaty... Dziwne... niezajoma, mieszkanka Zachodu... która opowiada o starym człowieku, o białych lalkach, nieuleczalnej melancholii...

Claire była szczęśliwa. Tu, w ogrodzie, między światłem a cieniem powracała wreszcie do przyjaciela i tych jakże miłych rozmów z nim.

- A pan mi tłumaczył, że Kawabata to jeszcze nie Japonia, tak jak Camus i Gide to nie cała Francja.

- Tak. Ciągłe jesteśmy krajem nieodgadnionym, pomimo wszystkich waszych i naszych wysiłków, by się lepiej poznać.

Zamilkł, potarł rękami uda. Claire zauważyła, że tego dnia nic z niego nie emanowało. Nie pachniał, nic nie ważył, tak jakby właściwie go nie było. Mówił dalej:

- W naszych ogrodach panuje zasada, by nie można było wszystkiego ogarnąć jednym spojrzeniem, bez względu na miejsce, w jakim się znajdujemy.

Claire się zaniepokoiła. Ten mężczyzna był kimś bardzo cennym, nie chciała go utracić.

- Co pan zrobi?

- Jeszcze nie wiem.

- Wyjedzie pan?

- Nie wiem - powtórzył.

- Ja wiem, że pan wyjedzie - oświadczyła nieco agresywnie.

Życzyła sobie tego i się obawiała.

- Nabędę godny pozazdroszczenia status wspomnienia. Egzotycznego wspomnienia.



Ishida wstał, rozejrzał się, zrobił kilka kroków wokół piaskownicy, patrząc na swoje stopy, po czym wrócił i usiadł obok Claire zmienionej na twarzy, poblądłej z powodu migreny.

- Jestem człowiekiem zmęczonym - powiedział.
- Nie oczekuję po panu niczego innego.

Oparł głowę na jej ramieniu i pozostał tak przez pewien czas; Claire uważała, że to czas zawieszony. Znieruchomiała ze szczęścia, przymknęła oczy. Amerykański turysta w słuchawkach, w których słyszał głos przewodnika, uśmiechnął się na widok tej dziwnej pary zakochanych śpiących na ławce przy piaskownicy w ogrodzie Muzeum Rodina.

CLAIRE SPAŁA, A ISHIDA ODSZEDŁ, pozostawiając jej na ramieniu ciężar swojej głowy. Wstała, po czym ciężko opadła na ławkę, przeciągnęła ręką po ramieniu, pomyślała, że ta ręka, która głaskała Ishidę, pachnie Dietrichem i że to wszystko źle się skończy.

Zjadła obiad w ogrodzie, nie potrafiła opuścić tego miejsca, zatrzymała się dłużej przed pomnikiem Balzaka na uboczu, w rogu parku. Jej ulubiony pisarz, w spływającej draperii zielonkawego kamienia, musiał cierpieć na tym skrawku trawnika. Nozdrza, brwi, ogromne stopy, kask włosów, znieważane odchodami gołębi - ten cierpiący ze wstydu olbrzym był wystawiony na ciekawskie spojrzenia zagranicznych turystów. Wszystko doprowadza mnie do płaczu, pomyślała Claire z przygnębieniem, nawet pomnik Balzaka.

Kiedy mijała strażnika przy bramie muzeum, miała wrażenie, jakby wychodziła ze snu, choć raz bez wody, ryb i bez kaloszy. Zrobiła bilans swoich uczuć i podjęła kilka stanowczych

decyzji: wrócić do pracy, codziennie podlewać rośliny w domu, pójść do pana Lebovitza, zaplanować weekend w La Baule u siostry, kupować tańsze książki i zdrowo się odżywiać. Przechodząc obok salonu fryzjerskiego, dała znak chłopcom, teraz bardzo zapracowanym, by powiedzieć, że wszystko w porządku, a do listy projektów na nowy rok dodała ostrzyżenie włosów, co zrobi miły młody fryzjer.

## 16.

CLAIRE PRZYSTĄPIŁA DO REALIZACJI PLANU, PUNKT PO PUNKCIE. Jako osoba skrupulatna nie zaniedbała żadnego szczegółu, swoje odcierpiała i stopniowo zakotwiczyła się w spokojnym oczekiwaniu. Od ich spotkania w Muzeum Rodina, Ishida nie pokazał się w kamienicy. Regularnie chodziła do jego mieszkania, zanosila gazety, które zawały skrzynkę na listy; nie odwołał prenumeraty, to dobry znak. Siadała tam, gdzie on siadał, i snuła marzenia, słuchając jazzu. Nie chciała przyznać, ale to miejsce powoli uwalniało się od swego właściciela.

Louise natomiast zostawiła mężowi list, w którym zawiadamiała, że bynajmniej nie zniknęła. Wyjechała z własnej nieprzymuszonej woli z mężczyzną, „nie staraj się szukać, nie znasz go”, i zaznaczała, że nie wróci. Nie wspominała o Lucie, która przyjęła wyjazd matki z klasą, jaką tylko dzieci potrafią okazać. Jakiś czas potem powiedziała Claire, że, co dziwne, „od kiedy mama wyjechała, w mieszkaniu niczym już nie pachnie”. Claire, bardzo poruszona tą refleksją, dodała ją do listy swoich maksym obok między innymi Flauberta i jego sentencji „trzeba żyć po burżujsku, a myśleć jak półbóg”, którą właśnie reaktowała, tak jak się wyprostowuje zgarbione plecy.

Opiekowała się panią Courtois, jadła jej gorącą zupę i potulnie wysłuchiwała opowieści o życiu codziennym, oglądając jednocześnie przez okno salonu telewizję u młodego sąsiada. Podczas takiego podpatrywania Claire często widywała swoją przyjaciółkę na kolanach taty: mała jadła kanapkę i oglądała filmy animowane. Wielokrotnie chodziła na kolację do restauracji włoskiej z panem Lebovitzem, który z dnia na dzień coraz bardziej marniał. Claire zastanawiała się, czy nie kupić starszemu panu wentylatora, ale to nie była kwestia upału. Dowiedziała się, że córka postanowiła zabrać go do Izraela już po następnym swoim pobycie w Paryżu. „Nie możesz zostać sam”, oświadczyła - brutalna, władcza i gruba. Claire była pewna, że wolałby umrzeć i że umrze. Dużo czasu spędzała z Lucie, w oczekiwaniu, aż jej ojciec zdoła „się przystosować”. Wprowadzała dziewczynkę w paryskie lato, w grę w „turystów”, polegającą na rozpoznawaniu narodowości (dwa punkty), kontynentów (jeden punkt) zagranicznych przechodniów. Przyjaciółki chodziły do kina, do rozkosznie chłodnych sal. Claire pokazała małej Deborah Kerr, o której Lucie powiedziała, że jest bardzo „jak mama”. Grety Garbo „trochę się bała”, a Marilyn Monroe wzbudziła wesołość tej bez wątpienia niezwyklej dziewczynki. Pochłaniały ogromne ilości lodów i doskonaliły zręczność w grze uno. Wieczorem Claire oddawała dziecko ojcu, który stał w drzwiach mieszkania przerażająco smutny, poszarzały jak urzędnik skarbowy - a był nim - oklapnięty, spruty jak oddarta pliska. Myślała, że zajmie się też innymi, ale to inni zajmowali się nią. Posuwała się do przodu na wycucie, ostrożnie, z dnia na dzień.

Pewnego wieczoru Dietrich, nie mając od niej wiadomości, bez uprzedzenia zjawił się w kamienicy. Zmusił Claire, by

się ubrała, i zabrał ją na nocną przejażdżkę motorem po Paryżu; ta jedna ze wspaniałych przygód przypominała jej filmy Federica Felliniego. Potem zabrał ją do siebie i starał się, zamiast się z nią kochać, wziąć ją na spytki.

- Pojedziemy razem na wakacje - oznajmił, aby ją wyciągnąć z niepokojącego, niezwykłego odrętwienia, które przyćmiewało jej spojrzenie. - Pokażesz mi twoich włoskich malarzy, pojedziemy do Wenecji, do Florencji, dokąd zechcesz - powiedział, głaszcząc jej źle obcięte włosy.

Zauważył, że zeszczupiała. Claire nagle zasnęła, zanim przyjęła, lub nie, zaproszenie do podróży, niemal w połowie zdania. Dietrich spędził noc w Internecie, oglądając zdjęcia włoskich hoteli - wszystkie były rozpaczliwie piękne i przepelnione, jakby cały świat zaplanował sobie to samo co on.

Podróż nie wypaliła z braku entuzjazmu, wolnych miejsc w hotelach, a zwłaszcza po zawiadomieniu o korekcie podatku, która spadła na głowę osteopacie w pewien koszmarny, lipcowy, poniedziałkowy poranek. Claire nie była przeciążona pracą, już od pewnego czasu wszystko w wydawnictwie czekało przygotowane na nowy sezon. Zgodziła się przyjąć abonament telefonu komórkowego, na polecenie Legranda, który wyjeżdżał na wakacje i nie mógł znieść myśli, że jego personel rozplynie się w naturze bez pępowiny.

Kamienica stopniowo pustoszała. Lato wdzierало się na podwórko, cień tego czasu wpełzał po kolei na każdą fasadę, od świtu do wieczora. Claire wyglądała na chorą, przybitą i smutną. Nic z tych rzeczy, była po prostu gdzie indziej. Kochała, ale nie cierpiała. Po tygodniach zmagania z rzeczywistością i jej dręczącym czynnikiem ludzkim powróciła do swojej własnej fabryki obrazów. Sceneria i protagoniści się zmieniali,

ale to Claire pociągała za sznurki, a prowadzone jej wprawnymi palcami marionetki dokonywały cudów. Szczególnie marionetki japońskie, które doskonale odpowiadały wymaganiom jej wyobraźni. Miała teraz dużo czasu, między odwiedzinami u starych dziecienniałych sąsiadów i ich dziecka czytała cudowne teksty dam dworu w dawnej Japonii albo błądziła wśród plis młodziutkich gejsz malarza Harunobu. Zaspokojona ciekawość ustępowała miejsca radości płynącej z przyzwyczajień, jak u dzieci, które chcą słuchać sto razy tej samej historii, aby sto razy odczuć to samo. Claire dane było zagłębiać się całymi dniami w zbiorze haiku albo w albumie sztychów. Nie uczyła się niczego na pamięć, lecz przyoblekała się w to, co czytała, jakby rozdwojenie jaźni, szaleństwo. Potem narzucenie innego rytmu - muzyka zasłyszana tu czy tam zmieniała jej świat. Pewnego dnia zamieni zaśnieżone kryptomerie na zimne, smagane wiatrem angielskie wrzosowiska albo na migotliwe, kokainowe szaleństwo Los Angeles. Nie było w tym żadnej reguły. Kiedyś kupno żakietu z fioletowego weluru kazało jej przeczytać *Annę Kareninę*. A jednak, zaproszona na bal, nie mogła przyjść w towarzystwie mężczyzny. Właśnie z powodu takiej samotnej podróży Dietrich stwierdził, że ona nikogo nie potrzebuje.

Był jednak ktoś, kto wiedział, że nie jest bezpiecznie pozostawić Claire jej obsesjom: matka - zadzwoniła pewnego dnia, by dowiedzieć się, co u niej słychać. Od razu rozpoznała owo majaczenie, które tak ją niepokoiło, kiedy mała Claire zataczała się w salonie, opowiadając nie wiadomo co po długich godzinach lektury. Oświadczyła córce, że „niedługo przyjadą do Paryża, by kupić u specjalisty nowy materac, wiesz, w Dzielnej Dzielnicy, obok kościoła Świętej Trójcy”. Claire

ubawiła ta wątpliwa historia łózkowa, bo przywykła do lęków tej nieszczęsnej kobiety, która za nic w świecie nie potrafiła sobie wyobrazić, że można przedkładać historię Japonii nad grilla z przyjaciółmi. Dwa dni później już byli w Paryżu, pomogli jej spakować walizkę, poprosili konsjerżkę o odbieranie poczty i załadowali Claire - raczej wbrew jej woli - do auta, by zawieźć ją do La Baule, gdzie siostra przygotowała dla niej pokój obok pokoju dziecięcego. Neurozy są przenośne - w torbie, ciężkiej jak walizka terrorysty, Claire zabrała Japonię do Loire-Atlantique.

- Cześć! - krzyknęła Anne z otwartymi ramionami.

Claire spostrzegła, że amerykańskie seriale wyrządziły widoczne szkody także na prowincji; teraz ludzie obejmują się i klepią po plecach, tak jak tam. Potem zauważyła, że siostra z wiekiem pięknieje. Jak kobiety prowadzące rewie w latach dwudziestych, była potężnie zbudowana, miała stanowczy głos i nosiła się tak, że niejeden stanąłby jak wryty. W ciemną czuprynę, podobną do gniazda, byle jak wpychała spinki i grzebyszki. W innej bajce mówiono by o niej jak o pięknej, zdrowej roślinie. Tutaj była siostrą Claire, domowym tyranem, reprezentacyjną żoną i królową zamętu. Rodzice patrzyli na nią jak na Statuę Wolności i dołączyli do kohorty drobnych rączek otaczających królową pszczół, której wnętrze poznała kiedyś tylko jej młodsza siostra. Powierzyli jej Claire i wyjechali jeszcze tego samego wieczoru, bo w Limousin czekała na nich banda przyjaciół, z którymi wybierali się na czterodniową wycieczkę - coś w rodzaju nowoczesnej wersji pielgrzymki do Compostelli dla emerytów laików. Bagaze wylądowały w przedpokoju masywnej willi Bon Air, a Claire poszła na plażę, sama, tego właśnie chciała. Uwielbiała

morze. Uwielbiała niepokojący pomruk, niezwykle ruch i metaliczne barwy Oceanu Atlantyckiego - czciła go jak jakieś gigantyczne bóstwo, wspaniałe i opiekuńcze. Każde kolejne spotkanie z tą siłą natury szokowało. Wiatr, zapach jodu i ryb, pienisty przypływ, wrzask dzieci biegających po plaży poruszały jej zmysły aż do bólu. Zdjąć buty to pierwszy kultowy gest, zanurzyć stopy w piasku - „najdrobniejszym na całym atlantyckim wybrzeżu” - drugi. O zmierzchu robiło się chłodno. W końcu usiadła jak odurzona, w gardle więzły jej chaotyczne okrzyki radości. Słuchając szumu morza, pomyślała z uśmiechem, że przyjazd tutaj to doskonały pomysł, a nawet cud.

Sinoblada z nadmiaru wdychanego świeżego powietrza i zbyt intensywnego wyśpiewywania swojej wewnętrznej muzyki, Claire na chwiejnych nogach wróciła z plaży; zauważyła, że jest w bardzo złym stanie. Rzecz się potwierdziła w czasie sutej kolacji u siostry. Obok Jean-Paula, Anne i dzieci Claire wyglądała jak pokryta kurzem, jak błędna czarnobiała klatka w kolorowym filmie. Nawet ich wnętrza wydawały się rozświetlone. Ich śmiechy, ton głosu nużyły jak podstawowe kolory na fladze.

- Posłuchaj, trochę słońca dobrze ci zrobi! - powiedział Jean-Paul, à propos.

Szwagier nie lubił paryżan. To był jego ulubiony temat, konik, na którym jechał od lat; Claire nie wiedziała dlaczego. Miała niewyraźne przeczucie, że chodzi o coś w rodzaju ładu w nieładzie, czego Anne i on nienawidzą, a w czym - między innymi - specjalizują się paryżanie. Przyjeżdżają na prowincję w wieczorowych strojach, ze zbijającą z tropu uniżonością i grzecznym uśmieszkiem słuchają ważnych osobistości z prowincji, a wszyscy są właścicielami posiadłości albo



śmiesznie małego audytorium. Jean-Paul traktował swoją szwagierkę jak starą pannę, zgorzkniałą intelektualistkę; potajemnie marzył, by wyswatać ją z jednym ze swych kolegów, w czasach gdy często tu przyjeżdżała, zostawała długo i spotykała się z grupą ich przyjaciół. Misja okazała się fiaskiem, bo Claire pokazywała zęby, gdy tylko jakiś facet ją podrywał. Żaden, jak twierdził Jean-Paul, „nie jest dla niej dość dobry”. Tego wieczoru wydała mu się wyjątkowo dziwna, a nawet obca, jakaś taka orientalna.

- No więc, jakie masz plany? - spytała Anne z niepomowanym entuzjazmem.

- Odzyskać formę - odparła Claire; taka odpowiedź nagle przyszła jej do głowy przy kolejnym kęsie pomidora z mozzarella.

- Świetnie - oświadczyła Anne z podziwem, patrząc na Jean-Paula. - Jeśli chcesz, możesz wziąć czerwony rower. Napompowałam opony, a przy drzwiach wisi rozkład godzin przyływów. Przyjechałaś w dobrym momencie, o trzeciej jest wysoka woda.

Claire wcześniej się położyła, przeczytała kilka stron i zasnęła przy pięknym zdaniu, które dodała - zasługiwało na to - do swego panteonu:

*Rzeczy, które tylko przemijają*

*Łódź z postawionym żaglem*

*Wiek ludzi*

*Wiosna, lato, jesień i zima*

Pierwszego dnia na plaży spotkała przyjaciółki siostry, także królowe pszczół, których dzieci jej się myliły. Nie interesowały jej ich rozmowy, więc czytała, pływała, czytała,

pływała, nieprzenikniona dla spojrzeń i ciekawości, jaką wzbudzała jej śniegowa białość. Milcząca pośród opalonych, naoliwionych ciał, podnosiła głowę tylko wtedy, gdy jakaś perełka kultury padała z ust któregoś z dzieci bawiących się obok niej. Chwilami drżała, to Ishida dawał jej znak. Stojąc tuż nad wodą, patrzyła, jak fala pochłania jej stopy, a potem je uwalnia. Bez przerwy kręciło jej się w głowie, ciało groziło wybuchem. Na tej ogromnej plaży, „największej w Europie”, hałas był ogłuszający; idąc po ręcznik, Claire torowała sobie drogę i liczyła kroki, żeby tylko nie upaść. Drugiego wieczoru wykreciła się od grilla u sąsiadów, błędziła po La Baule *by night* - ogorzała twarz, nogi jak z waty, książka pod pachą, niezbędna jak mszał. Dietrich zadzwonił o jedenastej. Legrand telefonował już po południu, chciał sprawdzić, czy korzysta z telefonu komórkowego, który jej kupił. „Tu zawsze jest pięknie!”, powiedział, nie podając szczegółów. Claire kupiła kartki pocztowe ze zdjęciami bretońskich potraw i przepisami: dla Dietricha ciasto bretońskie, dla Lucie bretoński placek ze śliwkami, dla pana Lebovitza inny przepis na ciasto, a dla pani Courtois zapiekane ostrygi. Przypomniała sobie, że od dawna nie pisała do Jeana-Baptiste'a. Swoją pamięć dzieliła teraz między tego pięknego straconego mężczyznę a Ishidę, który niepostrzeżenie zaczynał się konkretyzować w zatrzymanym ruchu na jej prawym ramieniu.

Powoli odnajdowała swoje miejsce w wakacjach. Godzinami jeździła na rowerze, jak w pojeździe księżycowym, po słonych, przyschniętych bagnach, odurzona samotnością. Bawiła się z dziećmi w oczkach ciepłej wody, odpływ wymywał piasek spod jej stóp. Przyzwyczała się do hałasu, nie chwiała się już tak bardzo, upajał ją zapach sosen, który niczym

cukier spływał na ogród willi Bon Air. Zdołała nawet normalnie powiedzieć coś o sobie podczas kolacji na dziesięć osób w renomowanej restauracji Dzikiego Wybrzeża. „Bardzo lubię moją pracę, mam szczęście mieszkać w jednej z najpiękniejszych dzielnic Paryża”. Leżała na piasku, w zawieszonym zatłoczonej plaży, patrzyła na chmury przepływające jej przed oczami i myślała, że „tutaj wszystko jest ruchem”.

Gołe stopy w igłach ogrodowych sosen, głowa w gwiazdach nocy - siostry spotkały się pewnego wieczoru, gdy Jean-Paul wyszedł z dziećmi. Claire krążyła wokół Ishidy, sugerowała, że może jest łobuzem, ale Anne, z korkociągiem i butelką wina saumur między udami, jak odważna czarownica w domu, rozczochrana, w świetle księżyca, zmieniła temat. Nie miała ochoty przeżywać w zmienionej formie „dramatu Jeana-Baptiste'a”. Nieświadomie przez długie miesiące Claire rzuciła na ich życie woal niepewności i miłosnego żaru. Anne miała pretensje do swojej niestałej w uczuciach siostry, źle wychowanej i fruwającej z kwiatka na kwiatek, za to, że zburzyła im spokój, bo sobie wymyśliła, że mogłaby umrzeć z miłości. Od najdawniejszych czasów siostry się kłóciły, Anne wyrzucała Claire jej dziwaczne zapędy ascetyczne, brak ambicji i mglistą pomrokę spowijającą jej paryskie życie. Chciała opowiedzieć jej o swoim kochanku, mężczyźnie poznanym w sklepie. Claire spytała siostrę, czy wie, że święta Anna to matka Najświętszej Marii Panny, po czym nie było już mowy o wyjawianiu wiarołomstwa.

W ciemnym ogrodzie udało im się jednak pośmiać z przeszłości i z rodziców Anne nie bała się wspomnień, otwarcie się nimi popisywała, bez uszczypliwości, tak jakby chodziło o anegdoty z poprzedniego dnia, nie mniej ani nie bardziej

ważne. Wydawało się, że nieznane jej są niebezpieczeństwa pamięci. W każdym razie ściera się z nimi z brawurą, przy każdej okazji, myślała Claire z podziwem. Poszły spać trochę pijane. Telefon Claire dzwonił w nocy dwa razy, dwa ściszone sygnały, których nie usłyszała.

Zaczęło padać. Willa Bon Air pachniała kościołem, a karty do gry pleśnią. Wtajemniczano Claire w grę, w której trzeba się wykazać ogólną wiedzą, z cząstkami „camamberta” w różnych kolorach, które zbiera się, odpowiadając na pytania w rodzaju: „Jaką część ciała pocierają sobie Inuici na znak miłości?” albo „Jaki francuski pisarz jest najczęściej tłumaczony za granicą?” Jeana-Paula zdziwiły średnie wyniki Claire: „Tyle czasu spędzasz na czytaniu...” Na co odpowiedziała, że wcale nie chce zapamiętywać tego, czego się dowiaduje. Zbiorowa nuda z obyciem doskonałym z każdym latem. Na ulicznej wyprzedaży, takim śmietniku pod gołym niebem, gdzie wystawia się wszystko z pokoi dziecięcych i z szafek kuchennych, Claire wygrzebała ubranka dla lalki Lucie na kilka sezonów. Zostawiła siostrę, która przynosiła jej wstyd, targując się o garnki po parę groszy; znalazła książkę uwielbianą w dzieciństwie. Leżała na samym dnie wilgotnego pudła, na poszarzałej ulicy, śmiertelnie smutnej. Claire ją przejrzała i znów zobaczyła obrazek, który kiedyś doprowadził ją do utraty zmysłów. Ilustracja przedstawiała siedzącego na księżycu psa, który marzył, by jego przyjaciele-zwierzęta i bohaterka, mała blondyneczka, zostali zamienieni w rybki. Kiedy siostra ją odszukała, Claire stała nieruchomo z otwartą książką w ręku. Anne zaniepokoiła się bladości siostry i zaproponowała, by wróciły do domu.

Pewnego wieczoru, po deszczu, Claire usadowiła się w wilgotnym, pachnącym mocno ogrodzie, podczas gdy inni

grali w belotkę. Ogarnął ją smutek. Świetlne girlandy, pozostałość po urodzinach, które świętowano poprzedniego dnia, zwisały z drzew w ogrodzie naprzeciwko. Jakaś para przemknęła na rowerach, niczym widmowe zwierzęta ślizgające się po asfalcie. Od rana do wieczora Claire było zimno, miała ochotę wracać. A jednak coś ją zatrzymywało przy siostrze. Była pewna, że przed jej przyjazdem Anne wydała dzieciom polecenie: „Zachowujcie się grzecznie przy cioci, jest zmęczona”. Nawet Jean-Paul miał się na baczności. Nie mogła wyjechać tylko z powodu deszczu. Wstała, by dołączyć do domowników, gdy brama się otworzyła i zjawił się Dietrich.

- Nareszcie przyjechałeś, już zaczynałam tonąć - powiedziała, nie okazując najmniejszego zaskoczenia. - Poczekaj, wezmę kurtkę.

Szli nasypem. Była mu nieskończenie wdzięczna za to, że przyjechał i nie musiała go o to prosić. Szedł obok niej z rękami w kieszeniach, uśmiechał się, patrząc w niebo, i oddychał pełną piersią jak wszyscy, którzy właśnie tu przyjechali. Mijali rodziny uzbrojone w lody i psy, starców zniszczonych przez dziesięciolecia słońca, a także młodych ludzi, pięknych jak półbogowie. Usiedli na ławce, twarzą do morza, tej plamy atramentu jak okiem sięgnąć, czarnej dziury z koszmarnych snów Claire.

Jej spojrzenie zawisło na profilu Dietricha, a on wzrokiem pożerał morze, niebo i chwilę. Nagle stwierdziła, że kocha tego mężczyznę. Oparła głowę na jego ramieniu, tak jak składa się oręż u stóp wroga. Poczula jego oddech, zimne ucho, gęste włosy wilgotne od deszczu i resztkę wody toaletowej z rana, gdy być może przed lustrem podejmował decyzję, że zaraz wsiądzie do samochodu i pojedzie nad morze.

- Wczoraj widziałem się z Monicą. Powiedziałem jej, że tu jesteś. Odetchnęła z ulgą.

- Nie chcę przyznawać śmierci jakiegokolwiek władzy nad moimi myślami - wyrecytowała Claire, patrząc na morze, z głową na ramieniu Dietricha. - Powiedział to pewien niemiecki pisarz. To piękna myśl i bardzo elegancka, zgadzam się z nią, i próbuję zastosować w praktyce. Ten człowiek głęboko mierzył w dyscyplinę, którą sam sobie narzucał, bo wszystko go pociągało.

- Jesteś do niego podobna.

- Trochę.

- Nie jesteś realistką. Zastanawiam się nawet, czy chwilami ci nie odbija - powiedział ze śmiechem.

- Możesz być spokojny, nie jestem wariatką. Po prostu wieloma rzeczami się nie zajmuję. Na przykład tym, co ludzie robią. Interesuje mnie tylko to, czego nie mówią.

- Tak właśnie myślałem - przyznał Dietrich, rozprostowując nogi.

Mogła mówić, co jej się podobało, i tak czuł się tu bardzo dobrze.

Przez chwilę milczeli. Wtuliła się między Dietricha a jego kurtkę. Serce kochanka biło szybko i zdradzało jego pogodny uśmiech. Claire, wręcz przeciwnie, była bardzo spokojna. Miała tę zdolność, jak wszyscy marzyciele, przekraczania faktów, tak jak dzieci przeskakują kałużę ze swobodą, zwinnością i lekkością. Od kilku dni kielkowała w niej zapowiedź innej historii, dalekiej od Japonii, od Włoch, niczym przebijające mgłę światła portu dla tych, co powracają z długiej morskiej podróży. Zauważyła, że wakacje, dzień po dniu, oddaliły ją od jej japońskiego scenariusza - jak perfumy powoli wietrzejące

we flakonie. Czas nie miał władzy nad nią, lecz tylko nad długotrwałością jej wyobrażeń. A wyobrażenia często wyczerpywały się szybciej niż postaci w nich występujące. Niektóre przekraczały granice, wierne aż do śmierci; na przykład Jean-Baptiste, tak konkretny jak sztabka złota. Nie miała najmniejszego pojęcia, co stanie się z Ishidą czy z Rossettim w jej długiej galerii, gdzie prawda i fałsz trwały obok siebie bez żadnej hierarchii. Na razie, wyjątkowo, rzeczywistość łączyła się z jej pragnieniem i należało to wykorzystać.

- Daleko zaparkowałeś? Chciałabym ci coś pokazać - powiedziała.

JECHALI AUTEM. Prowadziła go uliczkami pośród sosen. Przejechali przez most, opuścili miasto, wkrótce dotarli do wybrzeża morskiego.

- Nazywa się to Dzikie Wybrzeże - wyjaśniła Claire, wysiadając z samochodu.

Ubranie przylepiało się do ciała od natrętnego wiatru; szli urwistym brzegiem, nad zatoczkę. Uderzył ich zapach piwnicy, śmieci z całego dnia, odgłosy jak ze studni. Pachniało kroniką towarzyską, końcem lata, tchórzliwymi zerwaniami. Claire pomyślała, że przyjazd tu był bardzo złym pomysłem, ale już za późno, musi to jakoś znieść. Podeszła bliżej morza, które rozpryskiwało się podejrzenie żółtą pianą na piasku, i długo tam stała, zastanawiając się, co Dietrich robi za jej plecami.

- Kiedy byłam bardzo młoda, przyjeżdżałam tu i snułam plany. Pod koniec każdego lata robiłam projekty na cały rok.

I co roku morze odsyłało mi tę samą falę, tym samym powtarzalnym ruchem, jakby chciało powiedzieć, że wszelkie

plany są niepotrzebne. Potem zderzyłam się z głosami ludzi, z ich ostatecznymi słowami, z brutalnym światłem, z czasem wyborów, z moim brakiem powagi, z mężczyznami, którzy mi się opierali, i z nudą, która psuje humor jak skwaśniałe mleko. Czytałam, aby wybaczyć światu to, że jest taki banalny, a potem już nie potrzebowałam planów. Ishida powiedział mi, że jestem bardziej japońska niż on, że umiem żyć chwilą. Ale ja nie żyję chwilą. Pomylił się co do mnie.

Odwróciła się, plaża była pusta. Akurat, jak zdarzyło mi się mówić.... pomyślała z goryczą.

Kiedy zaczęła wchodzić po kamiennych schodkach wydrążonych w skale, Dietrich złapał ją za rękę, by ją podtrzymać. Krzyknęła, zaskoczona, on się roześmiał i przyciągnął ją do siebie. W samochodzie zapiał pas i włączył wycieraczki.

- To najsmutniejszy dźwięk świata - powiedziała Claire, siedząc wyprostowana na miejscu samobójcy.



## 17.

DIETRICH WYJECHAŁ NASTĘPNEGO DNIA BARDZO WCZESNIE RANO. Na stacji benzynowej zanurzył rękę w garści piasku na dnie kieszeni kurtki i głaskał białą gładką muszelkę, którą znalazł na plaży u stóp Claire; kochał Claire, to pewne.

Dwa dni później pojechała w ślad za nim. W pociągu wracała myślami do ostatnich słów siostry. Zwykła wymiana zdań na peronie, wzmocniona spojrzeniami, jak podpisami, obudziła w obu kobietach nadzieję na stosunki kiedyś może uwolnione od nieodłącznych rodziców. Dla Claire był to temat „drażliwy”, za ciemnymi okularami płakała przez większą część podróży. Resztę czasu spędziła zatopiona w piśmie literackim przedstawiającym książki wydane na początek sezonu, jak przysmaki, które mają pobudzić apetyt. Przejrzała też dodatek zawierający fragmenty „powieści, które zrobią furorę w tym roku”.

Zobaczyła, że dwa kroki od jej domu otwarto nową restaurację. Przeczytała menu, odsuwając w ten sposób chwilę, gdy na podwórku, na schodach, w mieszkaniu odkryje nieuchronne zmiany, które narażą na niebezpieczeństwo jej równowagę ducha. Przeszła przez bramę, nic jej nie zaniepokoiło. Nie

rozsunęła zasłon, odłożyła na następny dzień przygnębiający pokaz przerwane go filmu za oknami Ishidy. Rozpakowała walizkę, ustawiła na półce przeczytane książki, ale najpierw jeszcze raz rzuciła okiem na blade, ciemnowłose gejsze, które na okładkach pochylały głowy. Wyjęła z zamrażarki pizzę, zjadła ledwo ciepłą. Nie słyszała żadnych odgłosów z góry. W oknie kuchni wychodzącym na malutkie wewnętrzne podwórko Antoine i Lucie cicho rozmawiali jak para kochających się starszych ludzi. Ktoś smażył stek. Znalazła loda Miko zapomnianego przez małą sąsiadkę i zjadła go, przyglądając się swojej opalonej twarzy w lustrze łazienkowym. Nastawiła pranie, wzięła prysznic, zadzwoniła do Dietricha, nie zastała go, „to ja, oddzwonię”, i do Legranda, który rozmawiał z nią wprost z entuzjazmem, jakby wróciła z Nowej Zelandii albo z Patagonii, w każdym razie z jakiegoś odległego miejsca, z którego mogła nie wrócić nigdy. Rozesała łóżko i położyła się z nowelami - nie dla dam, jak mówi idiotyczna piosenka Somerseta Maughama. Zasłony nie były rozsunięte, bo Claire potrafiła działać z całkowitą determinacją na miarę wierności starego psa. W odpowiednim momencie wiedziała, jak się odgradzić, bez wahania, z dziką stanowczością.

Śniło jej się, że płynie pod prąd ciemnej, mętnej rzeki; w ślad za nią w kanadyjce, która nie nabierała wody, płynął Rossetti w swojej kraciastej koszuli, śpiewając na całe gardło: „Hej, malutka, dalej, dalej, kłopoty odłożmy na jutro”, piosenkę jej dzieciństwa, którą włożyła w jego usta. Kiedy do niej podpłynął, obudził ją jakiś hałas na podwórku. Usiadła na łóżku, usłyszała przeraźliwe nawoływanie przez walkietalkie, nieznane męskie głosy, kroki na schodach, potem płacz, pani Courtois... Claire rozsunęła story w swojej sypialni,

otworzyła okno na oświetlone podwórze, opanowane przez dziesiątkę strażaków, którzy otaczali ciemny kształt na betonie. Serce Claire aż podskoczyło, zaczęła krzyczeć przez otwarte okno, jak z balkonu włoskiego teatru, wszyscy unieśli głowy, przejęci zgrozą, obawiając się kolejnej tragedii. Kilka sekund później dwaj strażacy stanęli obok Claire.

- Popęłił samobójstwo? - spytała.
- Nie wiadomo. Znała go pani?

Wstała, kręciło jej się w głowie. Jeden ze strażaków trzymał rękę w powietrzu, gotów złapać ją, gdyby zemdląca. Zrozumieli, że chce iść zobaczyć Ishidę, więc ją powstrzymali. W końcu, przy trzasku walkie-talkie, bieganinie policjantów i strażaków po schodach prowadzących do mieszkania Japończyka, przyciszonych rozmowach, przy łoskocie otwieranych i zamykanych okien, Claire zapadła w sen. Później, w nocy, znowu się obudziła i zastanawiała, czy śmierć Ishidy jej się przyśniła. Stwierdziła, że pewnie tak, i zasnęła w ciszy, która zapadła na podwórku.

Claire obudziła się nagle o szóstej rano. Zasłony były rozsunięte. Odtworzyła te straszne nocne puzzle, ubrała się, dygocząc, wzięła pęk kluczy Ishidy i wybiegła z domu. Nadepnęła na cienką czerwoną obwódkę, której konsjerżka nie zdołała całkiem usunąć z betonu podwórka. Uniosła głowę, by przebyć w przeciwną stronę drogę przyjaciela, pod prąd czasu. Pomyślała, że ostatnią rzeczą, jaką widział przed skokiem, były jej zielone story, tak okrutnie zasunięte. Weszła na jego piętro. Drzwi mieszkania zostały opieczętowane. Claire, która nie była realistką, dla której nigdy nie istniały żadne przeszkody, bo tam, gdzie przebywała, sama o wszystkim decydowała, znalazła się pod drzwiami, przez które nie mogła

wejść. Zwalilo ją to z nóg, usiadła na schodach i z zamkniętymi oczami w myślach przypominała sobie delikatnie pachnącą, świeżą, jedwabistą tkaninę kimona Ishidy, potem jego wizerunek w lustrze, kiedy włożyła kimono. „Rękawy zmoczone łzami są moimi towarzyszami w nocy”, wyrecytowała cicho. Jej miłość do Ishidy nie była miłością ziemską. Ten mężczyzna przeszedł przez jej życie ze śmiechem, zainspirował ją, tak jak inspiruje pejzaż, książka czy marzenie. Dali sobie nawzajem najlepszą część siebie. Ishida zabójca i Claire prowadząca pustelnicze życie mogli sobie odegrać inną partyturę, zawrzeć rozejm w tych dziwnych żywotach. Jakieś drzwi się otworzyły, Claire aż podskoczyła. Ze swojego mieszkania wychodził młodzieniec-kolekcjoner blondynek, trzymał w ręku szkolny tornister.

- Dzień dobry. Co się dzieje? - spytał zaintrygowany.

Claire nigdy nie widziała go z bliska. Miał zmięte rysy twarzy, jak dziecko za wcześnie obudzone. Jeszcze jeden człowiek, pomyślała, którego życie można sobie wyśnić.

- Wie pan, co się wydarzyło dziś w nocy... - powiedziała.

- Tak. To straszne. A jest tyle o wiele przyjemniejszych sposobów umierania - odparł, schodząc po schodach.

Wszystko, co niezwykle, jest godne uwagi; Claire wbiła sobie w pamięć zdanie „są o wiele przyjemniejsze sposoby umierania”, aby umieścić je na liście, w zeszycie cytatów albo w zupełnie nowej kategorii, którą powinna stworzyć.

Drzemała z głową opartą o ścianę, usunęła się, by przepuścić młodą kobietę wchodzącą na górę. Zauważyła, że kobieta dzwoni do drzwi pani Courtois. Za wcześnie na wizyty, stwierdziła Claire i postanowiła za nią pójść. Kilka chwil później otworzyła jej ta sama młoda kobieta, z uśmiechem na ustach.

- Zastałam panią Courtois? - spytała Claire, lekko zaskoczona.

Kobieta była czarna, a pani Courtois nie kryła się ze swoim rasizmem.

- Proszę wejść!

Rozkoszny zapach świeżej kawy spływał jak błogosławieństwo na każdego wchodzącego do tego mieszkania, w którym - poczuła to - niepostrzeżenie coś się zmieniło.

Pani Courtois wyszła z kuchni; drżąca z podniecenia, szeleściła koszulą nocną.

- Ach! Claire! Co za nieszczęście! Wielkie nieszczęście!

Zatrzymała się kilka centymetrów od sąsiadki, bo w świetle Claire i pani Courtois ludzie nie padają sobie ot tak w ramiona.

- Co się właściwie wydarzyło? - spytała Claire, którą młoda kobieta już obdarzyła filiżanką gorącej kawy.

- Nie wiem. Usłyszałam hałas na podwórku i zobaczyłam, że...

- A wcześniej niczego pani nie słyszała? Nie było niko-go u niego?

- Chyba nie. Bardzo źle sypiam, myślę, że usłyszała-bym, gdyby działo się coś anormalnego...

- Kiedy wrócił? - przerwała jej Claire.

- Następnego dnia po pani wyjeździe. Poprosił o klu-cze. Powiedziała, że są u pani.

- Pytał, gdzie jestem?

- Nie, chyba nie.

Pani Courtois zrobiła cierpiący, małpi grymas, krzywiła się tak, kiedy zanikała jej pamięć.

- Co robił przez ten cały czas? - spytała Claire.

- Nic specjalnego. Wychodził rano, wracał wieczorem. Czasami słyszałam u niego muzykę.

- Ktoś go odwiedził?

- Nie zawsze byłam w domu. Ale nie sędzę.

Wielkie strapienie zagościło na szczupłej twarzy pani Courtois, której nie dało się traktować poważnie, tak bardzo mieszały jej się wspomnienia.

- A tamtego pani widziała? - dociekała Claire, wskazując brodą okna Rossettiego.

- Tak. Tak! - zawołała pani Courtois w przyływie energii, bo to wspomnienie było jeszcze żywe. - Piłam herbatę z Fatou, przy oknie, więc widziałyśmy, jak wyszedł na balkon. Kiedy to było, Fatou? W poniedziałek, wtorek, nieważne. Pomachał mi, wyobraża pani sobie, tak jakbym z nim świnie pasła... a może owce? Już nie wiem. Krótko mówiąc, nie odpowiedziałam. Stał tak dłuższą chwilę i zaglądał do pana Ishidy. Nie pamiętam, czy Ishida był wtedy w domu. Tak czy owak Rossetti nie był zbyt dyskretny. Fatou, moja kochana, mogłabyś przynieść jeszcze trochę kawy, bądź taka miła - powiedziała słodko.

- Kto to? - spytała cicho Claire, gdy Fatou wyszła.

- Moja podpora życiowa - odparła kokieteryjnym szepetem pani Courtois.

- Pani... co? - Claire nie wiedziała, czy dobrze usłyszała.

- Moja podpora życiowa. Poszłam do merostwa, poprosiłam, żeby mi kogoś dali, a oni zaproponowali mi do pomocy Fatou. Jest urocza.

Pani Courtois była w siódmym niebie. Claire pomyślała, że czasem rzeczy zmieniają się na lepsze. W milczeniu czekała na kawę, po chwili Claire wyznała:

- Bardzo mi smutno, pani Courtois. Nie dociera do mnie, że pan Ishida nie żyje. Wie pani, to tak jakby człowiekowi amputować nogę... dalej boli, chociaż już jej nie ma. Pan Ishida odcisnął bardzo silne piętno na moim życiu.

Pani Courtois zakaszłała, tak jak się kaszle na koncercie, aby usunąć emocje podczas tragicznych fragmentów.

- No cóż - westchnęła Claire. - Co poza tym słyhać w kamienicy?

- Na czwarte piętro wprowadziła się młoda para z dzieckiem.

- Bardzo hałasują?

- Zapomniałam o najważniejszym - przerwała jej pani Courtois niezwykle podekscytowana. - Pan Lebovitz wyjechał!

Claire przyjęła tę wiadomość jak cios w żołądek, nagły atak słabości, falę rozpacz.

- Przewrócił się na schodach - ciągnęła sąsiadka. - Nic poważnego, tylko skręcił nogę, tak mi się wydaje. Następnego dnia przyjechała z Tel Awiwu jego córka. Sprowadziła agenta nieruchomości i firmę przewozową. Wszystko zostało załatwione w tydzień. Wyjechali w zeszły poniedziałek. Nawet nie dała mu czasu na pożegnanie się.

Claire zastanawiała się, czy dostał jej pocztówkę. Nigdy go już nie zobaczę, pomyślała ogłuszona, zgnębiona i tak wycierpana, że mieszały jej się twarze Ishidy i Lebovitza.

- Widziała się pani z Louise?

- Zabrała swoje rzeczy, nie wiem kiedy. Mała siedziała w oknie, patrzyła na kartony zgromadzone na podwórku. Jej matka przysłała tylko po to, by wydać polecenia pracownikom firmy przewozowej. Nie zabawiła tu ani chwili.

Claire padła na kanapę w stylu Ludwika XV u pani Courtois. Jej ciało było tak znużone, jak ciało maratończyka pod koniec biegu. Nie mogła się ruszać, tak jakby najmniejszy gest mógł ściągnąć jeszcze jakąś katastrofę. Pani Courtois i Fatou zostawiły ją samą. Przez okno oglądała teatr swojego życia. Czerwone pelargonie na drugim piętrze bardzo urosły od jej wyjazdu, w służbówce po lewej stronie wisiały ładne białe zasłony, a między fasadami rozbrzmiewał głos konsjerżki szukającej kota.

- Wychodzę! - krzyknęła Claire, ciężko wstając.

- Do widzenia! - odpowiedziały chórem, jak się wydało Claire, śpiewnie, z głębi pokoju.

Claire wróciła do siebie, zasunęła story i położyła się spać w ubraniu. Długo leżała z otwartymi oczami, wodziła wzrokiem po suficie, po ścianach, stopniowo się uspokajała w kontakcie ze swoimi przedmiotami, książkami i ciszą. Spała do wieczora, wynurzyła się ze snu z jedną jedyną myślą: Rossetti.

Dla próżniaków działanie jest silnym środkiem wprowadzającym w stan euforii, jak narkotyk nadaje światu doskonałą, rozweselającą spójność. Kiedy zdarza się rzadko, działanie jest także lekiem przeciw tyranii rzeczywistości, magicznym eliksirem. Jednym susem Claire stanęła na nogi; zdziwiła się, że zapadła noc. Przebrała się, zadzwoniła do Dietricha, wprosiła się na spanie, „Przedtem muszę coś załatwić”, po czym zeszła do Antoine'a.

Drzwi otworzyła Lucie. Wstrętny zapach topionego sera gruyère świadczył dobitnie o definitywnym wyjeździe Louise, atakował człowieka już przed drzwiami, gdzie właśnie stanęła Claire. Podała dziewczynce torbę z targu ulicznego.



Lucie zaśmiała się jak dawne, nakręcane kluczykiem zabawki, i oddaliła, oglądając jej zawartość.

- Przyszła Claire! - krzyknęła.

Antoine wyjrzał z kuchni. Miał na sobie czerwony, trochę przybrudzony fartuch, na którym duże litery tworzyły napis: „Jestem szefem! Posmakuj mnie!” Opowiedział jej o błyskawicznej wyprowadzce Louise.

- Niczego właściwie nie zabrała. Tylko ubrania i biżuterię. Tak jakby się bała, że to, co tu jest, mogłoby zanieczyścić jej nowe życie. Może to taki przesąd. Lucie nie wydaje się specjalnie przejęta.

Akurat, pomyślała Claire. Nie chciała powiedzieć temu mężczyźnie, że jego córka umiera wewnętrznie od kilku dni, od chwili gdy zobaczyła matkę wyjeżdżającą z pudłami pełnymi perfumowanych szmatek. Jak wytłumaczyć temu facetowi, że Lucie na zawsze jest Louise, ale Louise nie ma w sobie nic z Lucie.

- Może się przeprowadzę - powiedziała Claire, która odkryła to w tym samym czasie co Antoine. - Zbyt dużo tu się wydarzyło - dodała.

- Pani bardzo lubiła tego człowieka - stwierdził Antoine, wyglądając przez okno.

Claire wstała. Nie przyszła opowiadać o swoim życiu, a Antoine drażnił ją, bo stanowił zbyt łatwą ofiarę kobiet. Dawała mu nie więcej niż dwa miesiące na znalezienie sobie kogoś. Nie poszła zobaczyć się z Lucie, nie wiadomo dlaczego, a już przy drzwiach poprosiła Antoine'a o nowy numer telefonu Louise. Zrobił zaniepokojoną minę, przypuszczając, że może Claire jest po jej stronie.

- Mam coś do załatwienia - oświadczyła, kiedy on bażgrał adres na świstku wyrwanym z notesu.

Na drzwiach wejściowych wisiała mała, samoprzylepna karteczka przypominająca, że Antoine musi zapisać Lucie na zajęcia pozaszkolne i umówić się na wizytę u dentysty. Claire zbiegła pędem po schodach, jakby gonił ją jakiś potwór. Mieszkanie Antoine'a, ten jego idiotyczny fartuch, kartka na drzwiach jakby odebrały jej wszystkie siły. W ulicznym zgiełku pomyślała - jakby kilka obrazów nakładało się na siebie - o łóżku Dietricha, o *Stabat Mater* Pergolesiego, o piźmowym zapachu ciała tego mężczyzny, niczym o jej własnym eldorado, wyjątkowo cennym, do którego natychmiast powinna się udać.

Tak jak się obawiała Claire, telefon odebrała Louise. Lotniskowy głos tej Delphine Seyrig z bożej łaski sprawił, że krew uderzyła jej do głowy. Złapała się telefonu, żeby nie zatoczyć się z nienawiści.

- Daj mi go - zażądała lodowato.

Usłyszała szelest muślinu, jakby Louise była drzewem z leciutkimi listkami. Zarejestrowała jakieś szeptki.

- Halo - odezwał się Rossetti.

- Muszę natychmiast się z panem zobaczyć - oświadczyła Claire.

Umówili się godzinę później na placu des Vosges. Czy Rossetti i sama Claire podejrzewali, że ich spotkanie zadecyduje o dominującej barwie, jaką przybierze przyszłe życie tej młodej kobiety? Szła tam, mając zamęt w głowie, w drodze wyobrażała sobie zjawisko naczyń połączonych. Cierpienie powinno się rozpraszać, dzielić, aby było do zniesienia. Jeśli policzę do pięciu i światło zmieni się na zielone, to znaczy, że wyrzucił go przez okno, pomyślała, czekając przy pasach. W powietrzu wyczuwało się już tło jesieni i wrażenia, które wywleka się z

minionego roku niczym zimowe okrycia z pokrowców.

Ogródek na placu des Vosges był niewielki. Zewsząd było wszystko dokładnie widać. Otoczony czerwonym murkiem, o chorobliwej symetrii, stanowił idealne miejsce chroniące przed złym towarzystwem. Na sąsiedniej ławce, pod drzewami, młoda kobieta w legginsach w paski czytała czerwoną książkę zatytułowaną *Poker w dziesięć lekcji*. Obok niej spało dziecko z twarzą umazaną wyschniętą czekoladą. Dalej zonglował zongler. Najgłupsza rzecz na świecie, pomyślała Claire, która sama rozgrywała pod koniec tego lata partię o wiele bardziej akrobatyczną. Jak para Amerykanów przy piaskownicy, oglądała swój plan na wszystkie strony, aby odnaleźć upragniony punkt „jesteś tutaj”. Przypomniała sobie, że Jean-Baptiste nienawidził ogrodów. Kiedy wracała od rodziców, mówił, że przywozi na sobie zapach prowincji. Na myśl o tym mężczyźnie do oczu napłynęły jej łzy. Nie umieraj nigdy, poprosiła, załamana swą niemocą, niemożliwymi pragnieniami, wspomnieniami w połowie nieprawdziwymi.

Zadrzała z niepokoju na widok sylwetki Rossettiego. Ten typek włókł za sobą śmierć z obojętnością zwykłego oprycha. Od razu ją zobaczył. Miał długie, silne nogi, szedł, rozglądając się - zapewne skrzywienie zawodowe. Przypomniała sobie, że inny Rossetti, angielski malarz z XIX wieku, zmarł jako szaleniec, dotknięty paranoją pustelnik. Malowane przez niego kobiety nie były podobne do Louise. Były silne, miały długie rude włosy, grube usta, szeroko rozstawione oczy - trochę męskie. Louise w ramionach Rossettiego-łodzięcia była leciutkim gładkim piórkiem.

Usiadł obok Claire, nie patrząc na nią; potężny, oddychał głęboko. Siedzieli tak przez chwilę. Emanowała z niego obecność niemal nie do zniesienia, przerażająca mieszanymi zapachami, ostrymi, kwaśnymi, brutalnie żywymi. Claire ujrzała Louise zemdloną w ramionach tego mężczyzny, którego spotkała na swojej drodze przez pomyłkę i którego widziała po raz ostatni.

- Co u Louise? - zagadnęła, łapiąc muszkę.

- Wszystko dobrze - odparł, nadal na nią nie patrząc.

- Niech pan na nią uważa. To kobieta luksusowa. Niezaspokojona. Będzie od pana żądać rzeczy niemożliwych, aby tylko się nie zestarzeć. Zwariuje pan przez nią. Spoliczkuje ją pan, jak wszyscy mężczyźni przed panem, i będzie pan ją dalej policzkował. Potem pójdzie przejrzeć się w lustrze i poczuje się wspaniale ożywiona. Nie sądzi pan, że to dość patetyczne jak na scenariusz? - spytała; jej zakończenia nerwowe kurczyły się z nienawiści do tej kobiety, co opuściła swoje jedyne dziecko, Lucie, którą Claire kochała.

- Louise bardzo panią lubi - odpowiedział Rossetti.

- Ishida nie żyje.

Kręciło jej się w głowie jak wtedy, gdy w dzieciństwie stała nad wielkim basenem i kazano jej skakać do lodowatej wody podczas sobotnich kursów.

- Wiem. - Rossetti westchnął. - I to najlepsze, co mogło się pani przydarzyć. Ishida był łajdakiem. Dziesięć lat temu zabił moją żonę. Chciała mi pomóc, ale mi o tym nie powiedziała. Wszystko wiedziała o mojej... mojej działalności. Była piękną kobietą, bardzo odważną. Nie musiał wystrzelić całego magazynka w nią, w jej twarz.

Claire potrzebowała kilku sekund, żeby to przetrawić.

- Kiedy wróciłam wczoraj wieczorem, nie odsłaniałam okna. Nie chciałam wiedzieć, czy on jest w domu. A może chciałam mu powiedzieć, że wszystko skończone. Ale co skończone, jeśli nic się nie zaczęło? Czy wie pan, kiedy można stwierdzić, że coś się zaczęło między dwojgiem ludzi? - Claire plątała się i zdawała sobie z tego sprawę. Mówiła jednak dalej: - Czy trzeba się dotykać? Czy może wystarczy, że ta osoba istnieje, że ją sobie przywłaszczamy i nie musimy nawet z nią rozmawiać?

Słowa spływały jej z ust do prawego ucha mężczyzny, jak w konfesjonale przez kratkę. Rozejrzała się wokół i ciągnęła:

- Można dokonać wyboru między jednym mężczyzną a wspomnieniem innego. Często tak robiłam. I mam już tego dosyć. To sprawi panu przyjemność, panu, który opiera się na doświadczeniu. Spróbuję żyć normalnie. Być może warto. Dlaczego pan go nie zabił?

Rossetti zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Claire odruchowo rysowała kółka stopą. Rossetti zauważył, że nosi zniszczone buty.

- Wrócił do domu po pani wyjeździe. Co wieczór pił herbatę, na widoku. Czekał na mnie. Wydawało mi się, że go ścigam, a było odwrotnie. Od początku czekał, aż go zabiję, zawsze tak się urządzał, żebym go odnalazł. Popęłnił samobójstwo, kiedy zrozumiał, że odpuściłem. A z tą pani zasłona... - Poczul w Claire napięcie, mówił dalej, ważąc słowa: - Wie pani, człowiek nigdy nie popełnia samobójstwa z jednego tylko powodu. - Spojrzał na nią z niespotykaną u niego łagodnością. - Jedno nas łączy, panią i mnie. Nikomu nie ufamy. To nasza siła i nasza słabość. Powodzenia.

Oddalił się szybkim krokiem, nie odwracając się, tak jakby nigdy nie istniała.

Claire długo jeszcze siedziała na ławce. Patrzyła na przechodzących ludzi, oni także na nią patrzyli - widzieli ją i natychmiast o niej zapominali. Żongler spakował manatki i wyniósł się, piaskownica opustoszała, powietrze nagle się ochłodziło. Claire wstała, ogarnęło ją znużenie, także pomyślała o śmierci, potem poszła aż do placu Bastylli, do metra, z ostatnim biletem.

Tego wieczoru Dietrich wiedział, że wiele ryzykuje, że nie trzeba drażnić bestii, więc postawił na naturalność.